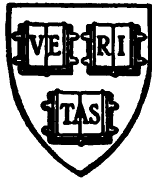
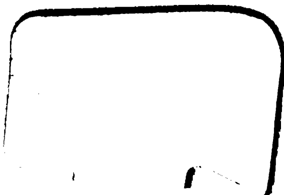

VE RI
TAS



„ŻYCIE"
WYDAWNICTWO DZIEŁ SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH.

Dr WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

KWESTYA POLSKA A SOCYALIZM.



NAKŁADEM WYDAWNICTWA „ŻYCIE" (KRAKÓW, SZLAK 6, II PIĘTRO)
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ, POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

Wydawnictwa Spółki Nakładowej „KSIĄŻKA“

Bios Wilhelm. Rewolucya Francuska. Z 2 rycinami. Dwa tomy (na cienkim papierze 2 tomy w jednym). Cena resztki nakładu zniżona, 7 kor. 50 hal.

Feldman Wilhelm. O Rosyi. Cena 1 kor.

Feldman Wilhelm. Stronnictwa i programy polityczne w Galicyi 1846—1906. Dwa tomy. (Treść: Część I.: Czasy romantyzmu politycznego. Część II.: Okres walk prawno-politycznych. Część III.: Partye współczesne i ich programy). Cena 10 kor.

Hillquit Maurycy. Dzieje socyalizmu w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki (do 1907 roku włącznie). Cena 4 kor.

Informator. Stronnictwa polityczne w Królestwie Polskiem. Cena 2 korony.

Kalthoff Albert. Światopogląd religijny. (Treść: Przedmowa. — Wstęp. — Nieskończoność świata. — Zachowanie siły. — Teorya rozwoju. — Pochodzenie wiary w Boga. — Treść wiary w Boga. — Modlitwa. — Stary i nowy człowiek. — Wiara i wiedza. — Wiara i jednostka. — Wiara i życie. — Prawo dziedziczności. — Prawo przystosowania. — Idealizm. — Ideał i życie. — Ideał jednostki. — Ideał społeczny. — Ideał religijny. — Wspólnota religijna. — Kult religijny. — Biblia. — Nauka religii. — Religijne wychowanie młodzieży. — Symbole religijne. — Religia a klechy. — Rzut oka wstecz). Cena 3 kor. 20 hal.

Kasprowicz Jan. Chrystus. Poemat społeczno-religijny. Cena w oprawie 3 kor.

Krauz Kazimierz dr. Materyalizm ekonomiczny. Studya i szkice. Ze wstępem Ludwika Krzywickiego. (Treść: Wstęp, L. Krzywickiego. — Czym jest materyalizm ekonomiczny? — Comtyzm i marksizm. — Ekonomiczne podstawy pierwotnych form rodziny. — Źródło zakazów małżeńskich. — Kryzys marksizmu. — Protest społeczny w starożytności. — Dyalektyka społeczna w filozofii Vica. — Wiek złoty, stan natury i rozwój w sprzecznościach. — J. J. Bachofen). Cena 5 kor. 50 hal.

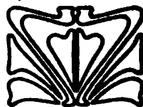
Landau Helena dr. Zarys ekonomii społecznej. Cena 3 korony.

(Patrz str. 3 okładki).

NAKŁADEM WYDAWNICTWA DZIEŁ SPOŁECZNO-POLITYCZNYCH „ŻYCIE“

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ

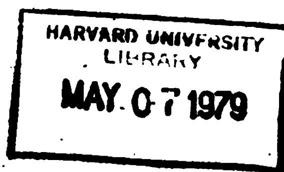
KWESTYA POLSKA A SOCYALIZM

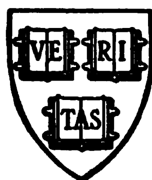


WARSZAWA 1908 ▪ ODBITO W DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE
▪▪▪▪▪▪▪ DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH ▪▪▪▪▪▪

OD WYDAWNICTWA.

Drukując prace, poświęcone teoryi, praktyce i dziejom naszego ruchu socyalistycznego, nie krępujemy w niczem ich autorów, którzy też wyłącznie i jedynie odpowiadają za treść głoszonych przez siebie poglądów.







przez pół wieku wytrwale głosili konieczność odbudowania Polski historycznej, jest faktem godnym uwagi nietylko każdego marksisty, ale każdego socyalisty wogóle, chociażby kierunku wyraźnie niemarksowskiego. Można się na ten pogląd Marksa i Engelsa nie godzić, ale bądźcobądź należy go wytłómaczyć — chyba żebyśmy cały marksizm mieli już nie złożyć do archiwum, ale poprostu wyrzucić na śmiecie.

Otóż wytłómaczenie nie będzie zbyt trudne, jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy metodę Marksa i Engelsa.

A ta metoda Marksa i Engelsa — to przedewszystkiem metoda badania rozwoju: metoda odszukiwania rozwoju i przeobrażeń wszędzie, nawet tam, gdzie inni dopatrywali się praw odwiecznych, niezmiennych na wszelkie czasy. Z szyderstwem odrzucając argumentacye tych socyalistów, którzy, jak np. Proudhon, opierali żądania socyalistyczne na „odwiecznych, niezmiennych“ pojęciach w rodzaju „wiecznej sprawiedliwości“, Marks za podstawę swoich wywodów brał pojęcia historyczne, jak feudalizm, kapitalizm, burżuazya, proletaryat — pojęcia, które bynajmniej odwiecznemi ani niezmiennemi nie są, ale przeciwnie, dają się stosować dopiero wtedy, gdy dane społeczeństwo weszło w pewną określoną fazę rozwoju. Głosząc, że „historya wszystkich dotychczasowych społeczeństw jest historyą walk klasowych“, Marks i Engels bynajmniej nie łudzą się, jakoby ustrój klasowy był zawsze i wszędzie jeden i ten sam; przeciwnie, odrazu przechodzą do wyliczania różnych typów ustroju klasowego: „W starożytnym Rzymie widzimy patrycyuszów, rycerzy, plebejuszów, niewolników; w wiekach średnich mamy panów feudalnych, wasalów, majstrów cechowych, czeladź, poddanych“... Co więcej, Marks sobie doskonale uświadamia, że nietylko w różnych okresach czasu istniały różne typy ustroju klasowego, ale że te różne typy ustroju klasowego mogą istnieć współcześnie w różnych krajach. Jeszcze w r. 1867 Marks, przeciwstawiwszy pracę pańszczyźnianą pracy najemnej, stwierdza, że wprawdzie wyzysk jest wszędzie, ale że wyzysk dopiero wyjątkowo występuje w formie kapitalistycznej *). Jeżeli więc

*) „Ekonomista burżuazyjny, którego ciasny mózg nie potrafi odróżnić formy przejawu od tego, co się w niej przejawia, zamyka oczy przed faktem że nawet i dziś jeszcze dopiero wyjątkowo na powierzchni ziemi fundusz pracy występuje w formie kapitału“. (Marks, Kapitał, tom I., str. 531 czwartego niemieckiego wydania). Jeszcze wyraźniej Marks w innem miejscu wylicza cały szereg różnych niekapitalistycznych form wyzysku, po części należących do przeszłości, po części jednak współczesnych: „Pracy dodatkowej nie dopiero kapitał wynalazł. Wszędzie, gdzie jakaś część społeczeństwa posiada monopol środków produkcyi, tam pracownik, czy wolny czy poddany, musi poza czasem pracy, niezbędnym dla jego własnego utrzymania,

kapitalizm był na razie dopiero wyjątkową formą wyzysku, to i walka przeciw kapitalizmowi mogła być na razie dopiero wyjątkową formą walki rewolucyjnej. Podczas gdy więc rewolucyjne partye robotnicze, walczące z hasłami socyalizmu na ustach przeciwko panowaniu kapitalistycznej burżuazyi, mogły się na szerszą skalę tworzyć na razie dopiero tam, gdzie ta burżuazya istotnie już panowała, a zatem około 1848 r. dopiero w Anglii, Belgii, Francyi, a na mniejszą skalę także w ośrodkach przemysłu owych krajów środkowo-europejskich, gdzie, jak w Niemczech, burżuazya dopiero zaczynała dążyć do panowania — wrogiem rewolucyi europejskiej była nietylko reakcya kapitalistyczno-burżuazyjna we Francyi lub Anglii, ale cała reakcya europejska, reprezentowana w większości wypadków przez klasy i potęgi przedkapitalistyczne: teokratyczne, absolutystyczne albo feudalne. Ustosunkowanie sił mogło się więc wydawać wprost beznadziejnem, o ile obok socyalistycznego proletaryatu nie było żadnych innych sił rewolucyjnych; tak jednak na szczęście nie było. Przeciw owym reakcyjnym potęgom przedkapitalistycznym walczyły rewolucyjne partye przedsocyalistyczne. Przeciw świeckiemu panowaniu papieża we Włoszech walczyli republikanie włoscy, przeciw absolutyzmowi pruskiemu i feudalizmowi pruskiej szlachty walczyli mieszczańscy demokraci niemieccy, przeciwko klerykalnemu absolutyzmowi Habsburgów walczyli narodowcy węgierscy. To też, jak wiadomo, w tych wszystkich partyach, wyrosłych na ekonomiczno-społecznem podłożysku przedkapitalistycznem i walczących pod przedsocyalistycznemi hasłami, Marks i Engels upatrywali s p r z y m i e r z e ń c ó w p r o l e t a r y a t u — wprawdzie po części przyszłych przeciwników, niemniej jednak na razie sprzymierzeńców, i to niezbędnych. Z tego przeświadczenia wypływa owa płomienna nienawiść, z którą Marks i Engels zwalczali różne socyalizmy „niepolityczne", jak naprzykład tak zwanych „socyalistów prawdziwych" w Niemczech, którzy nie uznawali walki z absolutyzmem, twierdząc, że to całkiem wszystko jedno, kto uciska robotników, czy samowładny król z bożej łaski, czy liberalni mieszczanie; nie skrajnych rewolucyonistów widzieli Marks i Engels w tych „niepolitycznych" opłakiwaczach doli robotniczej, tylko fagasów reakcyi monarchistycznej. Z tego samego przeświadczenia wypływają po-

---

pracować czas dodatkowy celem wytwarzania środków życia dla właściciela środków produkcyi, mniejsza czy ten właściciel jest „pokaźnym a zacnym" mieszczaninem ateńskim, czy kapłanem-księciem etruskim, czy też obywatelem rzymskim, baronem normandzkim, amerykańskim właścicielem niewolników, b o j a r e m r u m u ń s k i m, n o w o c z e s n y m w ł a ś c i c i e l e m d ó b r a l b o t e ż k a p i t a l i s t ą" (Kapitał, tom I., str. 196 czwartego wydania niemieckiego).

wszechnie znane wskazówki polityczne, dane robotnikom w ostatnim rozdziale manifestu komunistycznego, zatytułowanym „Stanowisko komunistów wobec rozmaitych partyj opozycyjnych".

Ale Niemcy, Włochy, Węgry — to też jeszcze nie cała Europa. Do czynników, uwsteczniających wszelki rozwój polityczny w Europie i tłumiących wszelki ruch wolnościowy, należała także reakcya austryacka, oparta w pierwszym rzędzie na zacofaniu i ciemnocie ludów słowiańskich w Austryi, przedewszystkiem zaś reakcya carska. A ta reakcya carska nietylko w swej formie urzędowej gnębiła Rosyę i Polskę, ale jednocześnie w swej formie demagogiczno-panslawistycznej nurtowała wśród Słowian austryackich i węgierskich, tudzież z bardzo pomyślnym skutkiem szukała punktów oparcia pośród Słowian tureckich. Zanosiło się więc, tak się wydawać mogło, na przekształcenie całej Słowiańszczyzny od morza Białego aż po morze Greckie, od Wołgi aż po Czeski las na jedną olbrzymią twierdzę reakcyi, skąd lada chwila wypaść mogły armie całe, przeznaczone do zgniecenia wszystkiego, co się na zachodzie Europy rwało do wolności. A przytem ustrój społeczny krajów słowiańskich był jak najwyraźniej przedkapitalistycznym. Przemysł fabryczny albo wcale nie istniał, albo, jak w Polsce oraz w Czechach i na Morawach, istniał dopiero w skromnych rozmiarach, i bardzo daleko mu jeszcze było do stania się decydującym czynnikiem w kraju; natomiast ogromną większość ludności prawie wszędzie stanowili chłopi pańszczyźniani. Te masy chłopskie jęczały pod potrójnem jarzmem klerykalizmu, absolutyzmu i feudalizmu, ale przeciwko temu potrójnemu ciężkiemu jarzmu te wielomilionowe masy pracowitych rolników słowiańskich nie buntowały się, tylko znosiły je biernie — albo jeśli się buntowały, to wpadały we wszędzie czyhające sidła demagogii carsko-panslawistycznej, lub też metternichowskiej. Gdzież więc była ta rewolucyjna siła, która miała wyzwolić Słowiańszczyznę, a zarazem wyzwolić Europę zachodnią i Węgry od wiecznie grożącego niebezpieczeństwa reakcyi słowiańskiej? Nieprzejednani wobec wszelkiego kumania się z reakcyą monarchistyczną, Marks i Engels nie mogli upatrywać siły tej w rewolucyi czeskiej; skrajnie nieufni wobec wszystkiego, co chociażby z daleka przypominało panslawizm carski, wprost wrogo odnosili się do demokratyczno-panslawistycznych poglądów Bakunina i innych. O stosowaniu zaś proletaryackiego socyalizmu do krajów czysto rolniczo-feudalnych mowy być nie mogło. Natomiast właśnie jako „marksistom", jako wyznawcom materyalizmu dziejowego ogromnie Marksowi i Engelsowi do przekonania trafić musiał agrarno-rewolucyjny program Lelewela i Mierosławskiego. Znieść feudalizm, zdemokratyzować włas-

ność ziemską, i na tej podstawie zbudować polityczną demokracyę, któraby w przyszłości mogła się stać punktem wyjścia dla nowoczesnego rozwoju ku socyalizmowi — oto klucz zagadki nietylko dla Polski, ale dla całej Słowiańszczyzny od Alp do Uralu. A taki właśnie był program polskich powstańców; taki program w r. 1846 w czyn wprowadził rząd narodowy na ziemi krakowskiej. Z logiczną koniecznością więc Marks i Engels uznać musieli w polskich powstańcach siłę rewolucyjną, powołaną do wstrząśnięcia całym wschodem Europy; z logiczną koniecznością uznać musieli Polaków za naród rewolucyjny, któremu przyszłość prześwietną wróżyć musiał, ktokolwiek wierzył w przyszłość rewolucyi.

Ten właśnie pogląd: że Polska zmartwychwstanie wielka i potężna, bo Polska jest inicyatorką rewolucyi agrarnej — całkiem niedwuznacznie wyraża się w pismach Marksa i Engelsa z lat 1847—48. Znane są słowa Manifestu komunistycznego:

„Pośród Polaków komuniści popierają tę partyę, która rewolucyę agrarną czyni warunkiem wyzwolenia narodowego, tę samą partyę, która powołała do życia powstanie krakowskie 1846 r.“ *)

Dnia 1 sierpnia 1848 roku Marks pisze w Nowej Gazecie Nadreńskiej: **)

„Rozbiór Polski przyszedł do skutku dzięki sojuszowi wielkiej arystokracyi feudalnej w Polsce z trzema mocarstwami rozbiorowemi Nie był objawem postępu, jak twierdzi eks-poeta pan Jordan, był raczej ostatnią ucieczką dla wielkiej arystokracyi, chcącej ratować się przed rewolucyą, był faktem nawskróś reakcyjnym“.

„Całkiem naturalnie skutkiem już pierwszego rozbioru było przymierze pozostałych klas, tj. szlachty, mieszczaństwa, a po części i chłopów, przymierze skierowane zarówno przeciwko najeźdzcom Polski, jak przeciwko wielkiej arystokracyi własnego kraju. Jak dobrze rozumieli Polacy już wówczas, że ich niezależność wewnętrzna nierozłącznie związaną jest z obaleniem arystokracyi i reformę agrarną wewnątrz kraju, tego dowodzi konstytucya 1791 r.“

„Wielkie kraje rolnicze między Bałtykiem a morzem Czarnem mogą się wyzwolić z barbarzyństwa patryarchalno-feudalnego tylko

*) Obacz: Das Kommunistische Manifest, sechste autorisirte deutsche Ausgabe (Berlin 1896, Verlag: Expedition der Buchhandlung Vorwärts). Strona 37 — 32. — Porównaj: str. 54 drugiego polskiego wydania, oraz str. 34 wydania krakowskiego z maja 1903 (Latarnia, Rok III, nr. 5).

**) Obacz: Gesammelte Schriften von Karl Marx und Friedrich Engels 1841—1850, dritter Band. Strona 149. — Porównaj: Odbudowanie Polski, str. 24.

przez rewolucyę agrarną, która chłopów poddanych lub pańszczyźnianych przemieni na wolnych właścicieli ziemi, rewolucyę, która będzie zupełnie taką samą, jaką francuska rewolucya 1789 r. była na wsi. Polski naród ma zasługę, że pierwszy pomiędzy swoimi rolniczymi sąsiadami ogłosił tę zasadę. Pierwszą próbą reformy była konstytucya 1791 r.; w powstaniu 1830 r. Lelewel ogłosił rewolucyę ograrną za jedyny środek do uratowania kraju, ale sejm uznał to zbyt późno; w powstaniach 1846 i 1848 r. otwarcie ją *) proklamowano."

„Od chwili ujarzmienia polacy zaczęli występować rewolucyjnie, a przez to jeszcze silniej spoili swoich ujarzmicieli z kontrrewolucyą. Zmusili najeźdców do podtrzymywania stosunków patryarchalno-feudalnych nie tylko w Polsce, lecz również i w innych krajach do nich należących. Szczególnie zaś od czasu powstania krakowskiego w 1846 r. walka o niepodległość Polski jest zarazem walką demokracyi agrarnej — jedynej demokracyą w Europie wschodniej możliwej — przeciwko patryarchalno-feudalnemu absolutyzmowi."

Dnia 25 sierpnia tegoż 1848 roku pisze Marks w tej samej „Nowej Gázecie Nadreńskiej." **) polemizując ponownie z tym samym Wilhelmem Jordanem, poetą i doktrynerem pangermańskim:

„Na czem polegała nieubłagana żelazna konieczność, która chwilowo zniszczyła Polskę? Na upadku demokracyi szlacheckiej, opartej na poddaństwie chłopów — to znaczy, że owa konieczność polegała na rozwoju wielkiej arystokracyi wśród szlachty. Było postępem, o ile było jedyną drogą do wyjścia ze stanu już przestarzałej demokracyi szlacheckiej. Co z tego wynikło? Że żelazna stopa historyi, to znaczy że trzej samowładcy Wschodu zgnietli Polskę. Arystokracya zmuszoną była do przymierza z zagranicą, by dać sobie radę z demokracyą szlachecką. Arystokracya polska pozostała do niedawna, ba, po części do dziś, rzetelnym sojusznikiem miażdżycieli Polski."

„A na czem polega nieubłagana, żelazna konieczność, że Polska się napowrót wyzwoli? Na tem, że panowanie arystokracyi w Polsce, które od 1815 r. przynajmniej w Poznańskiem i w Galicyi, a po części nawet i w zaborze rosyjskim nie przestało istnieć, jest dzisiaj taksamo przeżytem i podminowanem jak w r. 1772 demokracya drobnej szlachty; na tem, że urzeczywistnienie demokracyi agrarnej stało się dla Polski

*) Tj. rewolucyę agrarną.

**) Gesammelte Schriften von Karl Marx und Friedrich Engels 1841 — 1850, dritter Band. Strona 162 — 163. Porównaj: Odbudowanie Polski, str. 46 — 47.

kwestyą życia i śmierci nie tylko pod względem politycznym, ale i społecznym; na tem, że rolnictwo, to źródło bytu narodu polskiego, zginie, jeżeli chłop poddany lub pańszczyźniany nie stanie się wolnym właścicielem ziemi; na tem, że rewolucya agrarna jest niemożliwą bez współczesnego zdobycia bytu narodowego, bez posiadania wybrzeża bałtyckiego i ujść rzek polskich."

„I to nazywa pan Jordan z Berlina usiłowaniem wstrzymania w biegu koła historyi i cofnięcia go wstecz!"

„Istotnie, stara Polska demokracyi szlacheckiej oddawna umarła i jest pogrzebaną, i tylko taki pan Jordan może się spodziewać, że ktoś chce odrobić „prawdziwą tragedyę" tej Polski; ale ta „bohaterka" tragedyi zrodziła dziarską córkę, której bliższa znajomość coprawda, może istotnie strachem przejąć niejednego fircykowatego literata berlińskiego. A córką tą, która dopiero przygotowuje się do wystawienia własnego dramatu i do chwycenia w swe ręce „biegnącego koła historyi," ale której zwycięstwo jest pewne — córką tą jest Polska demokracyi włościańskiej."

Wreszcie dnia 2. września 1848 r. Marks w tej samej gazecie polemizuje przeciw demokracie Ruge'mu, któremu zarzuca, że opiera swoje polonofilstwo na zbyt płytkich argumentach. Ruge mówi: „Zgładzenie Polski dlatego jest sromotną krzywdą, bo stłumiono drogocenny rozwój narodu, który ma wielkie zasługi względem europejskiej rodziny ludów, a jedną z faz życia średniowiecznego, rycerstwo doprowadził do świetlanego rozwoju. Republice szlacheckiej despotyzm przerwał pracę własnego jej, samorodnego unicestwiania się, umożliwionego przez konstytucyę, zapoczątkowaną w czasach rewolucyi" ... Marks odpowiada, że mniejwięcej tosamo, co Ruge mówi o narodzie polskim, możnaby także powiedzieć o narodzie prowensalskim, czyli południowo-francuskim; a jednak ten naród, który niegdyś taksamo kulturą swą górował nad Francuzami północnymi, jak Polacy nad Rosyanami, został pochłonięty przez naród północno-francuski i niema już żadnej przyszłości *). Ale z Polską całkiem inna sprawa:

„Na czem więc polega", pisze Marks dalej, „różnica między Polakami a Prowensalczykami? Dlaczego Francyę południową przykuli Francuzi północni do swego rydwanu, jako martwy ciężar i całkowicie

*) I ten na pozór nieodwołalny „wyrok historyi" stał się dzisiaj na nowo wątpliwym. Dzisiaj istnieje znowu odrębna literatura prowensalska, krzewiona przez swoich szermierzy z zapałem i poświęceniem; istnieją też narodowe uroczystości prowensalskie. Na razie wprawdzie kulturalno-narodowy ruch prowensalski nie posiada politycznego znaczenia, bądźcobądź jednak się wzmaga.

zniszczyli jej narodowość, gdy tymczasem Polacy mają wszelkie ku temu widoki, by bardzo rychło stanąć na czele wszystkich plemion słowiańskich?"

„Francya południowa, skutkiem stosunków społecznych, których w tem miejscu bliżej rozpatrywać nie możemy, stała się reakcyjną częścią Francyi. Opozycya jej przeciwko Francyi północnej niebawem stała się opozycyą przeciwko postępowym klasom całej Francyi. Stała się ona główną oporą feudalizmu i do dziś pozostała twierdzą kontrrewolucyi we Francyi".

„Polska natomiast, dzięki stosunkom społecznym, przez nas powyżej rozpatrzonym, stała się rewolucyjną częścią Rosyi, Austryi i Prus. Opozycya jej przeciwko najeźdzcom, była jednocześnie opozycyą przeciwko wysokiej arystokracyi w samej Polsce. Nawet szlachta, stojąca po części na gruncie feudalnym, z bezprzykładnem poświęceniem przyłączyła się do rewolucyi agrarnej. Polska była już ogniskiem demokracyi europejskiej, kiedy Niemcy błąkały się jeszcze omackiem po manowcach najpłytszej ideologii konstytucyonalistycznej i najgórnolotniejszej ideologii filozoficznej".

„Na tem, a nie na świetlanym rozwoju dawno pogrzebanego rycerstwa, polega gwarancya, polega nieunikniona konieczność odbudowania Polski" *).

Po tem wszystkiem dostatecznie zrozumiałem jest, dlaczego Marks i Engels tak uporczywie domagali się odbudowania Polski. Na podstawie pewnego określonego rozwoju ekonomiczno-społecznego, Polska stała się rewolucyjną. A ponieważ Polska była rewolucyjną, więc miała przyszłość. A przyszłość tę należało przyspieszyć dla dobra rewolucyi europejskiej.

II.

Dlaczego jednak Marks i Engels żądali odbudowania nie etnograficznej Polski, lecz historycznej? Dlaczego ta odbudowana Polska obejmować miała nie tylko ziemie zamieszkałe przez lud polski (a zresztą

*) Gesammelte Schriften von Karl Marx und Friedrich Engels 1841 bis 1850, dritter Band. Strona 172—174. Porównaj: Odbudowanie Polski, str. 61—68.

nawet niekoniecznie wszystkie ziemie o ludności polskiej obejmować miała; ani kwestyi Górnego Śląska, ani kwestyi Śląska Cieszyńskiego Marks nie podnosił), a natomiast miała obejmować rozległe kraje, zamieszkane przez Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, a częściowo nawet przez Łotyszów, o ile te ziemie należały do dawnego państwa polskiego? Dlaczego Marks i Engels domagali się odbudowania Polski, „posiadającej ujścia swoich wielkich rzek“ — innemi słowy, Polski od morza do morza?

I to zagadnienie nie trudno rozwiązać, jeśli sobie przypomnimy ekonomiczną sytuacyę Europy w latach czterdziestych. Wprawdzie manifest komunistyczny wspomina już o kolejach żelaznych, parowcach i telegrafach; faktycznie jednak stosowanie tych nowoczesnych środków komunikacyi znajdowało się wówczas dopiero w zarodku. Wszak wtenczas właśnie (1844 — 1848), budowano pierwszą kolej w Królestwie Polskiem, kolej Warszawsko-Wiedeńską; pierwsza zaś parowa kolej żelazna na całe Niemcy, króciutka linia z Norymbergi do Fürth (długości siedmiu wiorst, a więc krótsza niż linia z Łodzi do Zgierza), zbudowaną była niedawniej jak w r. 1835, kiedy Marks już był siedemnastoletnim młodzieńcem. Przeważnie więc jeszcze nad światem i nad poglądami ludzi panował dawny, prymitywny system komunikacyi, którego d e c y d u j ą c y m czynnikiem były r z e k i s p ł a w n e. Spróbujmy sobie tylko wyobrazić trudności transportu lądowego drzewa, węgla, kruszcu w okresie, kiedy najszybszym środkiem komunikacyi lądowej był wóz pocztowy. W owym czasie niezakłócone posiadanie rzek spławnych, a przedewszystkiem ujść tych rzek do morza, było istotnie kwestyą życia i śmierci dla narodów. Dostęp do morza był wówczas tem, czem dzisiaj jest dostęp do kolei żelaznej: przyłączeniem danej okolicy do światowej sieci komunikacyi. A przytem ociężałość ówczesnych środków transportu ułatwiała każdemu państwu odcinanie dróg wodnych kupcom obcym, ile razy się tego domagała chciwość kupców swojskich; nierozwinięty stan prawa międzynarodowego handlu, a w związku z tem i nierozwinięty stan prawa międzynarodowego, zachęcały monarchów i rządy ich do takich gwałtów. Ludy ówczesne pamiętały jeszcze groźny przykład Holandyi, która w XVII i XVIII wieku oparła swoją światową potęgę handlową na systemie m o n o p o l u r y n k ó w z b y t u, podtrzymywanego całkiem brutalnie za pomocą floty wojennej, a która upadła, kiedy państwa współzawodniczące odpłaciły się jej pięknem za nadobne. Natomiast ludy ówczesnej Europy nie miały jeszcze przed oczyma przykładu dzisiejszej Szwajcaryi, której przemysł eksportowy kwitnie i zatrudnia bardzo znaczny odłam ludności, mimo, że przemysł ten wywozi swe towary obcemi rzekami

i obcemi kolejami żelaznemi *). A o ile nawet już istniały wówczas podobne przykłady, jak dajmy na to przykład Belgii, pomyślnie się rozwijającej mimo ciasnych granic, chociaż coprawda posiadającej jeden z najlepszych portów morskich, to Marks i Engels nie brali tych wyjątków pod uwagę: byli bowiem i na podstawie wszystkich swoich tradycyj i doświadczeń musieli być centralistami. Jako synowie ówczesnych Niemiec, kraju oddanego na pastwę samowoli i chciwości trzydziestu kilku królewiąt, kraju, którego odwiecznem przekleństwem było przeradzanie się rodów magnackich na udzielne dynastye, na każdym kroku tamujące ruch handlowy i swobodę osobistą ludności swojemi rogatkami, cłami i kordonami; jako synowie tych Niemiec, gdzie wszyscy rozumni patryoci upatrywali zbawienie kraju w wywyższeniu zjednoczonego narodu ponad głowy tej całej żarłocznej sfory wielkich książąt, książąt, kniaziów i hrabiów; jako synowie owej Nadrenii, której jeszcze świeżo w pamięci tkwiło wprost potworne rozstrzępienie kraju na kilkadziesiąt kluczy magnackich i folwarków szlacheckich, z których każdy stał się był udzielnem państwem — Marks i Engels musieli być centralistami. Niemało przyczyniła się do wzmocnienia ich wiary w zbawienność centralizmu, tradycya o rzekomym centralizmie wielkiej rewolucyi francuskiej — tradycya fałszywa, na tendencyjnych kłamstwach oparta. Blisko czterdzieści lat później w 1885 r., stary Engels z chlubną szczerością przyznał się do tego błędu. Drukując ponownie orędzie władzy centralnej związku komunistów z r. 1850, do zdania: „Jak we Francyi w r. 1793, tak dzisiaj w Niemczech zadaniem partyi istotnie rewolucyjnej jest przeprowadzenie najostrzejszej centralizacyi" dodaje uwagę następującą:

„Dzisiaj należy zaznaczyć, że zdanie powyższe polega na nieporozumieniu. Wówczas — dzięki fałszerzom historyi bonapartystycznym i liberalnym — uchodziło za pewnik, że zcentralizowana maszynerya administracyjna francuska zaprowadzoną była przez wielką rewolucyę, oraz że szczególnie konwencya posługiwała się tą maszyneryą, jako niezbędną i decydującą bronią do zwal-

*) Warto przypomnieć, że ludność Szwajcaryi wynosi ogółem 3.300.000 mieszkańców, czyli trzecią część ludności Królestwa Polskiego. Natomiast na każdego mieszkańca Szwajcaryi przypada przeciętnie roczny wywóz towarów wartości 477 marek, a zatem blisko siedem razy tyle, co w monarchii austryacko-węgierskiej (71 marek), prawie półtrzecia raza tyle co w Niemczech (198 marek), a nawet więcej niż w Anglii (435 marek). Przytem, jak wiadomo, Szwajcarya jest federacyą dwudziestu pięciu udzielnych kantonów, a sejm każdego kantonu ma prawo naczelne we wszystkich sprawach, których kanton wyraźnie nie odstąpił rządowi centralnemu.

czenia reakcyi rojalistycznej i federalistycznej oraz wroga zewnętrznego. Dziś jednak znanym faktem jest, że podczas całej rewolucyi aż do 18 Brumaire (t. j. aż do zamachu stanu Bonapartego) cała administracya okręgów, powiatów i gmin składała się z urzędników wybranych przez ludność podlegającą ich administracyi, którzy to urzędnicy w granicach praw ogólno-państwowych postępowali z całkowitą swobodą; że ten samorząd prowincyonalny i miejscowy, podobny do amerykańskiego, stał się właśnie najsilniejszą dźwignią rewolucyi, tak dalece, że Napoleon bezpośrednio po swoim zamachu stanu z 18 Brumaire, czemprędzej zastąpił ją dziś jeszcze istniejącą gospodarką prefektów (naczelników mianowanych z góry), która więc od początku była wyraźnem narzędziem reakcyi. Tak samo jednak, jak samorząd miejscowy i prowincyonalny nie sprzeciwia się centralizacyi politycznej, narodowej, tak samo samorząd ten nie musi być koniecznie połączonym z owym ciasnym egoizmem kantonalnym lub gminnym, który w tak wstrętnej postaci spotykamy w Szwajcaryi, a który w r. 1849 wszyscy federalistyczni republikanie południowo-niemieccy chcieli zrobić regułą dla Niemiec." *)

Tymi ostatnimi, mocno niesprawiedliwymi zwrotami, pragnie stary Engels ratować szczątki swojego dawnego centralizmu, tak stanowczo potępionego przez objektywną naukę historyczną. Jeszcze w tym uporze dzielnego starca prześwieca płomienna namiętność dawnej jego wiary centralistyczno-republikańskiej.

Jeśli zaś tak silna wiara centralistyczna żyła w umysłach Marksa i Engelsa, to łatwo zrozumiemy, że wprost nie umieli sobie wyobrazić, żeby naród jakiś istniał samodzielnie i spełniał jakąś ważną misyę historyczną, o ile ten naród nie posiadał państwa silnego i wielkiego, państwa-mocarstwa. Skoro więc raz uważali odbudowanie Polski za pożądane i konieczne, to całkiem naturalnie, ze swojego punktu widzenia, pragnęli odbudowania Polski jako mocarstwa. A takiem mocarstwem, szczególnie w ówczesnych warunkach ekonomicznych, mogła być istotnie tylko Polska od morza do morza.

Ale to znaczy, że Marks i Engels pragnęli odbudować takie państwo polskie, do któregoby należeli nie tylko Polacy, ale i większość Ukraińców, prawie wszyscy Białorusini, prawie wszyscy Litwini, tudzież

*) Obacz: Enthüllungen über den Kommunisten-Prozess zu Köln. Neuer Abdruck, mit Einleitungen von Friedrich Engels, und Dokumenten (Hottingen-Zürich. Verlag der Volksbuchhandlung, 1885). Strona 82.

znaczna część Łotyszów *). Jakżeż to było możliwem? Dlaczego Marks i Engels nie uwzględniali prawa każdej narodowości do stanowienia o swoim własnym losie?

Odpowiedź jest bardzo prosta: bo prawo to dla Marksa i Engelsa nie istniało. Według ich zdania, prawo do samodzielnego bytu państwowego miały tylko te narody, które sobie na to zasłużyły spełnieniem w historyi posłannictwa rewolucyjnego. Narody reakcyjne zaś skazane były na zagładę, a rewolucyjny proletaryat (który się przecież rozwijał tylko wśród narodów postępowych), nie tylko nie był zobowiązany ujmować się za narodami reakcyjnymi, ale przeciwnie, miał wprost obowiązek brać czynny udział w zgnębieniu i zgładzeniu ze świata tych narodów-szkodników. Szczególnie u Engelsa występuje ten pogląd z całą jaskrawością **). Do tych narodów-szkodników zaś, których nie tylko nie należało wyzwolić, ale które przeciwnie należało drogą przymusowego wynarodowienia usunąć ze świata, zaliczał Engels w zasadzie wszystkie te narody, które ujarz-

*) Prawnie, chociaż nie faktycznie, należała do Polski aż do trzeciego podziału cała Kurlandya; i prawnie i faktycznie należały do Polski aż do pierwszego podziału Inflanty polskie, gdzie rdzeń ludności stanowią katoliccy Łotysze. W pismach Marksa i Engelsa, tyczących się kwestyi polskiej, znajdują się dwie specyalne wzmianki o miastach łotewskich. Engels, polemizując z „demokratycznym panslawizmem“ Bakunina (Gesammelte Schriften, dritter Band, strona 253) twierdzi, że dla Niemców i Węgrów posiadanie portów nad morzem Adryatyckiem (kosztem zamieszkałych tam Słoweńców i Kroatów), jest niemniej kwestyą życia i śmierci, „jak dla Polski n. p. wybrzeże bałtyckie od Gdańska do Rygi“. Marks zaś w artykule, pisanym w lutym 1852 dla amerykańskiego czasopisma „New York Tribune“, streszczając jeszcze raz walki Niemców z Polakami i Czechami w r. 1848, raz jeszcze wraca do swojego ulubionego projektu z owego czasu: projektu wojny, którą rewolucyjne Niemcy wypowiedzieć miały Rosyi celem odbudowania Polski. Zdaniem Marksa, na wypadek szczęśliwego przeprowadzenia owego projektu, mogli Niemcy, wyzwoliwszy Polaków i obdarzywszy ich rozległemi terytoryami na wschodzie, wzamian osiągnąć od nich pewne ustępstwa odnośnie do całkiem już zniemczonych kresów północno-zachodnich dawnej Polski: „Ryga i Mitawa byłyby dla nich (t. j. dla Polaków) ostatecznie równie dobre, jak Gdańsk i Elbląg.“ („Rewolucya i kontrrewolucya w Niemczech“, str. 33 wydania polskiego; w wydaniu niemieckiem str. 60.)

**) „Najbliższa wojna światowa — pisze Engels w styczniu 1849 roku — sprzątnie z powierzchni ziemi nie tylko reakcyjne klasy i dynastye, ale i całe narody reakcyjne. A i w tem jest postęp.“ (Gesammelte Schriften, dritter Band, str. 245). W polemice z Bakuninem Engels poucza go „że nie chodzi o zbratanie wszystkich narodów europejskich pod jednym sztandarem republikańskim, tylko o sojusz narodów rewolucyjnych przeciwko narodom kontrrewolucyjnym, a sojusz ten zawartym zostanie nie na papierze, tylko na polu bitwy.“ (Gesammelte Schriften, dritter Band, str. 245).

mione od szeregu stuleci, z konieczności stały się zacofanymi *); w szczególności zaś do narodów potępionych i skazanych na zagładę, zaliczał prawie wszystkie narody słowiańskie, robiąc wyjątek wyraźny i stanowczy jedynie co do Polaków; co do Rosyan robił zastrzeżenie, że „są jeszcze bardzo dalecy od rewolucyi, a zatem bądź co bądź na razie jeszcze przeciw-rewolucyjni". Narodem skazanym przez historyę na zagładę, byli zdaniem Marksa i Engelsa przedewszystkiem Czesi. Po raz pierwszy pogląd ten pojawia się w „Nowej Gazecie nadreńskiej" w artykule o rewolucyi czeskiej, datowanym z 17 czerwca 1848, tym razem jeszcze dziwnie pomieszany z oskarżeniami przeciw zaborczości niemieckiej, z szyderczem naigrawaniem się z małodusznej, mazgajowatej rewolucyi niemieckiej, do której się Czesi słusznie nie przyłączyli, z sympatyą dla dzielnego ludu czeskiego, walczącego na ulicach Pragi, ale mimo wszystko konkluzya brzmi:

„Najbardziej jednak żałować należy samych walecznych Czechów. Czy zwyciężą, czy ulegną, zagłada ich jest pewną. Czterowiekowe ujarzmienie przez Niemców, którego dalszym ciągiem jest walka uliczna w Pradze, zapędziło ich w objęcia Rosyi. W wielkiej walce pomiędzy wschodem a zachodem Europy, która wybuchnie w nader krótkim czasie, może już za kilka tygodni, los nieszczęsny stawia Czechów obok Rosyan, obok despotyzmu, przeciwko rewolucyi. R e w o l u c y a z w y c i ę ż y, a C z e c h ó w p i e r w s z y c h u j a r z m i. Ta zagłada Czechów, to nowa wina Niemców. To Niemcy ich zdradzili na rzecz Rosyi."

Osiem miesięcy później, po stłumieniu rewolucyi wiedeńskiej przez rząd austryacki, z którym się Czesi, w zamian za przyrzeczenie autonomii narodowej, wdali byli w konszachty, znikły u Engelsa już wszelkie wątpliwości. Wbrew historyi twierdzi, że Czesi nigdy nie mieli epoki rewolucyjnej, że całą swoją kulturę otrzymali od Niemców; twierdzi, że utworzenie samodzielnego państwa czeskiego byłoby niemożliwem, że utworzenie samodzielnego państwa południowo-słowiańskiego byłoby również niemożliwem, że zresztą oderwanie krajów czeskich i słoweńskich od Niemiec byłoby nieszczęściem, bo wtenczas „wschód Niemiec byłby poszarpanym, jak chleb pogryziony przez szczury", a nadto Niemcy straciłyby dostęp do morza Adryatyckiego; wykrzykuje, „ż e n i e n a w i ś ć d o R o s y a n b y ł a i j e s t p i e r w s z ą r e w o l u c y j n ą n a m i ę t n o ś c i ą u N i e m c ó w; ż e o d c z a s u r e w o l u c y i d o t e j n i e n a w i ś c i p r z y ł ą c z y ł a s i ę j e s z c z e n i e n a w i ś ć d o C z e c h ó w i K r o a t ó w, i że my (t. j. Niemcy) wspólnie z Polakami i Madziarami

*) Obacz: Gesammelte Schriften, dritter Band, str. 241, 250—252.

tylko jak najbardziej stanowczym terrorem przeciwko tym słowiańskim narodom możemy ubezpieczyć rewolucyę"; wreszcie zapowiada „zdradzającej rewolucyę słowiańszczyźnie", „nieubłaganą walkę na śmierć i życie; walkę aż do zagłady i bezwzględny terror — nie w interesie Niemiec, tylko w interesie rewolucyi!" *)

Dzisiaj w roku 1905, kiedy właśnie dzielna socyalna demokracya czeska dała hasło proletaryatowi całej Austryi do zaostrzonej, rewolucyjnej walki o równe prawo wyborcze, dzisiaj, kiedy „złota Praga słowiańska" na równi z Warszawą i Łodzią stanęła w szeregu wielkich twierdz socyalizmu, — jakżeż się dziwnie czytają te klątwy, te wyroki śmierci na „reakcyjny" naród czeski!

Czyż więc możemy w kwestyi narodowej stanąć na stanowisku Marksa i Engelsa? Czyż możemy powiedzieć, powołując się na autorytet Marksa i Engelsa: „My Polacy należymy do narodów wybranych, — wy zaś, Czesi, Słoweńcy, Kroaci, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, wy należycie do narodów potępionych"? Czyż mamy się domagać uiszczenia wystawionego nam przez Marksa przekazu na Mitawę i Rygę?

II.

Współczesny socyalizm a niepodległość terytoryów etnograficznych.

Nie znalazłszy tedy w poglądach Marksa i Engelsa na kwestyę polską miarodajnych wskazówek na dobę bieżącą, musimy tych wskazówek szukać samodzielnie, w analizie dzisiejszych stosunków społecznych i w naszej współczesnej świadomości socyalistycznej.

Zacznijmy od początku. Dlaczego jesteśmy socyalistami?

Dlaczego nazywamy się i jesteśmy socyalnymi demokratami, a nie poprostu demokratami tylko? Wszak bądźcobądź demokratami jesteśmy wszyscy; do ludowładztwa wszyscy dążymy. Ów przyszły ustrój, który jest naszym wspólnym ideałem społecznym, bądźcobądź pod względem politycznym nam wszystkim przedstawia się jako ustrój, w którym władza państwowa spoczywa już nie w rękach jakiejś uprzywilejowanej osoby czy klasy, tylko w rękach całego ludu, odtąd już na żadne klasy niepodzielonego. W tej właśnie tożsamości celu prawno-państwowego tkwi tak głębokie pokrewieństwo między socyalizmem a demokracyą, że socyalizm rewolucyjny (w przeciwieństwie do różnych socyalizmów „niepolitycznych") w początkach swoich prawie wszędzie występuje jako

*) Gesammelte Schriften, dritter Band, str. 264.

lewe skrzydło demokracyi. Wszak i Marks w r. 1848 zasiadał w okręgowym wydziale demokratów nadreńskich*), a Lassalle jeszcze w r. 1862, kiedy po trzynastoletniej przerwie wznawiał swoją działalność agitacyjną, rozpoczynał ją od wskrzeszania „demokracyi, starej a prawdziwej demokracyi**)". Dlaczegóż nam więc sama tylko demokracya nie wystarcza?

Dlatego, że w naszej epoce niezbędnym a niezmiernie ważnym czynnikiem składowym życia gospodarczego stała się i staje się coraz bardziej produkcya zbiorowa. A w takich warunkach demokracya nie może być konsekwentnie przeprowadzoną bez zbiorowej własności narzędzi tej właśnie produkcyi zbiorowej. Wyobraźmy sobie dla kontrastu społeczeństwo, w któremby na wsi panowała wyłącznie drobna gospodarka włościańska o typie ściśle indywidualistycznym, bez żadnej kooperacyi, po miastach zaś wyłącznie drobne rzemiosło. W takiem społeczeństwie, o ileby się tylko skądinąd utrzymać zdołało, mogłaby demokracya współistnieć z wyłącznie indywidualną własnością narzędzi produkcyi, bo ta produkcya byłaby nawskróś indywidualną. Własność zbiorowa mogłaby w takim wypadku pozostać ograniczoną do gościńców i placów publicznych, do lasów, do środków obrony krajowej. O ile jednak w minionych wiekach mogły istnieć społeczeństwa, mniejwięcej zbliżone do tego typu szematycznego, o tyle dzisiaj już żadne takie społeczeństwo istnieć nie może. Co do drobnego rzemiosła, to rozwój jego coraz bardziej pozostaje w tyle poza potężnym rozwojem wielkiego przemysłu fabrycznego. Na wsi zaś drobna gospodarka włościańska może się na dłuższą metę już tylko utrzymać drogą organizacyi współdzielczej, a zatem drogą tworzenia i rozwijania na coraz większą stopę własności zbiorowej, która uzupełniając własność indywidualną i stopniowo uzależniając ją od siebie, z biegiem czasu i w tej dziedzinie stanie się czynnikiem decydującym. Nadto w epoce bezwzględnej przewagi gospodarki pieniężnej nad gospodarką bezwymianową ani przemysł, ani rolnictwo ostać się nie może bez nowoczesnych środków przewozu, przedewszystkiem bez kolei żelaznych; a te również są środkami pracy zbiorowej. Poza tem zaś żyjemy w okresie nieustannego szybkiego wzrostu ludności; przed naszemi oczyma więc przeobraża się do niepoznania dawna pro-

---

*) Obacz: Karl Marx vor den Kölner Geschwornen. Prozess gegen den Auschuss der rheinischen Demokraten. Mit einem Vorwort von Friedrich Engels. Berlin 1895, Verlag der Expedition des „Vorwärts". — Porównaj: Franz Mehring, Geschichte der Deutschen Sozialdemokratie, tom II., str. 85 i 128—133.

**) Obacz: Lassalles Reden und Schriften, herausgegeben von Bernstein, Berlin 1892, Verlag der Expedition des „Vorwärts", tom I., str. 509 i 549. Słowa powyżej przytoczone datowane są z 7 lutego 1863 r.

porcya między liczbą mieszkańców, która się zwiększa gwałtownie, a przestrzenią kraju, która pozostaje ta sama. O ile więc pięćset lat temu dla naszych przodków, karczujących puszcze lub kolonizujących nieprzejrzane przestrzenie stepów, zajęcie bodaj paru tysięcy morgów ziemi przez jednego właściciela mogło się wydawać rzeczą poniekąd obojętną, o tyle w naszych dniach coraz bardziej rośnie wartość społeczna każdego kawałka ziemi, urodzajnej czy nieurodzajnej, wiejskiej czy miejskiej. Nie możemy już nikomu pozwolić na wyniszczenie ziemi, ani na pozostawianie jej odłogiem, bo mamy za mało ziemi na takie zbytki. Z drugiej strony zaś wzrost powszechnego zapotrzebowania ziemi, bądź to pod uprawę, bądź to pod budynki, czyni prywatną własność ziemi coraz uciążliwszym monopolem. Już dzisiaj prywatna własność kamienic miejskich stanowi jedną z najjaskrawszych krzywd społecznych; nasi prawnucy dożyją się czasu, kiedy nawet prywatna własność trzydziestu morgów lichej ziemi ornej stanie się taką samą krzywdą. Gminy miejskie będą więc musiały dążyć do nabycia na własność zbiorową gruntów i kamienic miejskich; na wsi społeczeństwo będzie musiało objąć na własność zbiorową rzeki i jeziora, lasy i pastwiska, będzie musiało ograniczyć prawo prywatnego posiadania ziemi ornej do pewnej liczby morgów, a w dalszym ciągu zabezpieczyć sobie prawo nadzoru nad sposobem użytkowania wszelkich gruntów.

Słowem, we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego tendencya rozwoju jest taka, że wobec tej tendencyi rozwoju społeczeństwo sprostać swoim zadaniom może już tylko zapomocą uspołecznienia środków produkcyi. Co prawda, ta tendencya rozwoju nie zmusi nas automatycznie do żadnych uspołecznień. W historyi niema takiego dobroczynnego przymusu. Historya każdemu pozwala na samobójstwo: i jednostkom, i partyom, i narodom. O ile jednak niechcemy stać się winnymi samobójstwa, o ile niechcemy być biernymi świadkami naszego własnego gnicia, o tyle istotnie musimy wyciągnąć konsekwencyę z położenia historycznego i dążyć do unarodowienia narzędzi zbiorowej produkcyi oraz do uspołecznienia niezbędnej podstawy wszelkiego życia gospodarczego i wszelkiego życia ludzkiego wogóle: do uspołecznienia ziemi.

Wróćmy do punktu wyjścia. Dlaczego nie jesteśmy demokratami tylko, a jesteśmy socyalnymi demokratami, czyli socyalistami? Dlatego, że żyjemy w okresie, w którym demokracya bez socyalizmu stała się czemś połowicznem, formą sprzeczną z treścią. Wobec wzrastającej przewagi produkcyi zbiorowej nad indywidualną, właściciel narzędzi produkcyi zbiorowej staje się monopolistą: taki monopolista, wbrew równouprawnieniu politycznemu, trzęsie bytem ekonomicznym tysięcy swoich

„równouprawnionych“ współobywateli, posiadających tylko narzędzia indywidualnej produkcyi albo wogóle żadnych środków produkcyi nie posiadających; ma możność wyzyskiwania ich i korzysta z tej możności, a tem samem zagraża swobodnemu i harmonijnemu rozwojowi ich osobistości, a nawet faktycznej ich wolności politycznej. A rozbiciem tychześrodkowanych narzędzi produkcyi na drobne odłamy dzisiaj już tylko pewną część kwestyi społecznej załatwić można, a i tę tylko niezupełnie i tymczasowo. Przeważna część naszych narzędzi produkcyi coraz bardziej oddala się od prostego typu łanów wiejskich, które bez szkody można rozbić na działki. Rozkawałkować na drobne części tartaki, cegielnie, młyny parowe, mleczarnie parowe, cukrownie, huty żelazne, rafinerye nafty, przędzalnie, zakłady tkackie, fabryki maszyn, koleje — to chybaby znaczyło zburzyć je i zniszczyć do szczętu. Wobec niemożliwości więc równomiernego wyposażenia wszystkich członków społeczeństwa w indywidualne warsztaty pracy, jedynem wyjściem zgodnem z demokracyą jest własność zbiorowa. Innemi słowy: jedyną konsekwentną demokracyą jest dzisiaj socyalizm. Demokracya polityczna jest dzisiaj tylko obietnicą równości, obietnicą wolności i dobrobytu dla wszystkich; dopiero socyalizm jest spełnieniem tej obietnicy.

Ale i naodwrót: istotą współczesnego socyalizmu jest demokracya, konsekwentnie rozwinięta i dostosowana do współczesnych warunków ekonomicznych. Bez demokracyi niema socyalizmu. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy szlachetni marzyciele mogli się łudzić snami o socyalizmie, narzuconym ludowi z woli mądrego a sprawiedliwego despoty! Minęły i te czasy, kiedy młodociana myśl socyalistyczna, nie otrząsnąwszy się jeszcze ze wspomnień wielowiekowej niewoli, błąkała się po manowcach rewolucyi pałacowych lub stołecznych, rewolucyi oświeconych mniejszości, które wzorem oświeconych despotów osiemnastego stulecia miały większości narodu narzucić swą wolę. Wiemy dzisiaj wszyscy, że tylko z samowładztwa całego narodu, tylko z samoprawności obywatelskiej każdego członka narodu z osobna wykwitnąć może socyalizm. A zatem wszystko, co się sprzeciwia demokracyi, sprzeciwia się socyalizmowi.

Raz stwierdziwszy tę kardynalną zasadę, możemy się śmiało wyrzec wszelkich pretensyi do ekonomicznego uzasadniania praw narodowych. Wystarcza stawić pytanie: czy demokracya może współistnieć z najazdem?

Odpowiedź nie będzie trudną. Demokracya polega na tem, że jedynym zwierzchnikiem narodu jest sam naród. Jeśli tak ma być istotnie, to albo musi ogół członków narodu wykonywać władzę polityczną oso-

biście (jak przy bezpośredniem prawodawstwie ludowem, istniejącem w Szwajcaryi, a stojącem w programie prawie wszystkich współczesnych partyi socyalistycznych), albo też naród sprawuje swoją władzę przez wybranych zastępców, pozostających pod kontrolą narodu i przed nim odpowiedzialnych. Aby ta kontrola była możliwą i skuteczną i aby ta odpowiedzialność była czemś więcej niż pustym frazesem, na to trzeba przedewszystkiem, żeby wszelkie urzędowanie odbywało się w języku ojczystym mas ludowych. Po drugie trzeba na to, żeby ci ludzie, w których się uosabia cywilna władza państwowa, a mianowicie urzędnicy i sędziowie, byli synami narodu, żeby język ojczysty mas ludowych był ich językiem ojczystym, żeby dokładnie znali i rozumieli skłonności i potrzeby ludu; tylko takie urzędnictwo i sądownictwo, które wyrasta bezpośrednio z szerokich mas ludowych i pozostaje z niemi w stałej styczności życiowej, a nie tylko urzędowej, może istotnie wiernie wykonywać wolę ludu. Po trzecie zaś trzeba, żeby pomiędzy narodem a wykonawcami jego woli nie było żadnej przepaści kulturalnej; żeby owe skarby wiedzy i kultury politycznej, którymi się posiłkują urzędnicy przy urzędowaniu, a sędziowie przy sprawowaniu wyroków, nie były zamknięte w niezrozumiałych dla ludu księgach ezoterycznych. Niezbędną przesłanką demokracyi politycznej i społecznej jest więc d e m o k r a t y z a c y a k u l t u r y. W ustroju demokratycznym językiem literackim i naukowym musi więc być język ojczysty ludu; na ten język przetłómaczoną musi być wszelka wiedza i kultura, która wogóle istnieje w narodzie, ten język powinien być językiem wykładowym wszelkiego szkolnictwa od szkółek fröblowskich aż do uniwersytetu. Po czwarte trzeba, żeby ci ludzie, w których się uosabia bojowa potęga państwa, mianowicie żołnierze i oficerowie, byli synami narodu, czyli raczej, żeby naród sam był tą potęgą bojową. Innemi słowy, wojskiem demokracyi jest obywatelska obrona krajowa, czyli milicya, złożona ze wszystkich fizycznie zdolnych członków narodu, od młodu wyćwiczonych w użytku broni, mających broń w domu i powoływanych w szeregi w razie potrzeby. Oficerów wybierają szeregowcy; językiem komendy jest, ma się rozumieć, język ojczysty szeregowców. Niema mowy o tem, żeby ci obywatele-żołnierze pełnili służbę poza krajem, chyba w czasie wojny, kiedy to napaść bywa najlepszą obroną*); ale też niema mowy o tem, żeby na te-

*) Naturalnie dla republiki demokratycznej wojna jest rzeczą w najwyższym stopniu niepożądaną; to też dla państwa prawdziwie demokratycznego jedynie w rachubę wchodzi wojna, prowadzona c e l e m o b r o n y k r a j u od napastnika, który odrzuca załatwienie zatargu drogą sądu rozjemczego. Nie wyklucza to jednak s t r a t e g i k i zaczepnej, kiedy się wojna raz stała nieuniknioną.

renie republiki demokratycznej istniały obce załogi. Niema mowy o tem, żeby milicya pełniła służbę wśród ludności obcej; niemając z tą ludnością owej ciągłej i bliskiej styczności, jak ze swojską, przestałaby być naprawdę milicyą i stałaby się czemś nakształt zwyczajnego wojska, które rząd może używać do tłumienia opozycyi w kraju*). Wreszcie trzeba także, żeby taksamo jak urzędnicy, sędziowie i oficerowie, swojskimi byli i bezpośrednio z szerokich mas narodu wyrastali i ci urzędnicy, którzy dla dobra kraju czynni są poza krajem: dyplomaci i konsule. Gdyby jeszcze trzeba było dowodu na to, jaskrawego dowodu dostarczałaby najnowsza historya Norwegii.

Streśćmy się. Dla urzeczywistnienia demokracyi trzeba więc: swojskiego języka urzędowego, swojskich urzędników i sędziów, swojskiego szkolnictwa, swojskiej siły zbrojnej, swojskich dyplomatów i konsulów. Czyżby się ta cała litanja nie dała wyrazić jednem słowem?

Owszem, jest takie słowo. Niezbędną przesłanką demokracyi jest — swojskie państwo.

Może ktoś ma ochotę odpowiedzieć mi, że przecież właśnie demokratyczna Szwajcarya jest państwem trójnarodowem, niemiecko-francusko-włoskiem?

Dla odparcia tego zarzutu wystarczy przypomnieć, że cała Szwajcarya ma trzy miliony mieszkańców, a zatem mniejwięcej tyle co dwie gubernie Królestwa Polskiego, warszawska i piotrkowska; że mimo tej

---

Bądźcobądź najlepszą rękojmią wolności jest zbrojność, tak na zewnątrz jak na wewnątrz.

*) Jak mało się natomiast do użycia przeciw „wrogowi wewnętrznemu" nadaje milicya miejscowa, tego doświadczyły niektóre szwajcarskie rządy kantonalne (np. genewski), kiedy powołały milicyę do tłumienia rozruchów strejkowych. Wynikiem były masowe dezercye, a w dalszym ciągu trwała organizacya tych dezercyi na wszelkie przyszłe wypadki z góry przez robotnicze związki zawodowe. Jedyną karą, która spada na dezerterów, są niezbyt wysokie grzywny, a grzywny te za „skazańców" płacą związki robotnicze. Szczególnie pouczającym był wypadek znanego socyalisty genewskiego, Jean'a Sigg, francuskiego adjunkta szwajcarskiego sekretaryatu robotniczego. Powołany do służby w milicyi podczas strejku powszechnego, ostentacyjnie odmówił posłuszeństwa, za co został skazany na pięć dni aresztu oraz zawieszony na rok w urzędzie. Po roku Jean Sigg napowrót objął swój urząd, dość hojnie subwencyonowany przez rząd szwajcarski. Dla lepszego zrozumienia sytuacyi należy zresztą dodać, że ów „wróg wewnętrzny" był właściwie w znacznej mierze zewnętrznym wrogiem: nader wybitną rolę przy owych rozruchach strejkowych odgrywali bowiem napływowi robotnicy cudzoziemscy, głównie włosi z królestwa włoskiego, niżsi kulturalnie od robotników szwajcarskich, a zarazem niesforniejsi, bo nieprzywykli do demokratycznych form życia publicznego.

niewielkiej liczby ludności Szwajcarya jest federacyą dwudziestu pięciu republik; że włosi szwajcarscy, których ogółem jest dwieście tysięcy, mają swój osobny kanton (tesyński), zaś francuzi szwajcarscy, których ogółem jest siedemset tysięcy, a zatem niewiele więcej, niż litwinów w suwalskiej gubernii, mieszkają głównie w pięciu kantonach wyłącznie lub przeważnie francuskich (genewski, wodejski, fryburski oraz Neufchatel i Wallis), mają więc pięć sejmów dla siebie; że konstytucya szwajcarska uznaje trzy języki państwowe, niemiecki, francuski i włoski, i te same trzy języki są językami urzędowymi parlamentu centralnego; że rękojmią równouprawnienia mniejszości narodowych w Szwajcaryi jest sąsiedztwo dwóch potężnych państw narodowych: Francyi i Włoch, któreby każdej chwili mogły przyjść w pomoc swoim rodakom w Szwajcaryi, gdyby im się działa jakaś poważna krzywda *); że wreszcie mimo to wszystko właśnie ta trójnarodowość jest dla demokracyi szwajcarskiej bardzo ciężką kulą u nogi. Albowiem francuzi szwajcarscy żywią zaciętą nieufność do władz centralnych w Bernie, jako do władz niemieckich; tę wiecznie czujną, wiecznie drażliwą nieufność ustawicznie koić trzeba ustępstwemi przy obsadzaniu posad — ustępstwami, które nieraz już wprost na niesprawiedliwy przywilej zakrawają. To też w parlamencie, i przy bezpośredniem głosowaniu ludowem niejedna postępowa ustawa upadła, bo z wstecznikami z pośród niemców połączyli się wszyscy francuzi; a połączyli się dlatego, że boją się jak ognia wszelkiego rozszerzenia zakresu działalności władz centralnych. Oto dlaczego w Szwajcaryi nawet w takich wypadkach, gdzie pewne minimum centralizacyi jest poprostu niezbędne, o to minimum tak ciężkie walki staczać trzeba. Cierpią z tego powodu szczególnie reformy społeczne. Tak więc przykucie do większości innoplemiennej nawet tak światły, wysoce kulturalny żywioł, jak francuzów szwajcarskich, spycha na drogę reakcyi w sprawach ogólno-państwowych. Gdyby się francuzi szwajcarscy przyłączyli do Francyi, a włosi do Włoch, to w pozostałej Szwajcaryi jednonarodowej **) demokracya daleko żwawiejby się rozwijała i daleko szybciej napełniałaby się treścią socyalistyczną.

*) W prasie genewskiej właśnie teraz odzywają się groźby oderwania się i przywołania pomocy Francyi, na wypadek żeby rząd centralny w Bernie trwał w niesprawiedliwości wobec francuzów szwajcarskich. Co zaś do kantonu tesyńskiego, to ewentualność zagarnięcia go przez Włochy stanowi stałą troskę szwajcarskich mężów stanu.

**) Wolno nam na ten raz nie brać pod uwagę garści retoromanów w kantonie Graubünden (37.000 głów, czyli trzecia część ludności kantonu), którzy właśnie dlatego, że cieszą się najzupełniejszem równouprawnieniem językowem i politycznem, bez oporu ulegają germanizacyi.

Ale może mi ktoś jako przykład demokratycznej federacyi różnych narodów, połączonych a jednak nie uciśnionych, zacytuje Stany Zjednoczone Ameryki północnej? Może właśnie Ameryka jest wzorem owej federacyi wolnych z wolnymi, równych z równymi, która dzisiaj niektórym sympatycznym optymistom wydaje się rzeczą tak łatwą do zrobienia, jak ulepienie garnka?

Istotnie, ślicznie na tej federacyi wyszli innoplemieńcy. Ślicznie na niej wyszli Indyanie, przyjęci na współwyznawców przez kościół chrześciański, a jednak gnani od przytułku do przytułku, ustawicznie łudzeni uroczystemi obietnicami, które nieustannie łamano, wyzyskiwani do krwi przez nieuczciwych urzędników, z dawnych urodzajnych siedzib przenoszeni coraz dalej na zachód, na tereny coraz gorsze, wkońcu kordonem wojskowym zamknięci na najodludniejszych, najstraszniejszych pustkach, gdzie dla szyderstwa kazano im się zaprawiać w rolnictwie, wreszcie prowokowani do buntów i wyrzynani! *) Ślicznie na tej federacyi równych z równymi wyszli Murzyni, po wojnie domowej, rzekomo o ich wyzwolenie prowadzonej, uroczyście uznani jako równouprawnieni obywatele wolnej republiki amerykańskiej w r. 1865, ale już dziesięć lat później usunięci od rządów przez zbrojną kontrrewolucyę, a odtąd wyzuci z praw politycznych przez ustawy wyjątkowe i jawne bezprawie,**) tropieni jak zwierzyna i paleni żywcem! I dziwnie, bardzo dziwnie też wyszli na tej federacyi równych z równymi mieszkańcy Nowego Meksyku, chrześciańscy, cywilizowani Hiszpanie, dawno przed osadnikami angielskimi praktykujący sztuczne nawodnienie pól. Gdyby przestrzegano konstytucyę i względem innoplemieńców, Nowy Meksyk już od kilkunastu lat powinienby być nie terytoryum, absolutystycznie rządzonem przez biurokracyę nadesłaną z Waszyngtonu, tylko autonomicznym stanem z odrębnym sejmem i wybranym przez ludność rządem krajowym. Wszak według konstytucyi amerykańskiej każde terytoryum staje się stanem w chwili, kiedy się w nim znajduje 60.000 dorosłych obywateli, uprawnionych od głosowania. Nadto ten paragraf konstytucyi niejednokrotnie łamano na korzyść terytoryów bardzo słabo zaludnionych, ale zalu-

*) Obacz: Friedrich Ratzel, Politische Geographie der Vereinigten Staaten von Amerika (München 1893, Verlag R. Oldenbourg), str. 218—234. Porównaj: Elisée Reclus, Nouvelle Géographie universelle, vol. XVI., str. 40—78, 484—489, 461—463, 678—688.

**) Obacz: Professor Alexander Johnston, The United States, its history and constitution (New York, Charles Scribner's Sons, 1891), str. 249, 258—259; Reclus, tom XVI., str. 688—700; Ratzel, l. c. str. 281—284; Ratzel, Städte- und Kulturbilder aus Nordamerika (Leipzig, Brockhaus, 1876), II. 42—47.

dnionych przez Anglosasów. Tak w r. 1890 łączna liczba całej ludności (a więc nietylko dorosłych mężczyzn, lecz mężczyzn, kobiet i dzieci razem) wynosiła w Montana dopiero 131.769 głów, w Idaho 84.385, w Wyoming 60.761, w Nevada nawet tylko 45.761. Żaden z tych krajów nie posiadał więc przepisanej liczby minimalnej obywateli. Mimo to terytorya Montana i Wyoming już w r. 1889 uznane zostały za autonomiczne stany, a najpóźniej w r. 1892 już i Idaho i Nevada figurują pomiędzy stanami. Natomiast Nowy Meksyk, mimo że już w r. 1890 miał niemniej jak 144.862 mieszkańców, jeszcze w r. 1902 był terytoryum, pozbawionem praw autonomicznych. Przyczynę tej nierównomierności już w r. 1892 całkiem jasno wskazał Elizeusz Reclus, stwierdzając, że Nowy Meksyk doznaje takiej krzywdy „niewątpliwie z powodu narodowości hiszpańskiej swoich mieszkańców, których się wbrew konstytucyi traktuje jako obcych*)." Co się zaś tyczy przybyszów włoskich, polskich, litewskich, słowackich, węgierskich, żydowskich, od których się roi w Nowym Jorku i w innych wielkich miastach amerykańskich, to przecież wiadomo, że znaczną część tych przybyszów stanowią wychodźcy czasowi, którzy zaoszczędziwszy nieco grosza, wracają do kraju rodzinnego: ci naturalnie w życiu politycznem Ameryki żadnego poważnego udziału nie biorą, chociażby dlatego, że nie nabywają obywatelstwa amerykańskiego. Natomiast ci z pośród przybyszów, którzy na zawsze zostają w Ameryce, o tyle tylko względnie nieźle wychodzą na konstytucyi amerykańskiej, o ile wyrzekają się samoistnego bytu politycznego i wsiąkają w panującą narodowość anglosaską: to też ta asymilacya odbywa się ze zdumiewającą szybkością. Niewątpliwie Ameryka daje swoim obywatelom bardzo dużo swobód, ale daje te swobody — swoim, przyczem w doborze tych przybyszów, których gotowa jest uznać za swoich, staje się z roku na rok coraz wybredniejszą. Wszelka zaś próba owładnięcia którymkolwiek ze stanów lub terytoryów celem utworzenia społeczeństwa o typie obcym, nie anglosaskim i nie amerykańskim, byłaby niemiłosiernie stłumiona, jak stłumione zostały nie tylko aspiracye Murzynów w latach siedemdziesiątych, ale taksamo i aspiracye Mormonów do utrwalenia swojej odrębności kulturalnej i politycznej w kraju Utah, mimo że ci pracowici sekciarze, uchodząc przed krwawem prześladowaniem, zastali kraj poza Górami Skalistemi jako odludną pustynię kamienną, a żelazną energią i mrówczą łącznością swoją prze-

*) Reclus, tom XVI, str. 616. Porównaj: Ratzel, Politische Geographie der Ver. St. v. Am., str. 116—117 i str. 258—259.

mienili go na uśmiechniętą krainę złotych łanów pszennych *). A jednak w tym swoim własnym kraju, pracą ich rąk z niczego stworzonym, Mormoni zostali ujarzmieni zbrojną przemocą i znosić muszą ucisk religijny. Nie obroniła więc Mormonów tożsamość języka, nie obroniło ich pokrewieństwo rasowe **); przeobrażeni suggestyą religijną swoich proroków na typ nowy, odrębny, sprzeczny z ogólnemi założeniami życia amerykańskiego, ci znakomici pionierzy osadnictwa zostali potraktowani jako wrogowie i zgnębieni.

Słowem, przykład Ameryki uczy nas, że federacya jest bardzo dobrą rzeczą dla jednoplemieńców, natomiast dla różnoplemieńców rzeczą złą. Uczy nas, że federacya między różnoplemieńcami staje się niechybnie płaszczykiem gnębienia słabszej strony przez silniejszą — nawet na tak wysokim poziomie oświaty i kultury, na jakim stoi Ameryka: nawet w owym klasycznym kraju tolerancyi, za który Ameryka pod wieloma względami słusznie uchodzi.

Prawda pozostaje więc prawdą: niezbędną przesłanką demokracyi jest swojskie państwo. Innemi słowy, niezbędną przesłanką utrwalenia demokracyi jest zdobycie niepodległości obszarów narodowych.

W zastosowaniu do kwestyi polskiej znaczy to: niezbędną przesłanką utrwalenia demokracyi w Polsce jest wywalczenie niepodległości trójzaborowej Polski w granicach etnograficznych. A ponieważ bez demokracyi niema socyalizmu, więc wywalczenie niepodległości trójzaborowej Polski w granicach etnograficznych jest niezbędną przesłanką urzeczywistnienia socyalizmu w Polsce.

III.

Niepodległość a Międzynarodowość.

Dążymy więc do niepodległości Polski etnograficznej i gotowiśmy o tę niepodległość prowadzić wojnę, o ile tylko ta wojna będzie miała widoki zwycięstwa.

Ale czy nam to wolno?

Słyszę, jak całe pokolenie młodych socyalistów polskich z oburzeniem świątobliwem w oczach, zadaje mi to pytanie: Czyliż nam to wolno? Czy nam, socyalistom, wolno chcieć prowadzić wojnę — i jeszcze do tego wojnę o cel narodowy? Wszak socyalizm jest międzynarodowy!

*) Reclus, tom XVI, str. 607, 613, 779—780. Ratzel, Polit. Geogr. d. Ver. St. v. Am., str. 382, 385, 395. Johnston str. 189.

**) Pierwszymi członkami sekty Mormonów byli przeważnie zamerykanizowani Skandynawcy.

Racya. Socyalizm jest międzynarodowym. W imię tej międzynarodowości Marks w r. 1848 gwałtownie parł Niemcy do wojny z Rosyą, a Engels w r. 1859 do wojny z Napoleonem III. W imię tej międzynarodowości Marks i Engels gorąco życzyli zwycięstwa powstańcom węgierskim w ich wojnie przeciwko Austryi, mimo że w Austryi ówczesnej dalibóg nie brakło żywiołów rewolucyjnych; a Freiligrath, partyjny poeta kierowanego przez Marksa Związku komunistów, ognisty piewca rewolucyi społecznej, jeden ze swoich wybitniejszych utworów poświęcił tej właśnie wojnie, pod hasłem niepodległej republiki narodowej prowadzonej przez Węgrów przeciwko państwu austryackiemu. W imię tej międzynarodowości Marks, Engels i Liebknecht dążyli do odbudowania Niemiec jako republiki niepodległej i jednolitej; niewątpliwie też Engels, biorąc w r. 1849 pod komendą Mierosławskiego udział w powstaniu badeńskiem, pojmował to powstanie jako część składową walki o utworzenie republiki nie badeńskiej tylko, ale wszechniemieckiej. W imię tejże międzynarodowości ten sam Engels był zwolennikiem ogólno-niemieckiej wojny przeciwko Danii, celem odebrania duńczykom Holsztynu, a nawet Szlezwiku. W imię tejże międzynarodowości bohaterskie boje o odbudowanie niepodległej Italii staczał socyalista — Garibaldi *). W imię tejże międzynarodowości rewolucyjny proletaryat paryski w r. 1870 i 1871 domagał się jaknajenergiczniejszego odparcia najazdu niemieckiego, a niezadowolenie ze słabości i niedołęstwa urzędowych obrońców ojczyzny niemało się przyczyniło do wybuchu powstania robotniczego w Paryżu i do proklamacyi komuny. W imię tejże międzynarodowości w tymże roku 1870 w parlamencie północno-niemieckim z pięciu posłów socyalistycznych trzech: wódz lassalleańczyków Schweitzer, lassaleańczyk Hasenclever i marksista Fritzsche, głosowali za pożyczką wojenną, a tylko dwóch: Liebknecht i Bebel, wstrzymało się od głosowania, za co ich ostro zganił zarząd ich własnej partyi z Bracke'm na czele **), tenże zarząd wydał odezwę, w której wyrażał nadzieję, że z wojny wszystkich państw niemieckich przeciwko Francyi wyłoni się zjednoczone „państwo niemieckie". W imię tejże międzynarodowości urzędowy historyk socyalnej demokracyi niemieckiej, Franciszek Mehring, jeszcze w r 1904 wyraźnie uznał ówczesną politykę Schweitzera oraz Brackego w kwestyi

---

*) O socyaliźmie Garibaldiego i jego stosunkach do Międzynarodówki obacz ciekawy artykuł dra Roberta Michelsa w „Dokumente des Socialismus".

*) Obacz: Franz Mehring, Geschichte der deutschen Socialdemokratie, tom IV., str. 5—7. Porównaj także znaną książkę o procesie o zdradę stanu przeciwko Liebknechtowi, Beblowi i Hepnerowi. Bracke i wśród polskich robotników powszechnie jest znanym jako autor broszury: „Precz z socyalistami!".

wojny za słuszną, a potępił zachowanie się Liebknechta w tej sprawie, jako niepraktyczne i marzycielskie. A przecież i Liebknecht w r. 1871 oświadczył przed sądem, że od pierwszej młodości przyświecały mu dwa ideały: wyzwolenie proletaryatu i zjednoczenie Niemiec. W imie tejże międzynarodowości guesdyści francuscy niejednokrotnie oświadczyli na swoich zjazdach, że w razie wojny socyaliści będą najgorętszymi obrońcami Francyi, Bebel zaś niejednokrotnie w parlamencie Niemiec, zjednoczonych pod berłem Hohenzollernów, oświadczył swoją gotowość do bronienia z karabinem w ręku każdej piędzi ziemi p a ń s t w a niemieckiego...

Zresztą, w imię tejże międzynarodowości znaczna część socyalistów bułgarskich przez długi czas popierała zbrojny ruch macedoński, dążący do zjednoczenia całej Bułgaryi etnograficznej. W imię tejże międzynarodowości socyaliści norwescy, jak wiadomo, bardzo stanowczo popierali akcyę, dążącą do niepodległości Norwegii, socyaliści węgierscy zaś oświadczyli się za zerwaniem ugody z Austryą, za zniesieniem wspólnego wojska i wspólnej linii cłowej, słowem, za zniesieniem „unii realnej“ i zastąpieniem jej „unii osobowej“, czyli za faktyczną niepodległością Węgier.

W imię tejże międzynarodowości wódz marksistów angielskich, sławny Hyndman, oświadcza się za wzmocnieniem floty wojennej angielskiej, aby Anglia tem łacniej mogła poskromić reakcyjne a zaborcze Niemcy...

A zatem do niepodległości Węgier dążyć wolno, do niepodległości Norwegii dążyć wolno, o niepodległość i całość Włoch walczyć wolno, o niepodległość i całość Bułgaryi walczyć wolno, o niepodległość i całość Francyi walczyć wolno, o niepodległość i całość Niemiec walczyć wolno, Anglię zachęcać do wojny z Niemcami wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Rosyą wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Danią wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Francyą wolno. Tylko o niepodle i całość Polski walczyć nie wolno; tylko Polskę nawoływać do wojny z ciemiężcami Polski — to zbrodnia!

Gdzie tu logika?

Faktycznie żadne stronnictwo socyalistyczne, które się rozrosło do poważnych rozmiarów i ogarnęło szersze masy ludu pracującego, nie było w stanie na dłuższą metę usunąć kwestyi narodowych ze świadomości swoich uczestników. I wcale też takie okaleczenie umysłów nie jest zadaniem stronnictw socyalistycznych. Czy staniemy na dawnem stanowisku Engelsa, którego międzynarodowość niespełna rok po napisaniu Manifestu komunistycznego tyczyła się już tylko „narodów rewolucyjnych“, skazując „narody reakcyjne“ na rozgromienie i zagładę; czy

też staniemy w kwestyi narodowej na szerszem i słuszniejszem stanowisku Bakunina, którego międzynarodowość obejmowała w zasadzie **wszystkie** narody świata, nie wyłączając nawet najbardziej wzgardzonych plemion słowiańskich, a który z pewnością nie wahałby się przyjąć do braterskiej wspólnoty międzynarodowego socyalizmu i socyalną demokracyę buryacką, a nawet i socyalistyczną organizacyę Turków Aderbejdżańskich — w każdym razie kwestye narodowe istnieją, i socyalizm musi się niemi poważnie zajmować, o ile sam chce być czemś poważnem. Dążenie do braterskiej zgody między narodami bynajmniej nie obowiązuje socyalistów do ugruntowania swojej polityki na utopijnej przesłance, jakoby ta braterska zgoda już dzisiaj wszędzie istniała. Natomiast wszędzie i zawsze obowiązuje socyalistów **walka o demokracyę**, jako o niezbędną przesłankę socyalizmu, ponieważ zaś niezbędną przesłanką demokracyi jest niepodległość narodowa, więc dążenie do niepodległości narodowej obowiązuje socyalistów zawsze i wszędzie. Niemniej obowiązkiem socyalistów jest i popieranie narodów sąsiednich w walce o niepodległość, i tu właśnie leży jedno z najważniejszych zadań międzynarodowej polityki socyalistycznej. Nie jest to zresztą bynajmniej jedyny objaw socyalistycznej międzynarodowości. Wszak i walki strejkowe mogą wymagać współdziałania robotników różnych narodów, tembardziej, że wyzysk feudalny i kapitalistyczny krocie robotników wyrzuca z ojczyzny i zmusza ich do szukania kęsa chleba na emigracyi. W przyszłości socyalizm położy kres tym bolesnym wędrówkom, zapewniając wszystkim członkom narodu pracę i dobrobyt w kraju; na razie jednak trzeba łatać dziurę jak można, a więc np. nawoływać górników niemieckich i polskich w Westfalii, żeby się nie kłócili między sobą, tylko solidarnie walczyli przeciw przytłaczającemu ich wyzyskowi kapitalistycznemu — chociaż niewątpliwie i dla niemców i dla polaków o wiele lepiejby było, gdyby ci górnicy polscy mogli wrócić do Polski. Zresztą i bez emigracyi zarobkowej wyłonić się może konieczność międzynarodowej solidarności strejkowej, bo strejk może przekroczyć granice etnograficzne; tak np. ostatni wielki strejk górników w austryackich kopalniach węgla przekroczył przynajmniej dwie takie granice, bo sięgał od czysto niemieckich okolic Chebu poprzez ziemię czeskie aż po Karwinę, Frysztat i Orłowę, a więc aż do Polski etnograficznej. A i wtenczas, kiedy udział w strejku biorą wyłącznie robotnicy jednego narodu, czynne poparcie strejkujących przez robotników innych narodów może być wskazanem tak z przyczyn praktycznych, jak i idejowych. Co się zaś tyczy polityki, to oczywista każde zwycięstwo demokracyi i socyalizmu w jednym kraju wzmacnia pozycyę demokracyi i socyalizmu

w krajach ościennych; a każda reforma społeczna, w jednym kraju przeprowadzona i pomyślnie funkcyonująca, zachęca do naśladownictwa nawet w krajach dalekich. Wreszcie zdarza się często, że nieszczęsny los — spadek po dawnych, barbarzyńskich czasach, kiedy ludność była niczem, a dynastya wszystkiem — w granicach jednego państwa, niby we wspólnem więzieniu, zamknął proletaryat różnych narodów: w takim razie, o ile wróg jest wspólnym, o tyle też stała i ścisła koordynacya walki przeciw temu wrogowi jest w najwyższym stopniu pożądaną. Ale to wszystko nie zwalnia socyalistów od zasadniczego obowiązku walki o wolność narodową, ani od faktycznej konieczności tej walki — konieczności w umysłach ludu pracującego nie zawsze jasno sformułowanej, ale odczutej głęboko i żywiołowo. Wszak właśnie dla ludu pracującego kwestya wolności narodowej jest kwestyą życia i śmierci; wszak właśnie dla robotnika i chłopa, władającego wyłącznie językiem ojczystym, najwspanialsze swobody polityczne stają się martwą literą, jeśli korzystanie z nich warunkowane jest używaniem obcego języka. Wszak tragedya wrzesińska była tragedyą dla dzieci ludu polskiego, nie dla synów hrabiowskich, z którymi i tak bona mówi po francusku, a „frejlina" po niemiecku. Wszak sędziowie pruscy za mimowolne krzywoprzysięstwo na ciężkie roboty skazują robotnika i chłopa polskiego, który się po niemiecku wysłowić nie umie, nie zaś inteligenta polskiego, którvby od biedy i książkę po niemiecku napisać potrafił. I tak było mniej więcej zawsze. Wielojęzycznemi i beznarodowemi zazwyczaj były kliki uprzywilejowane: dynastye, rody magnackie, hierarchie kościelne, które różnej maści owieczki jednemi beznarodowemi nożycami strzygły. Beznarodowym był szlachcic polski w owych czasach, kiedy ze szlachcicem węgierskim po łacinie rozmawiał jako z bratem, a polskiemu chłopu po polsku od chama i bydlęcia wymyślał. Beznarodowymi byli książęta niemieccy w owych czasach, kiedy za roczną pensyę służyli królowi szwedzkiemu lub francuskiemu przeciw swoim własnym rodakom — i później jeszcze, kiedy to za gotówkę sprzedawali tysiące swoich młodych poddanych obcym mocarstwom jako żołnierzy, aby gdzieś w Ameryce lub Afryce bili się i ginęli za cudzą sprawę. Kto na tyle jest panem, że bliższym mu jest obcy pan od swojskiego raba, ten zazwyczaj jest beznarodowym, jakkolwiek nieraz obłudnie haseł narodowych nadużywa, aby korzystać z prostodusznej wierności maluczkich. Najbardziej beznarodowymi zaś zawsze bywali ci, którzy krokiem olbrzyma-półboga stąpając po karkach zgarbionych milionów, swobodnie i gnuśnie przechadzali się od stolicy do stolicy, od jednego zamku królewskiego do drugiego, od jednych igrzysk dworskich do drugich. Czyż można wymyśleć coś bardziej bez-

narodowego nad współczesne dynastye europejskie, łączące się między sobą koligacyami ustawicznie wznawianemi aż do kazirodztwa, aż do zidyocienia, aby tylko, broń Boże, krew królewska nie zmięszała się z krwią własnego narodu? Jakich naprzykład uczuć narodowych można się spodziewać po członkach dynastyi holsztyńskiej, panującej dzisiaj w Rosyi, Danii i Grecyi? Albo po członkach dynastyi koburskiej, która się rozsiadła na pięciu tronach: na tronie książęcym sasko-kobursko-gotajskim oraz na tronie angielskim, belgijskim, portugalskim i bułgarskim? Natomiast lud pracujący, czy jęczał w niewoli, czy żył w poddaństwie feudalnem, czy pracował w najmie, zawsze swojską tylko władał mową i był szczerze i głęboko narodowym. Mógł sobie nawet nie zdawać sprawy z tego, mógł nieznać nazwy swojego własnego narodu, mógł mawiać: „my tutejsi“, „my po naszemu mówimy“ — a jednak przy zetknięciu z obcą mową, obcymi obyczajami, obcem panowaniem lud pracujący zawsze ujawnia namiętne przywiązanie do wszystkiego co swojskie, przeto dlań zrozumiałe, a gwałtowną niechęć i nieufność do wszystkiego co obce. I dzisiaj pod tym względem nie tak wiele się zmieniło. Doświadczenie uczy, że i w erze kapitalistycznej zdarzają się chwile, kiedy rozhukana namiętność narodowa, kiedy wojownicza nienawiść do narodu-wroga ogarnia wszystkie warstwy ludności, przyczem im dłużej trwa taki ruch, tem bardziej lud pracujący staje się wprost jego punktem ciężkości. Przytem, chociażby spodziewać się należało, że uświadomienie socyalistyczne potrafi nadać tej namiętności narodowej kierunek szlachetny, nie zaborczy, tylko czysto obronny, jednakże w praktyce nie zawsze to się udaje. Mimo wszelkich eufemizmów Mehringa trudno wątpić o tem, że w r. 1870 u ogromnej większości socyalistów niemieckich międzynarodowy socyalizm poprostu utonął w szale nienawiści francuzożerczej. A kilka lat temu widzieliśmy podobne objawy, chociaż w mniejszym stopniu i wśród okoliczności bardziej łagodzących, u bardzo znacznego odłamu zorganizowanych, wielkoprzemysłowych robotników angielskich. Naturalnie należy żywić nadzieję, że w miarę ugruntowania i pogłębienia przekonań socyalistycznych u ludu pracującego takie masowe wykolejenia coraz rzadziej się zdarzać będą. Ale jeżeli chcemy, żeby międzynarodowość socyalistyczna była wytrzymałą na szalejące burze walk narodowych, to nie wolno nam jej opierać ani na kłamstwie ani na samozłudzeniu; a kłamstwem albo samozłudzeniem jest twierdzenie, jakoby lud pracujący nie miał narodowości. Właśnie lud pracujący jest w głębiach swej duszy nawskróś narodowym, i te właśnie głębie są jedynem prawdziwem źródłem owych potężnych namiętności narodowych, z których politycy klas uprzywilejowanych tylko

korzystają, czasem szczerze, najczęściej mniej lub więcej machiawelistycznie. Ale też tylko właśnie od tej szczerej, żywiołowej namiętności narodowej prowadzi jedyna droga do prawdziwej międzynarodowości, która jest całkiem czemś innem, niż beznarodowość. Beznarodowość sfer kierujących, która ignoruje narodowe potrzeby mas ludowych, zawsze tylko zaostrza i zatruwa walki narodowe, bo rzuca słabszych na żer silniejszym, bo rozzuchwala silniejszych, a słabszych doprowadza do rozpaczy. Prawdziwa międzynarodowość natomiast działa jak oliwa na wzburzone fale nacyonalistyczne — bo prawdziwa międzynarodowość, to sojusz żywiołów ludowych różnych narodów na podstawie wzajemnego uznania słusznych praw każdego narodu, z czem się ściśle łączy wyrzeknięcie się wszelkich niesłusznych pretensyi zaborczych. Aby zaś rozpoznać, gdzie w sprawach narodowych jest sprawiedliwość a gdzie krzywda, na to trzeba „plunąć na skorupę i zstąpić do głębi“, wkroczyć do owych głębin życia ludowego, tak często zamaskowanych dla powierzchownego wzroku pod pokostem „praw historycznych“, „norm państwowych“, „języka urzędowego“ i tym podobnych natarczywych fikcyi. Trzeba zapuścić sondę do owych warstw głębokich, gdzie wbrew narzuconej polskości Galicya wschodnia okazuje się krajem przeważnie ukraińskim, a Śląsk cieszyński, Górny Śląsk pruski, Kaszuby aż po sam Bałtyk wbrew narzuconej niemieckości okazują się dzielnicami polskiemi. Trzeba sięgnąć do owych głębi, gdzie mimo siedmiuset lat niewoli przetrwał do dziś dnia bohaterski lud łotewski, przetrwali Finowie i Estowie; do owych głębi, gdzie mimo tysiącoletniego panowania szlachty niemieckiej przetrwał odradzający się dzisiaj naród słoweński. Te zapomniane nieraz przez urzędową naukę, ignorowane przez dyplomatów ludy ujarzmione, dla których tysiąc lat najazdu są jakby jeden dzień, te ludy, „bez historyi“, które przetrwały tyle dynastyi, tyle państw, tyle ustrojów społecznych, tyle szkół filozoficznych, tyle mód teoretycznych — to podmorskie skały granitowe, niewidzialne dla oka podróżnego, który natomiast wzrokiem pełnym podziwu śledzi groźne bałwany, coraz na nowo piętrzące się na powierzchni morza. A jednak te bałwany huczące, pieniące się i ginące po kilku minutach nie są żadną przeszkodą dla biegłego wioślarza, podczas gdy o te milczące skały podmorskie rozbić się może największy parowiec. Ale tak jak te skały ukryte w głębokiej toni morskiej niewidzialne są dla pasażerów okrętu, a podwójnie niewidzialne dla kosmopolitycznej publiczności w eleganckich kostyumach kąpielowych, maczającej nóżki i flirtującej przytem na płytkiem wybrzeżu, taksamo zasadniczych zjawisk życia narodowego rdzennych mas ludowych nie dostrzegają ani ludzie z wierzchu społeczeństwa: ary-

stokraci i plutokraci, ani ludzie od brzegu społeczeństwa: komiwojażerzy. Dlatego też arystokraci, plutokraci i komiwojażerzy wszędzie skłaniają się do beznarodowości. Ale też właśnie dlatego jedyna prawdziwa i konsekwentna demokracya, która dzisiaj istnieć może: demokracya społeczna, powinna się jak ognia wystrzegać naśladowania arystokratów, plutokratów i komiwojażerów. Socyalna demokracya chcąc powołać do czynnego udziału w życiu społecznem milionowe masy ludu pracującego, powinna na każdem terytoryum narodowem z osobna dostosować całą nadbudowę polityczną do szerokich podwalin ludowych; tylko tą drogą można wytworzyć społeczeństwo szczerze demokratyczne, gdzie podniety do czynu przechodzą od jednego ogniwa społecznego do drugiego nie drogą rozkazów, wydanych w obcym języku, a zatem zrozumianych powierzchownie a wykonywanych mechanicznie, tylko drogą owego szybkiego, łatwego i całkowitego porozumiewania się dusz ludzkich, które jest możliwem jedynie na podstawie jedności narodowej. Innemi słowy, międzynarodowość socyalistyczna może się opierać tylko na wzajemnem przyznawaniu każdemu narodowi prawa do niepodległości państwowej w granicach jego terytoryum etnograficznego. Na dążeniu do tej niepodległości powinny się opierać wszelkie sojusze między partyami socyalistycznemi; na urzeczywistnieniu tej niepodległości opierać się będzie w przyszłości braterskie współdziałanie wolnych narodów.

Ale może to tylko demokracya mieszczańska, czy drobnomieszczańska tak rozgranicza narody? Czyż ustrój socyalistyczny, czyliż wspólna własność środków produkcyi nie zleje wszystkich narodów w jeden, nie zniesie wszelkich granic?

Zarzut ten, bardzo często stawiany, świadczy o tem, że stawiający go „ortodoksalni marksiści“ jeszcze nigdy się bliżej nie zastanowili nad tem, czem się właściwie różni państwo socyalistyczne od państwa kapitalistycznego. Państwo kapitalistyczne, a szczególnie najczystszy typ jego, państwo manczestersko-liberalne, jest sobie, ot wiotkim dachem czy parasolem wspólnym, chroniącym od ulewy, gradu i zawieruchy dziesiątki tysięcy wzajemnie niezależnych gospodarstw prywatnych. A ponieważ między tym parasolem a chronionemi przezeń gospodarstwami żadnego ściślejszego związku organicznego niema, więc jedno i to samo gospodarstwo prywatne może się doskonale rozsiąść pod dwoma lub trzema parasolami państwowymi. Jeden i ten sam kapitalista może posiadać kopalnie we Francyi i w Niemczech, fabryki maszyn w Anglii i w Ameryce, zakłady tkackie w Berlinie i w Łodzi, może odcinać kupony od akcyj kolejowych austryackich i włoskich, pobierać procenta od renty tureckiej i hiszpańskiej. Olbrzymie masy towarów, na prywatny

rachunek zakupionych, z łatwością przechodzą granicę w jednym i drugim kierunku; wszak na granicy pobiera się tylko cła, a cła są tem niższe, im czystszym jest kapitalistyczny charakter państwa. Wygórowane cła rosyjskie świadczą o tem, że kapitalizm rosyjski znajduje się dopiero w pieluchach; minimalne cła angielskie, tyczące się niektórych zaledwie towarów, świadczą o dojrzałości kapitalizmu angielskiego*). Tak więc państwo manczestersko-kapitalistyczne, nie roszczące pretensyi do organizowania przemysłu, wyrzekające się kierownictwa czynności gospodarczych na rzecz prywatnej inicyatywy i wolnej konkurencyi, sprowadza znaczenie granic do minimum. Przy takim systemie państwowości przesunięcie lub zniesienie jakiejś granicy jest dla światowych kapitalistów aferą trzeciorzędną, bo żadna granica na seryo im nie przeszkadza w robieniu interesów po obu stronach kordonu. Takie państwo, przez samowładny kapitalizm sprowadzone do marnej funkcyi „stróża nocnego", obojętnie patrzeć może nawet na masową emigracyę swoich poddanych, lub immigracyę obcych. Emigruje sto tysięcy chłopów do Ameryki? a niech jadą, jeśli konkurencya ich wyparła!**) Przybyło 60.000 Włochów, Rusinów, Słowaków? I owszem — praca stanieje! Wychodźcy głodzą się, chorują, mrą w podróży? Przedsiębiorcy, widząc bezradność przybyszów, wyzyskują ich w sposób nieludzki? Dozorcy biją ich, znęcają się nad nimi? Opuszczone rodziny wychodźców żyją w nędzy, dziczeją? To nie sprawa państwa; państwo nie

*) Protekcyonizm Ameryki jest tylko pozornym wyjątkiem. Ameryka wprawdzie ma bardzo dużo przemysłu, o ile chodzi o cyfry bezwzględne, albo nawet o procentowy skład ludności; ale jeszcze więcej ma terenów słabo zaludnionych, gdzie się zmieścić mogą jeszcze liczne dziesiątki milionów ludności, tak rolniczej jak i przemysłowej. Wyraża się to w rażąco niskiej cyfrze przeciętnego zaludnienia (9 mieszkańców na kilometr kwadratowy — zaś w Królestwe Polskiem 74, w Galicyi 93, na Górnym Śląsku 141). Wobec tego zrozumiałem jest, że Ameryka w kwestyi ceł zachowuje się wciąż jeszcze jak młody kraj osadniczy, którego przemysł jest po większej części jeszcze do stworzenia. Protekcyonizm niemiecki zaś jest anachronizmem ekonomicznym, wywołanym przez anachronizm polityczny — przewagę polityczną nie burżuazyi przemysłowej, tylko pruskiej szlachty ziemiańskiej, która swoją bankrutującą gospodarkę rolną ratuje cłami.

**) Jeśli galicyjskie władze czasami utrudniają chłopom emigracyę, to dzieje się to bynajmniej nie ze względu na potrzeby kapitalizmu, tylko ze względu na potrzeby feudalizmu—konkretnie mówiąc, ze względu na szlagoneryę galicyjską, jeszcze jałowszą od pruskiej pod względem ekonomicznym, a która za przykładem junkrów pruskich stara się przymusem przykuć do siebie uciekające siły robocze.

jest opiekunem dorosłych ludzi, ani ich rodzin — każdy sam swego szczęścia kowalem!

Tak więc, powtarzam, państwo kapitalistyczne sprowadza znaczenie granic do minimum. W biegunowem przeciwieństwie zaś do państwa kapitalistycznego, republika socyalistyczna nie jest ani dachem ani parasolem, tylko gmachem. Państwo socyalistyczne — to jednolite gospodarstwo narodowe, którego wszelkie części i cząstki, jakkolwiek autonomiczne, działają ku wspólnemu celowi i według wspólnego planu. Przypuśćmy dla przykładu, że Francya stała się republiką socyalistyczną. Otóż w takim razie francuska kopalnia węgla, to już nie kopalnia, która przypadkowo tylko leży we Francyi, a której właściciel lub główny akcyonaryusz może być Niemcem, Anglikiem, czy Amerykaninem; nie, to kopalnia stanowiąca własność narodu francuskiego, a zarazem kopalnia, wchodząca w skład zbiorowego gospodarstwa tego narodu. Węgle z tej kopalni ogrzewają mieszkania francuskie, opalają lokomotywy francuskie, wytwarzają siłę mechaniczną dla fabryk francuskich, a dopiero zbyteczna we Francyi nadwyżka tych węgli może być przez naród francuski sprzedaną jakiemuś narodowi obcemu. A jeśli granicę francuską przekracza naprzykład ładunek jedwabiów francuskich wartości trzech miljonów franków, to wysyłającym nie jest żaden prywatny kupiec lub fabrykant, tylko naród francuski; a zatem rząd narodowy pobiera od tego ładunku nie jakieś cło, wynoszące 1%, 5%, lub chociażby 20% wartości, tylko całą wartość sprzedanego towaru. A Francuz — to w tej przyszłej socyalistycznej Francyi już nie człowiek, mający paszport francuski, ale któremu poza tem wolno na własną rękę z głodu umierać i we Francyi i poza Francyą; nie, to członek wielkiej rodziny francuskiej, która wszystkich swoich synów wychowuje, karmi, odziewa, ugaszcza i zatrudnia we własnem gospodarstwie. Usunięcie stu francuzów od pracy — to pozbawienie się stu sił roboczych, którym tak czy siak utrzymanie dawać trzeba. A wyjazd stu francuzów za granicę — to dla tej wielkiej rodziny utrata stu synów i córek, których nie można zastąpić obcymi, bo z obcymi utrudnione porozumienie, bo obcym trzeba rozkazywać, bo obcych trzeba dozorować, podczas gdy ze swoimi półsłówkiem porozumieć się można, podczas gdy swoi, od dzieciństwa wychowani do wspólnej pracy, z przywiązania dla narodu-rodziny pracują bez przymusu i bez rozkazów. Republika socyalistyczna musi więc gorliwie i czujnie dbać o pracę dla swoich u siebie, bo utrata obywateli jest dla niej utratą krwi, a zastąpienie ich obcymi bolesną i niebezpieczną transfuzyą. To też republika socyalistyczna podniesie wyzyskanie przyrodzonych bogactw

własnego kraju, wykorzystanie wszelkiej możliwości pracy wytwórczej na własnym terenie, słowem, umiejętne zagospodarowanie swojskiej gleby, tak pod względem rolniczym jak i przemysłowym, do niebywałego dotąd napięcia. Regulacya swojskich rzek, wykończenie swojskiej sieci kolejowej, ulepszająca klimat racyonalna gospodarka lasowa, przyswojenie nowych odmian pożytecznych roślin i zwierząt, uprzystępnienie wszelkich odłogiem leżących skarbów mineralnych swojskiej ziemi, tworzenie fabryk, na miejscu przerabiających wszelkie surowce przez swojską przyrodę dostarczane; a jednocześnie wydobywanie, przez czujną a dyskretną pracę wychowawczą, z dusz swojskiej młodzieży wszelkich drzemiących w tych młodych duszach zdolności, planowe rozwijanie tych zdolności drogą kształcenia fachowego i wykorzystanie ich celem obsadzenia swoimi wszelkiego rodzaju posterunków w każdej dziedzinie pracy narodowej, słowem, wychowywanie wszechstronnie uzdolnionego narodu — takie będą główne zadania mężów stanu w okresie socyalistycznym. I tylko z tego jaknajintensywniejszego rozwijania sił każdego narodu z osobna wyniknie w końcu trwała harmonia międzynarodowa — wedle zasady, którą tak trafnie sformułował Fryderyk Rückert, ów skrzętny Niemiec karmiony mądrością Wschodu: „Gdy się róża sama stroi, ogród stroi sobą!"

Ale to wszystko znaczy, że państwo socyalistyczne podniesie znaczenie granicy do maximum. Granica stanie się niezmiernie ważnym organem socyalistycznego państwa. A ta granica nie może bujać gdzieś w powietrzu, tylko musi być pociągniętą na ziemi. A jeśli ma być pociągniętą na ziemi, a odpowiadać swojemu celowi, to oczywista musi być pociągniętą tam, gdzie istotnie dzieli swoich od obcych — a mianowicie między dwoma teryoryami etnograficznemi.

Dobrze więc, niepodległość jest potrzebną, granice są niezbędne nawet w socyalistycznym okresie. Ale prowadzić wojnę o niepodległość, przelewać krew o granice? Czyliż samo pojęcie wojny, tej systematycznie przygotowanej rzezi masowej nie sprzeciwia się pojęciu demokracyi, a cóż dopiero socyalizmu?

Otóż przyznaję, że istotnie w demokracyi tkwi tendencya do zniesienia wojen. Wolny naród lekkomyślnie nie wszczyna wojny. Może sobie samowładca lekkomyślnie szafować krwią plebsu, może arystokracya lekkomyślnie szafować krwią chamów; mogli i w minionych wiekach bogaci patrycyusze miejscy lekkomyślnie szafować krwią obcej, najemnej hołoty, krwią przybłędów „bez czci i wiary"; ale wolny naród swojej własnej krwi nie przelewa dla żartu. A tem bardziej państwo socyalno-

demokratyczne, które przecież tyle trudu wkłada w wychowanie każdej jednostki z osobna, będzie się wystrzegało trwonienia drogocennej krwi swoich synów. Ale z tą tendencyą pokojową krzyżuje się inna, niemniej silna, która właśnie najbardziej postępowe społeczeństwa najbardziej prze do wojny o postęp. Znamy tę tendencyę wszyscy, znamy ją oddawna: imię jej — tendencya rewolucyjna. Ta tendencya oswobodzicielka nietylko prze klasy ujarzmione danego narodu do zbrojnej walki przeciw swojskim klasom panującym; prze ona także wyzwolone narody do obrony krwawo wywalczonych swobód od wroga zewnętrznego, od międzynarodówki reakcyi. Jakkolwiek niefortunnym był ów Engelsowski podział narodów na rewolucyjne i reakcyjne, to jednak o tyle jest prawdą, że żadna postępowa zasada nie zwycięża u wszystkich narodów odrazu; a naród, który wprowadza w życie nową, rewolucyjną zasadę, jeszcze wyklinaną i prześladowaną przez rządy narodów sąsiednich, naraża się na wojnę z sąsiedniemi państwami. Tak było w wiekach średnich od czasów pierwszej krucyaty przeciwko Bogumiłom bośniackim, ojcom duchowym wszystkich późniejszych komunizmów chrześciańskich w Europie, a przeto pośrednio i socyalizmu nowoczesnego: tak jest dzisiaj i tak jeszcze dosyć długo będzie. Naród, który u siebie przestaje palić protestantów na stosie, tem samem naraża się na wojnę z narodem sąsiednim, u którego inkwizycya jeszcze jest górą; przykładem Anglia za Elżbiety, kiedy to Filip hiszpański wysłał przeciwko niej Niezwyciężoną Armadę pod dowództwem admirała Medina Sidonia, poprzednika Rożdiestwieńskiego. Naród, który otoczony monarchiami absolutystycznemi pierwszy u siebie zaprowadza republikę, ściąga na siebie świecką krucyatę, czyli koalicyę mocarstw reakcyjnych — dowodem wielka rewolucya francuska. Naród, który u siebie znosi szlachectwo, tem samem ściąga na siebie gniew swojego arystokratycznego sąsiada, nawet jeśli z nim przebywa w najściślejszej federacyi; przykładem Norwegja, która z tej przyczyny z r. 1821 stała bezpośrednio przed wojną ze Szwecyą, i tylko grube ustępstwa finansowe ze strony Norwegji w ostatniej chwili zażegnały burzę. Naród, który u siebie toleruje socyalistów, podczas gdy sąsiad ich prześladuje, naraża się na wojnę z tym sąsiadem; doznała tego Szwajcarya, która od r. 1879 do 1888 pozwalała socyalistom niemieckim wydawać swój nielegalny organ partyjny w Zurychu, aż w końcu groźby rządu niemieckiego zmusiły ją do wydalenia redaktorów tego pisma.*) A przecież chodziło tylko o to-

*) Byli nimi: Edward Bernstein (główny redaktor), Juliusz Motteler, Schlüter i Tauscher. Porównaj: Mehring, Geschichte der deutschen Socialdemokratie, tom IV, str. 168—69 i str. 305

lerowanie socyalistów, nie o socyalizm. Tembardziej więc naród, który pierwszy w Europie zaprowadzi u siebie ustrój socyalistyczny, ściągnie na siebie zbrojną koalicyę państw kapitalistynych, krucyatę czcicieli Mammona przeciw jego bluźniercom. Ta przyszła wojna koalicyjna będzie może krwawszą, niż wszystkie wojny napoleońskie razem wzięte. Ale jeśli się nie znajdzie naród bohaterski, który tę wojnę świadomie na siebie sprowadzi, to i socyalizmu nigdy nie będzie.

Oczywista, że żadna wojna rewolucyjna, ściśle biorąc, nie jest wojną przeciw narodowi wstecznemu. Nie naród jest wstecznym i kontrrewolucyjnym, tylko rząd jego i klasy panujące. To też logicznym wynikiem każdej takiej sytuacyi jest wezwanie. przez rząd postępowego państwa skierowane do ludu z tamtej strony granicy, aby odmówił posłuszeństwa swoim panom, chcącym go użyć do usług katowskich i stanął po stronie szermierzy wolności. Małoż to takich proklamacyi do ludności niemieckiej wydawały niegdyś francuskie wojska rewolucyjne? Słowem, dewizą każdej takiej walki jest hasło, tak dobrze znane nam Polakom: „za naszą i waszą wolność!“ Ale niestety, piękne to hasło nie robi zbytecznymi bagnetów i kul przeciwko tym, którzy go słuchać nie chcą. A ostatnie zdarzenia pod caratem chyba nas wszystkich przekonały, że zbrojnej reakcyi jeszcze bardzo długo nie zabraknie jańczarów. Gdybyśmy chcieli czekać, aż ich zabraknie całkiem, moglibyśmy się spać położyć na długie, długie stulecia...

Wojna jest straszną, ale stokroć straszniejszem jest gnicie bezbronnego narodu pod batem tryumfującej reakcyi. A tego bata niełatwo się pozbyć bez wojny. Kto więc dąży do wolności, temu nie wolno się wyrzec wojny o wolność. A to się tyczy i wolności społecznej, i politycznej, i narodowej.

Otóż i odpowiedź na pytanie; czy wolno nam o niepodległość Polski prowadzić wojnę? Wolno nam, o ilę ta wojna będzie możliwą i potrzebną. Szczerze i serdecznie witamy jako braci wszystkich tych Rosyan, którzy gotowi są do zbrojnej walki o wolność u siebie, a jednocześnie gotowi są do odmówienia rządowi rosyjskiemu katowskich usług przeciwko rewolucyjnej Polsce. Ale wobec tych Rosyan, którzy się do tych usług katowskich użyć dadzą, bynajmniej nie będziemy Tołstojowcami. Będziemy ich zwalczać na śmierć i życie, tak samo jak zresztą i zbirów, katów i zdrajców, z naszego własnego narodu wyszłych.

Tak stawiając kwestyę, jesteśmy w najzupełniejszej harmonii z owymi sławnymi socyalistami europejskimi, którzy tylekroć oświadczyli swoją gotowość do wojny o niepodległość i całość swojej ojczyzny.

Wszak Bebel gotów jest nawet wojować z republiką francuską w imię całości Niemiec monarchicznych i reakcyjnych. A mybyśmy się mieli cofnąć przed wojną za niepodległą republikę polską przeciw państwu Trepowów i Abramowów?

IV.

Kwestya mniejszości narodowych.

Dotychczas mówiliśmy o Polakach w Polsce. Mówiliśmy o tych Polakach, którzy zwartą masą, w każdej dzielnicy i na każdej mili kwadratowej stanowiąc bezwzględną większość, zamieszkują ten określony szmat powierzchni globu, który nazywamy Polską etnograficzną. Stwierdziliśmy, że dla tych Polaków socyalizm może się urzeczywistnić tylko jako socyalizm w Polsce, oparty na demokracyi w Polsce, że zaś demokracya w Polsce może być tylko — polską demokracyą.

Są jednak i Polacy poza Polską.

Jest ich nawet dużo. Mało jest Francuzów poza Francyą, bo Francya jest wolną; mało jest Szwajcarów poza Szwajcaryą, bo Szwajcarya jest zamożną. Ale Polaków poza Polską jest dużo, aż nadto dużo, bo Polska pogrążoną jest w ubóstwie i niewoli.

Galicya niema wielkich miast, a od stolicy Polski odgrodzoną jest kordonem; to też dziesiątkom tysięcy polskich robotników za surogat stolicy służy Wiedeń, a raczej najobskurniejsze zakątki Wiednia. Zabór rosyjski i pruski nie mają ani jednego uniwersytetu polskiego, ani jednej rządowej szkoły polskiej; to też młodzież polska tuła się po wszechnicach niemieckich, szwajcarskich, francuskich, rosyjskich. Chłopu polskiemu ciężko, bardzo ciężko zarobić na kupno kilku morgów ziemi pracą najemną w ojczyźnie; to też szczycimy się aż dwoma milionami rodaków zamorskich, którzy się pocą w podziemiach kopalń pensylwańskich, duszą się w brudnem piekle „Packingtownu“ w Chicago, marzną w Kanadzie, albo dziczeją i żenią się z murzynkami w Paranie. Rząd carski nie lubi Polakom dawać posad w Polsce; to też spotyka się Polaków jako kupców w Irkucku, jako inżynierów w Gruzyi, jako oficerów w Turkiestanie, jako pułkowników żandarmskich w kraju czarnomorskim, jako komisarzy policyi w Kazaniu i jako sutenerów w Baku. Twarda łapa krzyżacka tłumi i paczy rozwój polskiej kultury pod zaborem pruskim, brutalnie zabrania chłopu i robotnikowi polskiemu dostępu do ziemi ojczystej, stara się tłumić i rozwój przemysłu polskiego; to też, podczas gdy Polacy gdańscy zaledwie się ośmielają głośno powiedzieć dwa słowa po polsku na ulicy, a polskość Sobot i wybrzeża kaszubskiego stała się faktem igno-

rowanym nawet przez tysiące „narodowców“ polskich *), kolonie polskich górników w Westfalii rosną i rosną. Już się tam ani jeden szyb zawalić nie może, żeby kilku Polakom czaszek nie zdruzgotał.

Jaką powinna być nasza polityka narodowa wobec tych rozprószonych po świecie mniejszości polskich?

Zastanówmy się. Państwo demokratyczne może być tylko swojskiem państwem. Jakiem więc może i powinno być państwo demokratyczne w Gruzyi? Oczywista, że gruzińskiem. A w Stanach Zjednoczonych Ameryki? Oczywista, że anglo-amerykańskiem. A w rdzennych Niemczech? Jasna rzecz, że niemieckiem.

Jakiż więc cel może mieć polityka narodowa, ciesząca się z powstawania coraz nowych „placówek polskości“ od kraju Czukockiego aż do Sahary, nawołująca kolonie polskie w najodleglejszych strefach do zachowania swojej odrębności narodowej i politycznej, odgradzająca polskich wychodźców, ich synów i wnuków murem pychy narodowej od krajowców, z którymi chcąc nie chcąc razem żyć i pracować muszą, a jednocześnie zgoła nie wzywająca ich do powrotu, a tylko do „wytrwania“ w rozproszeniu?

Żadnego. Do kładzenia podwalin pod przyszłe państwo polskie taka polityka przyczynić się nie może. A zatem nic nie może.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Co innego polityka, a co innego działalność kulturalno-oświatowa. Gdziekolwiek na świecie żyją ludzie, mówiący, myślący i śniący po polsku, wszędzie tam w imię jak najpomyślniejszego rozwoju kulturalnego tych ludzi pożądanem jest, żeby im naukę i wiedzę podawano w języku polskim. To też zakładanie polskich czytelń, polskich gazet, polskich szkół we wszystkich tych ośrodkach zagranicznych, dokąd ustawicznie docierają coraz nowe fale wychodźtwa polskiego, jest rzeczą dobrą i pożyteczną. Ale jest to tylko zaspakajanie chwilowych potrzeb kulturalnych; nie jest to jeszcze polityka narodowa. Albowiem ci wszyscy wychodźcy polscy, o ile się już na dobre osiedlili na przykład w Ameryce, a powrotu do Polski już ostatecznie zaniechali,

*) Niedawno nawet nader sympatyczny skądinąd poeta, p. Jan Lemański, zblamował się okrutnie, piorunując wierszem przeciw zwiedzaniu Sobot, jako letniska pruskiego. Tymczasem Soboty, mimo urzędowego pokostu pruskiego, są w rzeczywistości jedynem polskiem letniskiem nadmorskiem, a omijanie Sobot przez polskich letników ciężką szkodę przynosi polskiej sprawie narodowej, bo na polskich letnikach zarabiają miejscowi rybacy polscy, podczas gdy goście niemieccy starają się zatrudniać wyłącznie swoich. Tak więc biedni Polacy nadmorscy podwójnie są bojkotowani: przez hakatystów i przez „narodowców“ warszawskich. I po cóż to p. Lemański wtrąca się do polityki, kiedy nawet nie zna granic Polski etnograficznej?

tem samem właściwie już stali się członkami społeczeństwa amerykańskiego, a członkami polskiego być przestali. Z czasem postarają się o obywatelstwo amerykańskie; synowie ich przejmą się amerykańskim patryotyzmem, a jeśli wkońcu i mowę krajową przyjmą za swoją, a polskiej mowy zapomną, to będzie to całkiem naturalnem uwieńczeniem raz obranego kierunku rozwoju. Dla tych, którzy stale pozostają w Ameryce, innego wyjścia niema, bo w granicach żywego i kwitnącego narodu niema miejsca na jakieś separatki prawo-państwowe, w rodzaju ambasad europejskich w Pekingu. Ba, na dłuższą metę nawet i na separatki kulturalno-oświatowe miejsca niema. Jeśli tylko przybysze są równouprawnieni z ludnością miejscową, to bez żadnego przymusu i nakazu ci przybysze stopniowo się zespalają z otoczeniem. Społeczeństwo miejscowe wchłania ich w siebie, jak każdy żywy organizm wchłania w siebie obce ciała, pokrewne mu składem i budową, a zatem przydatne na pokarm. I dobrze się dzieje, bo raz oderwawszy się od dawnej ojczyzny, wychodźcy dopiero przez całkowite zrośnięcie się z nową ojczyzną na nowo stają się ludźmi, żyjącymi pełnią żywota. To zaś, co leży pomiędzy utratą dawnej ojczyzny a całkowitem utożsamieniem się z narodem ojczyzny przybranej — to stadyum przejściowe, bolesne i poniżające. Życie w „kolonji“ rodaków na obczyźnie, którzy nie znają kraju, w którym żyją, którzy obojętnie, bez zrozumienia nawet patrzą na radość i rozpacz rojących się koło nich milionów ludzi, którzy nie poczuwają się szczerze i serdecznie do żadnych obowiązków wobec narodu, co dokoła nich pracuje i walczy, nie czują przywiązania do tej ziemi, która dokoła nich co wiosnę zieleni się i zakwita, a okropną tę dziurę w swojem człowieczeństwie zapełniają bezkrwistym patryotyzmem z oddalenia, poza okolicznościowemi składkami groszowemi nie obowiązującym do żadnych czynów, stającym się z roku na rok coraz bardziej frazesem, w najlepszym razie czczym, w gorszym razie obłudnym — to życie ścieśnione, zubożałe, pozbawione polotu i godności, słowem: ghetto. Im dłużej to stadyum ghettowe trwa, tem ohydniej dusze pleśnieją. Nie żyje się w kraju, ani w mieście chociażby, ani nawet w dzielnicy miasta, a tylko w „kolonji“: zanikają wszelkie szerokie widnokręgi, a natomiast każda marna ploteczka wewnątrz „kolonji“ olbrzymieje do rozmiarów zdarzenia dziejowego. Organy solidarności narodowej, ogólno-społecznej, ba, nawet klasowej, wskutek długiej bezczynności więdną, a na tle spustoszenia dusz rozpiera się geszefciarstwo. A wybrnąć z tego bagna ghettowego można tylko albo przez całkowite zespolenie się z żywiołem miejscowym, albo przez powrót do dawnej ojczyzny. To też tylko przez powrót do Polski mogą się rozproszeni po świecie wychodźcy polscy na nowo stać czyn-

nymi członkami narodu polskiego; członkowie bierni zaś narodowi, walczącemu o byt zagrożony, na nic się przydać nie mogą.

A zatem zaopatrywanie polskich kolonji na obczyźnie w polskie gazety, czytelnie i szkoły należy wprawdzie uznać za całkiem poczciwą pracę kulturalną, niemniej niż leczenie Jakutów chorych na ospę, ale dla narodu w politycznem, mówiąc wyraźniej: państwotwórczem tego słowa znaczeniu, ta praca kulturalna ma znaczenie tylko o tyle, o ile się tyczy takich wychodźców, którzy do kraju wrócić mogą i chcą.

Ale czy nie należy stawiać żadnych żądań politycznych w obronie naszych rodaków na obczyźnie?

I owszem. Jeśli nasi rodacy na obczyźnie są krzywdzeni, to należy się domagać naprawy tych krzywd. Jeśli na przykład zarządy kopalń westfalskich narażają górników polskich na śmierć lub okaleczenie, nie tłómacząc przepisów bezpieczeństwa na polskie, to należy się domagać usunięcia tego bezprawia; należy żądać, żeby, gdziekolwiek praca robotników polskich została uznaną za potrzebną przez klasy rządzące (a masowe sprowadzanie Polaków jest dowodem takiego uznania), i język tych robotników należycie uwzględniano. Tylko pamiętajmy, że póki jesteśmy zmuszeni stawiać takie żądania, póty jesteśmy narodem bardzo, bardzo biednym — bo narodem, który swoim własnym synom nie potrafi zabezpieczyć możności życia i pracy w ojczyźnie. A dopóki tego nie potrafimy, dopóty naród nasz nieustannie narażonym będzie na utratę krwi przez wychodźtwo. I to krwi najlepszej, bo niestety emigrują nie mazgaje ani niedołęgi, tylko najdzielniejsi. Prawda, że niektórzy z nich wracają, wzbogaceni nie tylko w pieniądze, ale i w doświadczenie i wiedzę, ale wracają zestarzali, sterani, i powrót ich jest nieco wątpliwą kompensatą za to, że kraj przez tyle lat z ich energji i pracy nie korzystał, za zdziczenie obyczajów przez długoletnie życie w skrajnej nędzy, brudzie i poniewierce, a przedewszystkiem za pogorszenie rasy przez wyniszczenie sił fizycznych. Bo żaden pies na świecie nie żyje gorzej, niż właśnie ci z pośród naszych wychodźców zarobkowych, którzy jeszcze powrotu nie zaniechali: dla nich życie na obczyźnie nie jest celem, a tylko środkiem do posyłania jak najwięcej pieniędzy do domu. Dlatego to niejeden z nich wyjeżdża jako młodzieniec, a wraca jako szczątek człowieka. A ilu jest takich, którzy wyszli z zamiarem powrotu, a jednak straceni są dla narodu bezpowrotnie!

A cóż dopiero powiedzieć o emigracyi sezonowej! Prawda, ściąga ona pieniądze do kraju; szczególnie Galicya jest dzisiaj taką dziwaczną krainą, gdzie nie burżuazya gromadzi kapitał, tylko chłop i robotnik rolny.

Ale czyż istotnie możemy być dumni z tego, że od Szwajcaryi aż do Danii wszelkie najpodlejsze dziury zapycha się robotnikiem polskim? Czyż istotnie możemy się cieszyć z tego, że corocznie parę set tysięcy polskich wieśniaków idą krwią swoją i potem bogacić hakatystycznych junkrów pruskich? A nie zapominajmy, że polski robotnik wędrowny w Prusach jest prawie całkiem wyjęty z pod prawa; pracując na polach junkra, podlega pruskiej ordynacyi służbowej, pozwalającej na chłostę; nadto jako obcokrajowiec za najmniejszą sprzeczkę z junkrem, może być natychmiast wydalonym za granicę. Więc siedzi cicho, kontentuje się skromną płacą, znosi wymyślania, a bodaj nawet kopnięcia, bo inaczej natychmiast odeszlą go won, i już cały sezon na dyabła. Czyż istotnie mamy się czem szczycić, że takiemu systemowi wychowawczemu powierzamy rozwój kulturalny naszego ludu?

Zadaniem polityki narodowej wobec emigracyi powinno być: uczynić emigracyę zbyteczną.

W dzisiejszych warunkach wszelkie utrudnienia paszportowe dla wychodźców, wszelkie biurokratyczne szykany, mające niby tamować ten ciągły upływ drogocennej krwi narodu, psu na buty przydać się nie mogą. Lud chce żyć, a w kraju wyżyć nie można, bo szlagon płaci trzydzieści centów dziennie. A zatem lud jest w prawie, szukając sobie możności życia chociażby u antypodów. Postarajmy się, żeby życie w Polsce było możliwem dla wszystkich naszych rodaków, a emigracyi nie będzie. Niech zniknie w Polsce wielka własność ziemska, niech cała ziemia polska stanie się dostępną dla ludu pracującego — a trzy czwarte emigracyi zarobkowej ustaną. Niechaj kapitały, obecnie trwonione przez gnuśną magnateryę i szlagoneryę, obrócone będą na uprzemysłowienie tych dzielnic polskich, gdzie dotąd przemysłu brak — a emigracya robotników ustanie zupełnie. Niechaj w Polsce nastaną polskie rządy i szkoły, a inteligencya polska nie będzie już szukała zarobku w Rosyi. Niechaj szkolnictwo polskie, wyzwolone z pod zgubnych wpływów najazdu i swojskiego kołtuństwa, zakwitnie swobodnie i bogato, a „kolonie polskie“ przy uniwersytetach zachodu i wschodu, zmaleją i zmienią swój charakter: z gromad młodzieży, zagranicą szukającej chleba oświaty, którego im poskąpiono w ojczyźnie, zamienią się na grona specyalistów, już poprzednio całkowicie wyszkolonych w kraju, a pragnących tylko zagranicą doskonalić się w niektórych specyalnościach.

A więc „placówki“ polskie rozsiane po Europie zachodniej i Ameryce, to placówki tymczasowe; samo ich istnienie świadczy o naszem upokorzeniu i nędzy. Najlepsza ich obrona: zwinąć je, otwierając wychodźcom możliwość powrotu na ziemię ojczystą. Uczynimy to, wywal-

czając na naszej własnej ziemi Niepodległą Rzeczpospolitą Polską i urządzając ją zgodnie z zasadami demokratycznego socyalizmu. A wtenczas, daj Boże, nie będzie już Polaków w Westfalii.

Ale przecież mamy także placówki polskie na kresach wschodnich, na ziemiach, które należały do dawnej Polski, a które według Marksa i Engelsa i do przyszłej Polski należeć mają? Przecież mamy polskie dwory szlacheckie od Żmudzi i Inflant aż po morze Czarne, mamy liczne zaścianki polskie na Litwie, a szczególnie na Białej Rusi, mamy mniej lub więcej liczne odłamy polskie pośród mieszczaństwa Kowna, Wilna, Grodna, Mińska i tylu innych miast Litwy, Białej Rusi i Ukrainy aż het poza Dniepr, mamy wcale pokaźne zastępy robotników polskich w Kijowie i Odessie?

Tak. Mamy. I ani na chwilę nie myślę zaprzeczyć, że te placówki polskości na kresach dawnego państwa polskiego mają dla serca każdego Polaka całkiem inne znaczenie, niż kolonie emigracyjne. Pozbawieni własnego bytu państwowego, staliśmy się czułymi, jak sieroty dla mogiły matki, dla wszelkich zabytków dawnej państwowości polskiej. A te dwory i zaścianki, rozsiane między Bugiem a Dnieprem, to właśnie żywe pamiątki dawnej potęgi narodu polskiego. A przytem nie są to posterunki wczoraj lub przedwczoraj zajęte, tylko placówki, z któremi się wiążą wspomnienia kilkowiekowe. Niemniej jednak pewnikiem jest, że wszystkie te polskie mniejszości na kresach, o ile się z miejsca nie ruszą, w skład przyszłego państwa polskiego, ani też w skład demokratycznego społeczeństwa polskiego wejść nie mogą.

Złóżmy hołd przeszłości i przyznajmy, że ślady dawnej państwowości polskiej są naszym uczuciom drogie nawet tam, gdzie państwowość ta była najezdniczą i krzywdzicielską. Ale złożywszy ten hołd, miejmy także odwagę zajrzeć prosto w oczy prawdzie spółczesnej i uznać, że w okresie zwycięskiego pochodu demokratyzacyi dawne placówki panującego ongi żywiołu polskiego na Litwie i Łotwie etnograficznej, na Białorusi etnograficznej i na Ukrainie etnograficznej już żadnej przyszłości nie mają. Oparły się one stuletniemu prześladowaniu przez zaborcze państwo rosyjskie, ale ulegną niechybnie budzącej się samowiedzy społeczeństw miejscowych. Historya nie zrobi wyjątku na naszą korzyść; wszechpotężna fala demokratyzacyi, która wszędzie wydobywa na wierzch narodowość ludu pracującego, i przed naszymi kresami się nie zatrzyma. Więc i te kraje się zdemokratyzują. A na Litwie zdemokratyzowanej, gdzie już żaden mur kastowy nie będzie odgradzał polskiego szlachcica czy mieszczanina od chłopa litewskiego, Polak będzie dziesięć razy częściej rozmawiał z Litwinem po litewsku, aniżeli z Po-

lakiem po polsku, po prostu dlatego, że Litwinów jest dziesięć razy więcej: a zatem pierwej czy później litewska mowa stanie się jego mową ojczystą. Tak samo Polak, żyjący jako równouprawniony współobywatel z kilkoma tysiącami Ukraińców, a z setką zaledwie Polaków, z czasem stanie się Ukraińcem. Słowem, im radykalniejszem będzie wyzwolenie z pod najazdu carskiego, im gruntowniej zatarte zostaną wszelkie ślady prześladowań narodowych i wstecznictwa politycznego, tem szybciej żywioł miejscowy wchłonie w siebie mniejszości polskie wszędzie na kresach, od Maryenhauzu aż po Odessę. Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy mieli zobojętnieć na cierpienia naszych rodaków na kresach wschodnich, żebyśmy ich nie mieli bronić od krzywd, zadanych im przez kogokolwiek, żebyśmy nie mieli dążyć do zabezpieczenia ich od wszelkiego ucisku narodowościowego; aby jednak nie trwonić energii na wysiłki beznadziejne, powinniśmy sobie uświadomić, że dla naszej polityki narodowej wszelkie mniejszości polskie na wschód od granicy Polski etnograficznej są z góry stracone — z wyjątkiem tych jednostek, które, opuściwszy kresy, w obrębie Polski etnograficznej się osiedlą.

Właściwem zaś i ostatecznem rozwiązaniem kwestyi polskiej na kresach będzie ugruntowanie Niepodległej Rzeczypospolitej Socyalistycznej na ziemiach Polski rdzennej. Wolna Polska, planowo na największą stopę organizująca pracę narodową, pracę wszystkich swoich synów na służbie narodu i dla dobra narodu, celowo dążąca do jak najintensywniejszego zagospodarowania się na ziemi ojczystej od Tatr do Bałtyku i do wydobycia z niej wszelkich ukrytych skarbów — ta wolna Polska, ustanawiając jako jedno ze swoich praw zasadniczych **prawo do pracy w Polsce dla każdego Polaka**, nie tylko na wieczne czasy koniec położy opłakanym wędrówkom polskiego ludu roboczego na zachód, ale także szeroko otworzy wrota dla rodaków ze Wschodu. Każda nowa kopalnia czy fabryka, założona przez polski rząd narodowy, da chleb coraz nowym zastępom polskich robotników, dotąd w Niemczech czy Ameryce pracującym; każda nowa szkoła, każdy nowy zakład naukowy albo leczniczy da zatrudnienie inteligentom polskim, przywołanym z Litwy i Rusi. Przedewszystkiem zaś szkolnictwo narodowe w Polsce będzie stało otwarte dla dzieci wychodźców i kresowców na równi z dziećmi Polaków krajowych; boć przecież te szkoły wychowywać będą swoich uczniów na pracowników w służbie narodu.

Dokona się tedy pośród Polaków kresowych pewnego rodzaju dobór społeczny. Ci z pośród nich, u których przywiązanie do kraju, w którym się urodzili, przeważy przywiązanie do polskiej mowy i kultury, pozostaną na miejscu i staną się Litwinami czy Rusinami; ci zaś, u których na-

odwrót polskość okaże się silniejszą od „tutejszości", stopniowo się przeniosą do Polski. To samo się stanie z Polakami na emigracyi; ci z pośród nich, którzy jeszcze nie będą zniemczeni lub zamerykanizowani, chętnie powrócą do ojczyzny, jeśli tylko ta ojczyzna swoim rozwojem gospodarczym i społecznym doścignie kraje zachodnie.

Jaki cel, taka droga. Jeśli celem ostatecznym jest skupienie wszystkich Polaków w Polsce, to po drodze do tego celu leży coraz lepsze zagospodarowanie się na swojej własnej ziemi, równoległe ze stopniowem zaniechaniem sporów kresowych, dzisiaj nieraz prowadzonych z tak krótkowzroczną namiętnością. Założenie ukraińskiej wszechnicy we Lwowie żadnego rozumnego Polaka już drażnić nie będzie, kiedy raz zakwitną polskie wszechnice w Poznaniu, Katowicach i Cieszynie; a ze spokojniejszem sercem rozpatrywać będziemy pretensye Litwinów do Wilna, kiedy Gdańsk będzie znowu naszym portem.

Nie jest to zresztą rzeczą upodobania, tylko rzeczą konieczności. Oczywista, że bliski upadek caratu chwilowy tryumf gotuje długo uciśnionej polskości w miastach litewskich, ale ktoby chciał stan posiadania tej polskości utrwalić na przyszłość, tenby zatamować musiał nie tylko rozwój wolności politycznej, ale przedewszystkiem i rozwój przemysłu. Każde miasto przemysłowe rośnie szybko w ludność, daleko szybciej niż okoliczne powiaty. Ale też żadne miasto przemysłowe nie zdołałoby zaspokoić swojego szybko rosnącego zapotrzebowania rąk roboczych samym tylko naturalnym przyrostem ludności miejskiej; przeciwnie, **każde miasto przemysłowe rośnie przedewszystkiem immigracyą ze wsi.** Im bardziej jakieś miasto z drobnomieszczańskiego przeradza się na fabryczne, tem szybciej urasta w ludność, ale też tem bardziej przyrost immigracyjny góruje nad przyrostem naturalnym, i w tem szerszym promieniu powiaty wiejskie płacą miastu haracz młodzieńców i dziewic — haracz swoich synów i córek młodych, silnych, zdolnych do ciężkiej, naprężonej, wyniszczającej zdrowie pracy fabrycznej. Praca ta wraz z niezdrowymi warunkami życia w mieście z czasem podkopuje płodność, a przynajmniej obniża żywotność potomstwa; to też śmiertelność dzieci miejskich jest wielka, a śmiertelność dzieci proletaryatu miejskiego bodaj największa. Ale na miejsce tych pokoleń wyniszczonych, zużytych, wieś wysyła do miasta coraz nowe pokolenia ludzi młodych i zdrowych, podobnie jak w owym pięknym sonecie Franciszka Nowickiego, coraz nowe pokolenia kosodrzewiny szturmują dumny szczyt granitowy, aż go wkońcu zdobędą i pokryją swoją zielenią. Bez tych wędrówek wyludniałyby się miasta przemysłowe, dzięki im rosną jak na drożdżach. Dlatego to miasta innoplemienne, ta spuścizna po epoce roz-

bojów i podbojów feudalnych, w okresie kapitalistycznym toną i coraz bardziej tonąć będą w powodzi jednoplemiennego ludu roboczego, coraz liczniej napływającego ze wsi. Dlatego to, jednem słowem, w okresie kapitalistycznym narodowość miasta zależy od narodowości wsi, a nie naodwrót. Odrobina wolności politycznej wystarcza, aby uwidocznić tę przewagę liczebną, którą sobie okoliczny lud wiejski coraz bardziej i w mieście zdobywa. W ten sposób odniemczyła się Praga, która trzydzieści lat temu była miastem wyraźnie niemieckiem, a dzisiaj jest miastem niemniej wyraźnie czeskiem; w ten sposób odniemczyła się Lublana, stolica Słoweńców; w ten sposób stopniowo odniemczają się miasta na zachodzie Polski etnograficznej, od Cieszyna do Gdańska; ale też w ten sam sposób coraz bardziej odpolszczać się będą dawne grody polskie, położone na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie etnograficznej. I owo odniemczanie się i to odpolszczanie się zamaskować można tylko niewolą polityczną proletaryatu przemysłowego, a istotnie zatamować tylko zdławieniem przemysłu.

A zatem konkluzya: przedmiotem państwotwórczej polityki narodowej polskiej mogą być tylko ci Polacy, którzy mieszkają lub mają zamieszkać w Polsce etnograficznej.

Powtarzam zresztą, że ta zasada bynajmniej nie wyklucza obrony chwilowych interesów kulturalnych Polaków, rozproszonych po kresach wschodnich dawnej Polski. Z przyczyn praktycznych obrona ta może nawet w pewnych chwilach przyjąć formę polityczną. Jeśli na przykład Ukraina etnograficzna stanie się niepodległą republiką ludową, to od tej republiki będziemy się domagać czegoś więcej, jak tylko biernej tolerancyi wobec polskiego żywiołu; będziemy się domagać utworzenia Polskiej Izby Oświatowej na Ukrainie, wybranej powszechnem i równem głosowaniem przez wszystkich tych z pośród dorosłych mieszkańców państwa, którzy się dobrowolnie do polskiej narodowości przyznają, upoważnienia tej Izby do ściągania od swoich wyborców podatku oświatowego w wysokości równej odsetce podatków przez rząd na cele oświatowe wydawanej, oraz do wystawiania kwitów uwalniających od płacenia takiejże części podatków rządowych, wreszcie upoważnienia Polskiej Izby Oświatowej do utrzymywania polskich szkół i zakładów naukowych wszelkiego rodzaju. O ile jednak rząd republiki ukraińskiej stawi słuszne żądanie, żeby bądź co bądź i w tych polskich szkołach w skład przedmiotów nauki wchodziła geografia i historya Ukrainy, tudzież nauka mowy i literatury ukraińskiej, a od spełnienia tego żądania uzależni dopuszczenie wychowańców polskich szkół do jakichkolwiek posad państwowych, to się tym sprawiedliwym wymaganiom zgoła nie sprzeciwimy.

Będziemy tylko zapraszać tych z pośród naszych rodaków na Ukrainie, którzy będą woleli dać swoim dzieciom wychowanie wyłącznie polskie, aby nam te dzieci przysłali na bezpłatne wychowanie do Polski, a tym uczniom, w Polsce na synów Polski wychowanym, naturalnie przyznamy polskie obywatelstwo.

Ale ten medal ma i stronę odwrotną. Obok polskich mniejszości na kresach i na obczyźnie, są także innoplemienne mniejszości w Polsce. Sama tylko rewizya granic politycznych nie zniesie jeszcze tej komplikacyi. Jakkolwiek oględnie przeprowadzilibyśmy granicę etnograficzną w gubernii suwalskiej i grodzieńskiej, zawsze pozostanie nietylko sporo Polaków po tamtej stronie granicy, ale także bodaj po kilkanaście tysięcy Litwinów i Białorusinów po polskiej stronie; jakkolwiek sumiennie i bezstronnie wytknęlibyśmy granicę w okolicach Siedlec, Brześcia Litewskiego, Chełmu i Hrubieszowa, zawsze pozostaną polskie mniejszości po ukraińskiej stronie granicy, a po polskiej stronie niektóre odosobnione osady i wsie ukraińskie. Nadto mamy w samem sercu Polski wcale liczne mniejszości niemieckie w Łodzi i miastach okolicznych; mamy w zachodniej części Polski miasta częściowo niemieckie jak Bielsko, Cieszyn, Katowice, Bytom, Poznań, lub nawet przeważnie niemieckie, jak Gdańsk i Bydgoszcz. Co począć z temi mniejszościami innoplemiennemi w Polsce?

Całkiem tosamo, czego życzymy polskim mniejszościom poza Polską. Przyznamy im najzupełniejsze równouprawnienie obywatelskie; poza tem dla każdej z tych mniejszości innoplemiennych na naszej ziemi utworzymy Izbę Oświatową, upoważnioną do utrzymywania wszelkiego rodzaju szkół i zakładów naukowych, oraz do ściągania w tym celu podatków, uwalniających od odpowiedniej kwoty podatków państwowych. Ale też żądać będziemy, żeby w tych szkołach innoplemiennych w skład nauk wchodziły między innemi także geografia i historya Polski, tudzież nauka języka polskiego i literatury polskiej; dopuszczenie zaś wychowańca szkół innoplemiennych do jakiegokolwiek urzędu państwowego uzależniać będziemy od zdania egzaminu z tych przedmiotów. O ile zaś rodzice innoplemienni będą się usuwać od spełnienia tego warunku wysyłaniem dzieci na wychowanie do swojej właściwej ojczyzny, to się temu bynajmniej sprzeciwiać nie będziemy; będziemy tylko kreślili uczniów, dobrowolnie kształcących się za granicą na obywateli obcego państwa, ze spisów obywateli państwa polskiego.

Słowem, unikając wszelkiego naruszenia swobód obywatelskich, strzegąc się jak ognia najmniejszego ubliżenia godności ludzkiej, niemniej celowo będziemy dążyli do republiki demokratycznej **j e d n o n a-**

rodowej, wiedząc, że tylko w takiej republice potrafi się utrwalić i harmonijnie rozwijać ustrój socyalistyczny. A prowadząc taką politykę u siebie, całkiem szczerze uznawać i popierać będziemy równoległe dążności narodów sąsiednich. To szczere przyznanie narodom sąsiednim prawa do zagospodarowania się na swojej ziemi, tak samo, jak my się zagospodarujemy na naszej ziemi, będzie jednym z najdonioślejszych objawów niekłamanej międzynarodowości, t. j. dążenia do pokoju i przyjaźni między narodami — a nie między jednostkami beznarodowemi, które, plując śliną i jadem na każde cieplejsze uczucie narodowe, w istocie rzeczy żadnej kwestyi narodowej nie rozwiązują, a tylko jątrzą i zatruwają każdy spór narodowy, do którego się wtrącają zupełnie tak niepowołanie, jak eunuch do spraw miłosnych.

Obawiam się jednak, że w tem miejscu u niektórych czytelników obudzi się wątpliwość w innym kierunku: Czy taki system jest zgodny z naturą ludzką? czy narodowość nie tkwi we krwi, w rasie? A jeżeli tak — przypuśćmy, że polska republika ludowa całkiem pokojowym sposobem pozyska dla swej mowy i kultury młode pokolenia innoplemieńców: czy można istotnie samem tylko wychowaniem z Rusinów, Litwinów, Niemców zrobić Polaków, zdolnych do podjęcia puścizny kulturalnej dawnych Polaków i do rozwijania jej zgodnie z duchem czasu?

Nietylko można, ale trzeba. Narodowość bowiem wcale nie tkwi we krwi. Rasa tkwi we krwi; ale każdy wielki naród składa się z odłamów kilku ras, a każda wielka rasa ma swoich przedstawicieli pośród wielu narodów. Łatwo zresztą zrozumieć, dlaczego żaden z narodów, które w toku dziejów okazały się zdolnymi do wytworzenia bogatej kultury i do bronienia jej przez szereg wieków od ludzkich wrogów i od wrogich potęg przyrody, nie był i nie mógł być jednolitego pochodzenia. Rasy powstały na zaraniu istnienia ludzkości, na najniższych szczeblach kultury; są one wynikiem jednostronnego dostosowania się pewnych plemion nietylko do określonego klimatu, ale także do pewnego tradycyą utrwalonego, jednostajnego trybu życia w tym klimacie. Z ras dzisiejszych jedna — to potomkowie rybaków nadmorskich, inna — myśliwców leśnych, trzecia — koczowników stepowych, i tak dalej. Dlatego plemię jednolite rasowo nie jest zdolnem do rozwiązania zadań kulturalnych bardziej złożonych. Dopiero krzyżowanie się ras wytwarza ową rozmaitość typów i odcieni typów fizycznych, której odpowiada takaż rozmaitość uzdolnień. Ażeby zaś wszystkie te jednostki o przeróżnych uzdolnieniach współdziałały do jednego celu, trzeba, żeby je zespoliła w jeden naród wspólna mowa i kultura. A więc jednolita kultura, zespalająca żywioły różnorodnej krwi —

oto podstawowa formuła wszystkich narodów, powołanych do pchnięcia ludzkości naprzód. Historya na każdej karcie daje na to tysiączne dowody; polska historya nie stanowi wyjątku. Dość spojrzeć na szeroką twarz wieszcza Adama, o niezatartych śladach krwi fińsko-białoruskiej, i porównać ją ze ściągłą twarzą Słowackiego — czyliż może tu być mowa o jednolitości rasowej? Czyliż niezbicie dowiedzione dokumentami ruskie pochodzenie Kościuszki czyni ujmę jego polskości? A Lelewel, którego dziadek pisał się Loehlhoeffel von Loewensprung, czyliż był gorszym Polakiem od kogokolwiek?

Wiemy więc, jakie są nasze obowiązki względem mniejszości narodowych, zamieszkałych na Litwie czy Rusi, w Niemczech czy Ameryce. ale mają swoją właściwą ojczyznę w Polsce; wiemy też, jak postąpić z mniejszościami narodowemi, w Polsce zamieszkałemi, ale mającemi swoją właściwą ojczyznę w jednym z krajów sąsiednich. Ale jeśli jest u nas mniejszość innoplemienna, która nigdzie na świecie nie jest u siebie? Cóż z nią począć? Tamtym moglibyśmy z całą uprzejmością dać do wyboru, czy chcą być naszymi współobywatelami. czy też wrócić do swojej ojczyzny: ale jak postąpić z krociowym tłumem ludzi, którzy nie mają ojczyzny? Jeśli mój sąsiad pragnie na jakiś czas u mnie zamieszkać, to mogę go prosić, żeby mi płacił komorne albo wrócił do siebie: ale jeśli to samo zrobię z bezdomnym tułaczem chroniącym się u mnie od mrozu, zawieruchy, wilków i zbójów — czyż to nie zakrawa na szantaż?

A właśnie w tem wyjątkowem położeniu jest najliczniejsza mniejszość innoplemienna na polskiej ziemi, mniejszość dwumilionowa: ludność żydowska.

V.

Kwestya żydowska w Polsce.

Czy żydzi są **narodowością**?

Oczywista że tak, bo mówią odrębnym językiem, a z tym językiem wiąże się całokształt obyczajów i tradycyj, dobrych czy złych, ale bądźcobądź wysoce odrębnych.

Czy żydzi są **narodem**?

Oczywista że nie. Naród bowiem jestto odłam ludzkości zespolony jednością mowy i kultury, a zwartą masą zamieszkujący określoną część powierzchni kuli ziemskiej i wypełniający ją swojem życiem i swoją pracą. A takim narodem byli żydzi za czasów Makabeuszów, dzisiaj nim nie są.

Nie o to chodzi, że niema państwa żydowskiego. Wszak i Czesi, Polacy, Ukraińcy dotąd nie mają własnych państw, a jednak są narodami. A nie tak dawno temu jeszcze i Włosi nie mieli własnego państwa, a jednak już wtenczas Włosi niewątpliwie byli narodem. Historya okrutnie wyszydziła Metternicha, który twierdził, że Włoch nie należy uważać za naród, a tylko za pojęcie geograficzne. Ale sęk jest właśnie w tem, że żydowstwo n i e j e s t geograficznem pojęciem. Aby zaś być narodem, trzeba przedewszystkiem istnieć geograficznie. Ten geograficznie określony byt narodu umożliwiał naprzykład Włochowi już w czasie, kiedy jeszcze ojczyzna jego jak szachownica poprzerzynana była granicami państw i państewek, żyć całkowitem życiem ludzkiem pośród swoich rodaków. Przekroczywszy rogatkę miasta, mieszczanin włoski wciąż jeszcze znajdował się na swojskiej ziemi i wśród swoich; dokoła leżały pola, uprawiane przez włoskich chłopów, rozmawiających po włosku, śpiewających pieśni włoskie. Gdziekolwiek szedł, gościńcem czy lasem, wszędzie spotykał się z ludźmi, z którymi go łączyła wspólność języka i kultury. Po morzu przewoził go rybak, włoski, poprzez góry włoski góral go prowadził. Od samotnej puszczy aż do rynku wielkomiejskiego, od głębin społeczeństwa aż do wyżyn mowa włoska była zrozumiałą dla wszystkich krajowców, co więcej, była i c h mową, mową ich myśli i snów. W tej mowie wyrażano i spisywano wszelkie zasoby wiedzy, w tej mowie przekazywano z ojców na synów wszelkie zdobycze kulturalne i techniczne we wszystkich dziedzinach pracy narodowej. Włoch mógł przechodzić z jednego rzemiosła do drugiego, od rzemiosła do rolnictwa, od rolnictwa do profesyi uczonych — z jakiemikolwiek innemi trudnościami przytem porać się musiał, bądźcobądź wszędzie mógł być Włochem pomiędzy Włochami. A tego żyd nie może. Ojczyzna jego kończy się u wrót ghetta. Już w sąsiedniej dzielnicy rodzinnego miasta nie jest u siebie, tylko wśród obcych; ludziom zaś, uprawiającym ziemię godzinę poza rogatką, strój jego i mowa wydają się czemś obcem, dziwacznem i śmiesznem, nie inaczej, jak gdyby Europejczyk nagle się zjawił w Chinach, albo Chińczyk w Warszawie. Chcąc krążyć swobodnie po całem mieście, módz kupować w każdym sklepie, módz się bez trudności porozumiewać z każdym przechodniem, Żyd bądź co bądź nauczyć się musi języka ościennej ludności chrześciańskiej — po rosyjsku w Rosyi, po polsku w Polsce. A chcąc być naprawdę nie ułamkiem człowieka, tylko człowiekiem harmonijnie rozwiniętym, który żyje nie w mieście tylko, ale w kraju, człowiekiem, dla którego otaczający go krajobraz hen aż po widnokrąg jest czemś znajomem, zrozumiałem i swojskiem, człowiekiem w pełni sił, który zna nawskróś przyrodę kraju rodzinnego

i umie się porać z wszystkiemi jej kaprysami; chcąc być człowiekiem, który może kraj przebiegnąć bez lęku, bo wszędzie jest między swoimi — żyd musi się nauczyć mowy ojczystej ludu wiejskiego, chociażby to była mowa chłopska, wzgardzona przez możnych tego świata, jak język litewski lub ukraiński, chociażby to była gwara, której rozwój literacki znajduje się dopiero w zarodku, jak język białoruski. A żyd, mówiący którymbądź z tych języków niemniej płynnie i niemniej czysto jak po żydowsku, już przestaje należeć do narodowości żydowskiej. Pełnię życia mogą żydzi okupić tylko wynarodowieniem.

Po zwycięstwie demokracyi prawda ta stanie się widoczną dla wszystkich. Państwo despotyczne, skupiając wszelkie funkcye rządowe w ręku samowładcy i mianowanych przez niego zastępców, wśród ludności pozbawionej wszelkiego udziału w władzy hoduje niezmierną naiwność polityczną; typowym objawem tej naiwności, graniczącej ze ślepotą, jest przeoczenie terytoryalnego charakteru funkcyi rządowych. Ale niechno raz wywalczonym będzie samorząd gmin, miast, powiatów, kraju, a rychło zniknie ten daltonizm. Wyjdzie na jaw, że polityka, to zbiorowe zaspakajanie potrzeb, wspólnych mieszkańcom danego obszaru. Chociażby tylko chodziło o miejskie tramwaje elektryczne dla Warszawy, to sprawy tej nie może załatwić jakaś gmina wyznaniowa żydowska, czy katolicka, bo tymi tramwajami jechać mają wszyscy, żydy i goje; a zatem sprawa ta należy do gminy miejskiej terytoryalnej, a w radzie tej gminy nie będą zasiadać ani przedstawiciele żydów ani przedstawiciele chrześcian, tylko przedstawiciele pojedyńczych dzielnic miasta Warszawy. A w takim razie jasnem jest, że ci przedstawiciele będą musieli znać język większości mieszkańców miasta i władać nim. Co się zaś tyczy spraw powiatowych i ogólno-krajowych, to czy będzie chodziło o budowę nowych gościńców, czy nowych kolei żelaznych, czy kanałów spławnych, czy o regulacyę rzek, czy o wysuszenie bagien lub zalesienie piasków, czy o reformę służby pocztowej, czy o zwalczanie chorób zakaźnych, czy o unarodowienie kopalń, czy o organizacyę obrony krajowej — wszystko to są sprawy wspólne wszystkim mieszkańcom albo całego kraju, albo danej dzielnicy kraju; o tem wszystkiem mniejszość żydowska będzie mogła radzić i stanowić tylko wspólnie z większością chrześciańską, a zatem dla tej mniejszości, o ile zapragnie żyć pełnią życia obywatelskiego, znajomość języka większości będzie faktycznie niezbędną. Ale przy pełnem równouprawnieniu obywatelskiem i społecznem znać język większości, z którą się żyje razem w tym samym powiecie i w tem samem mieście, to znaczy mówić tym językiem częściej niż

swoim własnym; a przez całe życie mówić obcym językiem częściej niż swoim własnym, to prościutka droga do wynarodowienia.

Widzimy więc, że położenie żydów, żyjących w rozproszeniu pośród Polaków czy Rosyan, Litwinów czy Łotyszów, Ukraińców czy Białorusinów, jest w zasadzie to samo, co położenie Polaków w Westfalii — z jedną wszelako różnicą. A mianowicie Polak w Westfalii może, o ile tylko warunki zarobkowe na to pozwalają, uchronić się od wynarodowienia powrotem do kraju. Lecz dokąd mają powracać żydzi?

Żydzi syoniści odpowiadają na to: jeśli nie mamy własnego kraju, to powinniśmy sobie własny kraj zdobyć. A zatem, dodają syoniści-terytoryaliści, ponieważ o zdobyciu Palestyny i zagospodarowaniu się w niej kilku milionów żydów europejskich na razie nie może być mowy, więc starajmy się drogą pokojowej umowy od jakiegoś przyzwoitego rządu, posiadającego rozległe kolonie, otrzymać jakieś inne terytoryum, gdziebyśmy mogli utworzyć własne społeczeństwo; wtenczas nasze życie narodowe będzie się rozwijać normalnie. A syoniści-socyaliści dodają od siebie: wtenczas i ekonomiczny rozwój żydowskiego ludu pracującego pójdzie normalnym torem; zamiast setek tysięcy ubogich handlarzy, rzemieślników i chałupników będziemy mieli setki tysięcy żydowskich robotników fabrycznych.

Logicznie to wszystko jest całkiem poprawne. Szkoda tylko, że trudności wykonania są tak ogromne, że sprowadzają praktyczne znaczenie syonizmu dla współczesnego pokolenia żydów prawie do zera.

Mówiąc o tych trudnościach, broń Boże nie mam na oku trudności wytargowania odpowiedniego terytoryum na odpowiednich warunkach. W tem niema nic niemożliwego. Historya kolonizacyi Ameryki w 17. wieku opowiada o pokonaniu większych jeszcze trudności. Wszak Nowa Anglia, Pensylwania, Maryland — to same przytułki dla innowierców, prześladowanych w Anglii ówczesnej: Nowa Anglia dla purytanów, Maryland dla katolików, a Pensylwania dla kwakrów, owych tołstojowców zachodu. A przytułki te nadawał, prawnie przynajmniej, sam rząd prześladowczy. Co zaś do warunków nadania — te później poprawił miecz Washingtonów i Kościuszków. Nie zatrzymujmy się więc niepotrzebnie w przedsionku właściwej kwestyi. Owszem, przypuśćmy odrazu urzeczywistnienie najkorzystniejszej możliwości. Przypuśćmy, że rząd angielski oddał do dyspozycyi syonistów terytoryum o dostatecznych rozmiarach, urodzajne, o umiarkowanym klimacie, a jednak niezaludnione. Otóż wtedy dopiero z całą jaskrawością ujawniłaby się niewspółmierność między pięknemi marzeniami syonistów a materyałem ludzkim, który ma te plany wykonać. Kolonizować pusty kraj — to znaczy rozpocząć historyę spo-

łeczeństw ludzkich na nowo od pierwszych początków. Osadnik w puszczy musi być w jednej osobie rolnikiem, pasterzem, rybakiem, drwalem, myśliwcem i wojownikiem granicznym. Musi stawiać czoło wszelkim burzom dziewiczej przyrody, potężnej a strasznej; musi umieć sobie torować drogę wśród gąszczy, brnąć przez bagna, przepływać rzeki, tropić ślady drapieżnych zwierząt. Musi być wytrzymałym na mróz i upał, na wicher i ulewę. Musi umieć siekierą ścinać kolosalne drzewa, a stanąć przytem tak, żeby spadający olbrzym nie zmiażdżył mu czaszki. Musi słyszeć ryk niedźwiedzia lub wycie głodnych wilków, a nie przelęknąć się. Musi mieć karabin przy boku i w razie potrzeby napastnikowi czworonożnemu czy dwunożnemu palnąć w łeb, nie czekając, aż na obronę pioniera kultury z dalekiej stolicy wybierze się policya czy milicya. To wszystko potrafili założyciele Nowej Anglii, włościanie szkoccy, od młodości otrzaskani z przyrodą, z górami i skałami, z puszczą i z morzem. Ale czy to wszystko potrafią żydzi z ghetta, których świat się kończy u rogatki? Czyż to wszystko potrafią skuleni, wątli, niedokrwiści krawcy, pończoszkarze, szczeciniarze o wązkiej klatce piersiowej?

Słowem, syonizm, który ma żydów wyprowadzić z ghetta, jest dla współczesnego pokolenia żydów niewykonalnym właśnie dlatego, że żydzi współcześni są dziećmi ghetta.

Nie wyklucza to, że o ile się tylko znajdzie odpowiedni zasób kapitału, uczciwości, zdolności organizacyjnych i wiedzy, możnaby setki lub nawet tysiące dzieci żydowskich w specyalnych szkołach w y c h o w y w a ć n a p r z y s z ł y c h o s a d n i k ó w; wszak i we Fracyi i w Anglii istnieją już takie szkoły. I nie jest też wcale wykluczonem, że tacy osadnicy żydowscy mogliby się stać twórcami nowego społeczeństwa, które, zwolna kiełkując i rosnąc, mogłoby kiedyś w 22. wieku zająć wcale zaszczytne miejsce pośród narodów świata. Ale tymczasem, zanim by nastarsza klasa tych przyszłych osadników i osadniczek ukończyła studya, wyjechała na morze i wykarczowała pierwsze dziesięć morgów lasu, jeszczeby Stołypin z całym spokojem mógł wyrżnąć dziesięć razy po dziesięć tysięcy żydów...

To też masy żydowskie nie czekają na odrodzenie przyszłych pokoleń przez syonizm, tylko emigrują tam, dokąd już dzisiaj emigrować mogą. Tak jak są, wątłe, niedokrwiste, o wązkich klatkach piersiowych, masy żydowskie emigrują tam, gdzie przy wyższych zarobkach, większej swobodzie i większem bezpieczeństwie życia i mienia mogą dalej prowadzić ten sam żywot co dotąd: żywot mieszczuchów w drugiej potędze, nie wychylających nosa za miasto, pracowitych ale wątłych, wytrwałych ale lękliwych. Krawcy i pończoszkarze z Lubartowa czy Wierzbołowa

stają się w Nowym Jorku znowu krawcami i pończoszkarzami. Ich synowie zaś stają się adwokatami, lekarzami, uczonymi — ale już nie żydowskimi, tylko amerykańskimi. Niema gorliwszych patryotów amerykańskich, niema optymistyczniejszych wielbicieli konstytucyi amerykańskiej, jak właśnie ci młodzi inteligenci z krwi żydowskiej. Nie biorę im tego bynajmniej za złe, przeciwnie, uważam taki rozwój za całkiem naturalny; stwierdzam tylko, że dla żydów po tej czy po tamtej stronie oceanu ostatecznie wszystkie drogi prowadzą do asymilacyi — z wyjątkiem drogi syonizmu, która dla mas żydowskich jest niedostępną i nawet w najlepszym razie jeszcze przez kilkadziesiąt lat niedostępną pozostanie.

Na razie więc możemy syonizm pozostawić na uboczu, jako kierunek, którego dążenia może się kiedyś w pewnej mierze ziszczą, może się i nie ziszczą wcale, ale który w każdym razie dla żydów dzisiaj żyjących nie rozwiązuje ani kwestyi społecznej, ani też kwestyi narodowej.

Ale i emigracya do miast Ameryki północnej nie rozwiązuje kwestyi żydowskiej w całości. Wprawdzie na ogół żydzi na tej emigracyi wychodzą bardzo dobrze, a w drugiem pokoleniu nawet świetnie. W przeciwieństwie do biednych chłopów polskich, dla których pobyt w Ameryce jest wygnaniem, żydzi, sprytniejsi, obrotniejsi a przedewszystkiem bardziej kosmopolityczni, urządzają się w Ameryce na pobyt stały; pozbywszy się wiecznego strachu przed prześladowaniem, a czując się dobrze na bruku wielkomiejskim, w drugiem pokoleniu odradzają się moralnie, intelektualnie a poniekąd nawet fizycznie i masowo awansują do szeregów zamożnej inteligencyi. Dobrowolna asymilacya tego drugiego pokolenia zaś jest tak powszechnem zjawiskiem, że na dłuższą metę nie może być mowy o jakiejś specyalnej kwestyi żydowskiej w Ameryce, a tylko o udziale Amerykan wyznania żydowskiego w walkach o rozwiązanie kwestyi społecznej w społeczeństwie skądinąd kwitnącem i bogatem, oraz stosunkowo wolnem i praworządnem. Emigracya do miast amerykańskich byłaby więc istotnie rozwiązaniem kwestyi żydowskiej, gdyby wszyscy żydzi chcieli emigrować. Tak jednak nie jest. Nawet gdyby emigracya żydów z Polski, Litwy i Ukrainy do Ameryki i nadal zachowała te olbrzymie rozmiary, do których doszła obecnie wskutek kontrrewolucyi i pogromów, to jednak ta „ewakuacya Wschodu“ (jak się wyraża prasa żydowska) trwałaby jeszcze mniej więcej pięćdziesiąt lat. Ponieważ jednak ta wezbrana fala emigracyjna jest bezpośredniem wynikiem pogromów i anarchii, więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa fala ta opadnie, jak tylko na miejsce despotyzmu i anarchii nastaną stosunki praworządne i wolność polityczna. Faktem bowiem jest, że same

tylko pobudki narodowościowe nie są wystarczającym bodźcem do wywołania masowej emigracyi żydowskiej. Głównym bodźcem była dotąd nędza materyalna; to też emigrowali prawie wyłącznie żydzi ubodzy. Dopiero pogromy zmobilizowały częściowo i warstwy zamożniejsze. Ale i teraz, o ile mi przynajmniej wiadomo, tylko bardzo nieznaczna cząstka wychodźców dąży do Palestyny lub do jakiegokolwiek innego kraju, mogącego z pewnym pozorem słuszności uchodzić w oczach syonistów za przyszłą dziedzinę narodu żydowskiego; ogromna większość jedzie taksamo jak dotąd do Stanów Zjednoczonych Ameryki i osiedla się w miastach. A więc nie o odrębny rozwój narodowy chodzi tym tłumom tylko, poprostu o bezpieczeństwo, swobodę i dobre zarobki. A z tego wynika że jak tylko w Polsce nastaną te trzy warunki, to emigracya żydów z Polski zejdzie do rozmiarów bardzo skromnych.

Natomiast radykalną zmianę sytuacyi wywołałoby zniesienie strefy osiedlenia. Nie ulega wątpliwości, że wtenczas żydzi rosyjscy, którzy niechętnie i z przymusu przebywają w Polsce, tłumnieby wyjeżdżali do Petersburga, do Moskwy, do Kijowa, do Rygi, do Kazania, do Astrachanu, do najprzeróżniejszych miast w całym państwie rosyjskiem aż po Ural i aż poza Ural. Co prawda, należy żywić pewne obawy co do błogiego losu żydów, zapuszczających się w głąb Rosyi; wątpić należy, czy tłumne zjawienie się żydów w okolicach, gdzie pobożny ludek prawosławny nie przywykł do ich widoku, a jednak już dzisiaj ich nienawidzi jako najgorszych wrogów prawosławia i cara, nie wywoła odrazu nowych pogromów nawet bez poparcia rządu. W takim razie ponownieby się spotęgowała emigracya żydowska do Ameryki. Ale nawet w tym wypadku nie należy się spodziewać, żeby bądź to z Rosyi czy Ukrainy, bądź to z Litwy czy z Polski żydzi znikli zupełnie. Będzie ich mniej, ale będą. Bo jeżeli nawet pogromy wywołują tylko częściową emigracyę, to dowodzi to, że jednak i wśród żydów jest wielu takich, którzy niezupełnie na zimno obliczają i ważą korzyści pobytu w Ameryce wolnej i bogatej w porównaniu z pobytem w kraju rodzinnym ubogim, zaniedbanym i gnębionym. Waga jest nierówna, bo szalę kraju rodzinnego ściąga ku ziemi niewidzialny ciężar. Tym niewidzialnym ciężarem nie są ani trudności paszportowe, ani tem mniej obawa przed uciążliwą podróżą morską. Żydzi są żywiołem zbyt ruchliwym i przedsiębiorczym, żeby ich powstrzymać mogły tak drobne przeszkody. Tym niewidzialnym ciężarem jest przywiązanie do kraju ojczystego.

A więc jednak dla setek tysięcy żydów Rosya lub Litwa lub Polska jest krajem ojczystym.

Czemże więc są żydzi?

Stwierdziliśmy, że nie są narodem, że natomiast są narodowością. Ale gdyby byli narodowością żywotną, toby wszyscy żydzi odczuwali brak własnego terytoryum jako stratę świeżą, dziś jeszcze bolącą niemniej jak w pierwszy dzień, jako ranę, z której krew jeszcze tryska strumieniem. Są tacy żydzi, ale są w mniejszości. Widzimy, że większość proletaryatu żydowskiego odrzuca syonizm z gwałtowną nienawiścią; widzimy, że wśród mieszczaństwa żydowskiego syonizm ma wprawdzie licznych zwolenników, ale także licznych i stanowczych wrogów. Słowem, większość żydów nie tęskni za odrębnem życiem narodowem w odrębnym kraju żydowskim, a raczej za równouprawnieniem z chrześcianami na miejscu. Mamy więc przed sobą narodowość, która w większości swojej wcale nie pragnie stać się narodem. Czemże więc są żydzi?

Żydzi są narodowością szczątkową, która częściowo już uległa asymilacyi, częściowo zaś tymczasem jeszcze się jej opiera. Ale nie oprze się, o ile będzie i nadal żyć w rozproszeniu. Czy syoniści zdołają zdobyć własny kraj i stworzyć naród żydowski gdzieś za morzem — niewiem. Ale to wiem, że dla mniejszości żydowskich, mieszkających w rozproszeniu pośród wielekroć liczniejszej ludności chrześciańskiej, asymilacya jest nieuniknioną. Żywotnemu narodowi każda nowa zdobycz wolnościowa dopomaga do przyspieszonego rozwoju odrębnej kultury; dla żydów każdy krok naprzód na drodze do wolności, dobrobytu, oświaty jest zarazem krokiem ku wynarodowieniu.

Ale przecież było już tyle prób assymilacyi żydów w Polsce, a żadna nie doprowadziła do celu? Przecież, jak mówią zgodnie i bundowcy i poalejsyoniści, „burżuazyjna idea assymilacyi już dawno zbankrutowała“?

Ostrożnie z konkluzyami! Nie asymilacya zbankrutowała, tylko pewne określone metody assymilacyi, odpowiadające pewnym określonym fazom rozwoju społeczeństwa ościennego. Zbankrutowała najprzód asymilacya szlachecka. Jeśli na Litwie na mocy Statutu litewskiego żydom i żydówkom, przyjmującym chrzest, przyznawano szlachectwo polskie; jeśli w Polsce do szeregów szlachty przyjęto Frankistów — to ta forma assymilacyi po rozbiorze Polski znikła z widowni, bo rozbiór Polski był wynikiem bankructwa szlachetczyzny. Niemniej jednak potomkowie Frankistów do dziś dnia pozostali Polakami. Ale nowe czasy wytworzyły nowe ruchy asymilacyjne, towarzyszące każdemu z powstań polskich; tym rasem mieszczaństwo polskie wchłaniało w siebie zamożne i wykształcone żywioły żydowskiego mieszczaństwa. Jeśli ruchy te nie doszły do szerszych rozmiarów, to przedewszystkiem dlatego, że zatamowany został swobodny rozwój samego społeczeństwa polskiego, przez co spa-

raliżowaną została także jego siła asymilacyjna. Ale wynaradawianie się mieszczaństwa żydowskiego i po r. 1863 nie ustało; tylko że, zamiast się polszczyć, żydzi w zaborze rosyjskim zaczęli się ruszczyć, podobnie jak w zaborze pruskim i austryackim już znacznie wcześniej zaczęli się niemczyć. W zaborze pruskim ta asymilacya żydów nie z żywiołem miejscowym, tylko z żywiołem panującym zaszła tak daleko, że — w Poznańskim odsetka ludności żydowskiej spadła z 13% na 3%, bo ci żydzi niegdyś polscy, stawszy się doskonałymi niemcami, rozproszyli się po miastach całego państwa niemieckiego; dzisiaj ich potomkowie ciężko się obrażają, jeśli ich ktoś odsądza od niemieckości. W Galicyi, póki rządy były centralistyczne i germanizacyjne, żydzi się niemczyli, przytem liczne dziesiątki tysięcy tych gorliwie niemczących się żydów galicyjskich emigrowały do miast niemieckich w Austryi, szczególnie do Wiednia, gdzie dostarczali całych zastępów kwiecistych dziennikarzy i ognistych mówców różnym frakcyom niemiecko-liberalnym oraz niemiecko-narodowym. Assymilacya święciła więc tryumfy i w zaborze pruskim i austryackim; nie była to wprawdzie polonizacya, tylko germanizacya, ale niemniej była to assymilacya. Dopiero autonomia Galicyi, zdobyta przez Polaków na upokorzonej Austryi w r. 1867, położyła kres dalszemu niemczeniu się żydów galicyjskich, a zato ponownie wprawiła w ruch polonizacyę. i to na dość szeroką skalę. Nie dla urągania przytaczam wszystkie te fakty, tylko aby wykazać, jak żywiołowem zjawiskiem jest assymilacya, jeśli nawet zupełne sparaliżowanie siły assymilizacyjnej społeczeństwa miejscowego nie potrafiło jej zatamować całkiem, a tylko zdołało ją wykoszlawić.

W Królestwie zaś polonizacya mieszczaństwa żydowskiego i po 1863 r. nie ustała w zupełności, ale się krzyżowała z rusyfikacyą, i te dwa prądy nawzajem się osłabiały. W nowszym czasie zaś wskutek prześladowań żydów w Rosyi, Królestwo stało się przytułkiem dla setek tysięcy żydów rosyjskich, w znacznej części zrusyfikowanych bądź to językowo, bądź to ideowo. Pojawili się w Królestwie żydzi, nawskróś przesiąknięci zaborczym nacyonalizmem wszechrosyjskim; pojawili się żydzi, z akcentem głębokiego przekonania powtarzający wszelkie polakożercze kłamstwa urzędowych historyków rosyjskich; pojawili się żydzi w przedziałach kolei żelaznej robiący polakom awantury za mówienie po polsku, zamiast po rosyjsku. Rzecz jasna, że takie występowanie licznych żydów rosyjskich jako dobrowolnych pomocników rusyfikacyi żandarmskiej musiało o całe niebo pogorszyć stosunki między polakami a żydami i zatamować polonizacyę do szczętu. Ale i tu w gruncie rzeczy

nie odrębność żydowska wyparła assymilacyę, tylko jedna assymilacya wypierała drugą.

Przez ten cały czas żydzi w państwie rosyjskim — z wyjątkiem chyba chasydów, sekciarzy wrogich wszelkiej oświacie poza czytaniem ksiąg świętych — niczego innego nie pragnęli, jak żeby ich dopuszczono do assymilizacyi. Mniejsza o to, że prócz chederów nie było szkolnictwa żydowskiego; wszak i szkolnictwa polskiego nie było, bo wytępiła je przemoc najezdnicza. Ale u żydów nawet dążności do swojskiego szkolnictwa, nawet marzeń o swojskiem szkolnictwie nie było; natomiast domagali się nieustannie, żeby ich na równi z chrześcianami dopuszczano do szkół rosyjskich.

A myliłby się bardzo grubo, ktoby przyczynę tego lgnięcia do kultury narodu panującego szukał w jakiejś wrodzonej służalczości żydów. Tłem tej dążności do zlania się z narodem panującym jest poprostu instynktowne przeświadczenie, że g h e t t o n i e j e s t s p o ł e c z e ń s t w e m, że jest i może być tylko karykaturalnym ułamkiem społeczeństwa, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero poza murami ghetta. Wynika stąd namiętna tęsknota za owem życiem pełnem, szerokiem, swobodnem, które prowadzą społeczeństwa niepodległe i potężne; a z tej tęsknoty wyłania się bezkrytyczna idealizacya takich właśnie społeczeństw. W takiem świetle, odbijając od potrójnej nędzy i niewoli ghetta, mogło się i społeczeństwo rosyjskie wydawać czemś stokroć jaśniejszem i lepszem, niż jest istotnie. To też naiwny entuzyazm wszechrosyjski wielu żydów rosyjskich, a nawet niektórych socyalistów rosyjsko-żydowskich jest całkiem szczerym.

Dopiero brutalne odepchnięcie żydów przez Rosyę, ich gorąco ukochaną matkę przybraną, wywołało zwrot ku prądom anty-assymilacyjnym. Ale nie wszędzie te prądy zwyciężają. Mimo powstania stowarzyszeń i pism syonistycznych w Niemczech, żydzi niemieccy nie przestali być niemcami; żydzi francuscy jak byli, tak są francuzami; nie ustała też assymilacya żydów ani w Anglii, ani w Ameryce. Słowem, assymilacya pozostała górą wszędzie tam, gdzie istnieją odpowiednie dla niej warunki. Pierwszym z tych warunków jest, żeby żydzi byli bezpieczni od prześladowań; drugim, żeby korzystali z równouprawnienia obywatelskiego; a trzecim, żeby społeczeństwo miejscowe, kwitnące materyalnie a niepodległe i jednolite narodowo, imponowało żydom i przyciągało ich ku sobie. Właśnie dlatego jednem z głównych ognisk prądów anty-assymilacyjnych jest Litwa, gdzie żydzi pragnący się assymilować znajdują się istotnie w niemałym kłopocie. Budzącej się kulturze białoruskiej żydzi poprostu nie widzą, bo niema jej w mieście, a na wsi

żydów niema. Młoda, ale szybko się rozwijająca kultura litewska również jest jak dotąd jeszcze przeważnie wiejska, a zatem żydom, jako ludziom z miasta, patrzącym w świat przez specyalnie miejskie okulary, zgoła imponować nie może. Żywioł polski jest mniejszością liczebnie słabą, a nadto prawnie upośledzoną, a co gorsza, biernie znoszącą to upośledzenie — słowem mniejszością, która sama żyje w czemś nakształt ghetta. A rusyfikacya koniec końcem także nie na wiele się przydaje, bo żywioły miejscowe niechcą się ruszczyć, więc rusyfikacya żyda na Litwie, szczególnie na Litwie rdzennej, nie zbliża do ludności miejscowej, a raczej go od niej odgradza. Wszystko to razem chwilowo sprzyja wzmaganiu się odrębności żydowskiej; niejeden Rosyanin mojżeszowego wyznania na Litwie nauczył się mówić żargonem. Poniekąd podobnie dzieje się w Galicyi wschodniej, gdzie wobec liczebnej słabości żywiołu polskiego, a ekonomicznej i kulturalnej słabości żywiołu ruskiego żydzi nie wiedzą, czy się mają polszczyć, czy rutenizować, czy niemczyć, czy też poprostu plunąć na ten cały padół nędzy i brudu i wyjechać za morze, co też wielu z nich czyni.

Wyliczone czynniki same w sobie jużby wystarczały, aby wytłumaczyć chwilowy rozrost literatury żargonowej. Dodać jednakże należy jako jeden z najważniejszych czynników ideową demokratyzacyę młodego pokolenia inteligencyi żydowskiej. Młodzież ta już się nie zadawalnia kulturą dla siebie, tylko pragnie nieść kulturę ludowi żydowskiemu, nie wyłączając jego warstw najuboższych; a do ludu, o ile się rzeczywiście chce przemawiać do mas a nie do jednostek, trzeba przemawiać językiem ludu. Jednostki z warstw zamożnych mogły okupywać wykształcenie assymilacyą; mas milionowych z dnia na dzień assymilować nie można. Nie można tego szczególnie wtedy, jeśli te masy, pracując od rana do późnej nocy, nie mają czasu na łeb na szyję uczyć się innego języka i innego alfabetu. A już zgoła tego nie można pod caratem, gdzie trzy czwarte czasu i energji trzeba poświęcić na konspirowanie się. Jest więc zrozumiałem, dlaczego pod caratem krzewienie się idei demokratycznych, szczególnie zaś krzewienie się socyalizmu musiało na razie zatamować assymilacyę. Od chwili, kiedy osią życia politycznego stał się lud pracujący, straciła znaczenie assymilacya burżuazyi i inteligencyi tylko; masowa assymilacya proletaryatu zaś na razie nie była możliwą. Przynajmniej nie była możliwą z taką prędkością, żeby można było z propagandą socyalizmu poczekać aż do dokonania assymilacyi językowej. Wszak na Litwie w swoim czasie założyciele Bundu zaczynali od uczenia robotników żydowskich po rosyjsku; doświadczenie rychło ich przekonało, że mniej czasu trzeba na to, żeby się jeden in-

teligent po żydowsku nauczył, niż żeby się trzydziestu robotników nauczyło po rosyjsku. Całkiem słusznie więc i bundowcy i P. P. Sowcy i socyaliści różnych innych odcieni zaczęli do robotników żydowskich mówić w żargonie i drukować dla nich wydawnictwa żargonowe. Całkiem słusznie, bo żargon jest dzisiaj faktem, z którym należy się liczyć. A że każda liszka swój ogon chwali, więc ci młodzi inteligenci, którzy w chwalebnem poświęceniu dla dobrej sprawy przezwyciężyli swój początkowy wstręt do żargonu i nauczyli się nim mówić i pisać, coraz bardziej zaczęli wierzyć w Bóg wie jak świetną przyszłość żargonu — całkiem jednak niesłusznie.

Jak tam będzie na ziemi obiecanej syonistów, jeżeli ją zdobędą, tego niewiem. Ale w Europie żargon stanowczo niema przyszłości, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki także nie.

Mówi się dużo o rozkwicie literatury żargonowej w Londynie i Nowym Jorku. W rzeczywistości jednak podłożem tego rozkwitu jest napływ coraz to świeżych przybyszów, uciekających od nędzy i prześladowań pod caratem; drugie pokolenie już woli czytać po angielsku.

W Polsce zaś żargon niema przyszłości właśnie dlatego, że agitacya żargonowa się krzewi, oraz że treść tej agitacyi jest przeważnie postępową i socyalistyczną. Nietylko bowiem agitacya socyalistyczna przyczynia się do polepszenia warunków pracy, a więc ułatwia robotnikowi żydowskiemu nauczenia się języka krajowego, a zatem przyspiesza assymilacyę. Trzeba także wziąść w rachubę, że podstawą istnienia żargonu jest wysoki stopień społecznego i towarzyskiego wyodrębnienia żydów od chrześcian. Przyczyną tego wyodrębnienia jest nie tyle antysemityzm klerykalnej ludności chrześciańskiej, ile przedewszystkiem antychrystyanizm klerykalnych warstw żydowstwa. Agitacya socyalistyczna, zwalczając klerykalizm, niszczy u chrześcian antysemityzm, a u żydów antychrystyanizm. Jednym z wyników agitacyi socyalistycznej jest więc i musi być przyspieszone zbliżanie się żydów do „gojów", tak w akcyi politycznej, jakoteż i w życiu prywatnem. A ponieważ tych „gojów" jest nawet w Królestwie sześć razy więcej od żydów, a w Galicyi zachodniej przynajmniej dziesięć razy więcej od żydów, a stosunek ten wskutek bezpowrotnej emigracyi dziesiątek tysięcy żydów z Galicyi a setek tysięcy żydów z Królestwa będzie się coraz bardziej przesuwał na korzyść chrześcian, więc na dłuższą metę ze społecznego i towarzyskiego zbliżania się żydów do chrześcian może wyniknąć tylko wchłonięcie mniejszości przez większość. Aby temu zapobiedz, trzebaby sztucznie szerzyć ciemnotę, jak to czyni rząd rosyjski. Krótko mówiąc więc: żargonowa agitacya socyalistyczna niesie kulturę, a kultura prowadzi do

assymilacyi. A stanie się to coraz bardziej widocznem, im bardziej zwycięstwa prądów rewolucyjnych usuną zapory rozwoju kulturalnego wogóle. Wynikiem końcowym dzisiejszego rozrostu agitacyi i literatury żargonowej może być więc jedynie demokratyzacya assymilacyi.

Nawiasem mówiąc: to samo co w Polsce, będzie się z żydami działo i na Ukrainie, na Litwie i Łotwie, a z czasem, chociaż w powolniejszem tempie, także na Białej Rusi. Te same społeczeństwa miejscowe, które, urastając w świadomość i siłę, z czasem niezawodnie wchłoną w siebie mniejszości polskie, będą wchłaniały w siebie i mniejszości żydowskie. A w interesie tych mniejszości żydowskich — o ile w międzyczasie nie wywędrują do Ameryki, co w bardzo wielu wypadkach jest wyjściem praktycznie najbardziej wskazanem — leży nie czekać biernie, aż się wpływy assymilacyjne społeczeństwa litewskiego czy łotewskiego, białoruskiego czy ukraińskiego dostatecznie wzmocnią, aby ogarnąć żydów wbrew ich woli, tylko czynnie dążyć do zespolenia się ze społeczeństwem miejscowem i przez to właśnie je wzmacniać. Albowiem i w interesie żydów — jak zresztą w interesie wszystkich mieszkańców danego kraju — leży przyspieszenie rozwoju demokratycznych instytucyi, te zaś mogą się harmonijnie rozwijać tylko na podstawie terytoryalno-narodowej. Wynika z tego, że naprzykład na Białej Rusi działacz żyd, chcąc postępować jako szczery i konsekwentny demokrata, nie powinien być „kulturtregerem" ani polskości ani rosyjskości, tylko dopomagać Białorusinom do rozwoju ich własnej samodzielnej kultury.

Wróćmy jednak do właściwego naszego tematu. Wyobraźmy sobie, że już minął obecny okres przedśmiertnych konwulsyi zaborczości wszechrosyjskiej, z którego to okresu wyjdzie monarchia Romanowów nietylko skonstytucyonalizowana, ale i mocno okrojona. Przeskoczmy w duchu wszystkie te fazy walk wewnętrznych i zewnętrznych, które nas dzielą od celu naszego, Niepodległej Polski Socyalistycznej. Wyobraźmy sobie, że już stanął ten wielki dom ludu polskiego, sięgający od północnych stoków Łomnicy i Krywania aż po ujścia Wisły, półwysep helski i Lebę kaszubską. Otóż w tej Polsce oprócz innych mniejszości narodowościowych niezawodnie będą i żydzi. Nie będzie ich ani w przybliżeniu tyle co dzisiaj, bo niewątpliwie aż do tego czasu emigracya ogromnie przerzedzi ich szeregi; ale bądź co bądź będą ich jeszcze setki tysięcy. A ponieważ okres krwawych walk, który się rozpoczął trzy lata temu, a trwać może jeszcze lat dziesiątki, niekoniecznie sprzyja spokojnej pracy kulturalnej, więc należy się liczyć z możliwością, że z tych setek tysięcy żydów znaczna część jeszcze będzie niezassymilowana.

I oto stanęliśmy przed ostatnią z kwestyi narodowościowych, które w przyszłej Polsce będą do rozwiązania: jak postąpić z żydami, aż do tego czasu jeszcze niespolszczonymi?

Formalnie tak samo, jak z niemcami w Łodzi i Poznaniu, jak z Rusinami wzdłuż wschodniej granicy. I dla Żydów, przyznawających się do narodowości żydowskiej, utworzy się Żydowską Izbę Oświatową w Polsce, wybraną przez interesantów drogą powszechnego i równego głosowania, uprawnioną do ściągania podatków uwalniających od odpowiedniej kwoty podatków rządowych, i upoważnioną do zakładania i utrzymywania szkół, gimnazyów, uniwersytetów w języku wykładowym żydowskim, pod warunkiem, żeby w tych szkołach między innymi przedmiotami uczono także języka i literatury polskiej, oraz geografji i historyi ziem polskich. A wychowańcy tych szkół również będą mieli prawo kandydować do wszelkich urzędów, o ile się tylko poprzednio wykażą, że znają kraj, w którym żyją, i władają językiem narodu, pośród którego chcą działać.

Ale jeśli zanik żargonu jest nieuniknionym, czy nie lepiej wcale nie dopuszczać do zakładania szkół żargonowych, tylko odrazu przepisać polski język wykładowy i kwita?

Byłoby to nietylko krzywdą, ale co gorsza głupstwem. Póki żargon jest jeszcze językiem macierzyńskim chociażby tylko dziesięciu tysięcy żywych ludzi w kraju, póty wszelki przymus do wyrzeknięcia się żargonu wywoływać będzie te same skutki ujemne, co wszelkie prześladowanie jakiejś żywej mowy ludzkiej: zatamowanie oświaty i rozniecenie nienawiści narodowej. Urzędowe „tępienie“ żargonu równałoby się w skutkach swoich sztucznej konserwacyi tego szczątkowego języka, przy jednoczesnem obniżaniu poziomu kulturalnego żydów. Przeciwnie, właśnie przy zupełnej swobodzie pielęgnowania żargonu żydzi całkiem dobrowolnie będą lgnąć do polskiej kultury, jeśli tylko Polska będzie wolna i kwitnąca. A to tem bardziej, że przecież już teraz dokonywa się pomiędzy żydami w Polsce dobór społeczny na wielką skalę: ci żydzi, których nic nie wiąże z Polską, tłumnie emigrują i coraz tłumniej emigrować będą. Zanim zdołamy odbudować Polskę niepodległą, w Polsce pozostaną prawie wyłącznie tacy żydzi, którzy wolą ubóstwo i niepewność jutra w Polsce, niż bezpieczny dobrobyt w Ameryce; tacy żydzi, którzy wolą przetrwać dziesiątki lat wśród rozhukanych żywiołów rewolucyi, kontrrewolucyi i bandytyzmu, niżli opuścić Polskę — a zatem istotnie polscy żydzi. Dlaczegóż więc ci żydzi nie mieliby się polszczyć, jeśli tylko Polska szczerze i serdecznie uzna ich za swoich?

Trzeba być skrajnym pesymistą co do żywotności polskiej kultury,

żeby wątpić o tem, że kultura polska nie przymusem, tylko pięknością swoją i wewnętrznem bogactwem zdoła zawojować serca tych ludzi, którym życie w Polsce warte jest najstraszniejszych ofiar — a innych ludzi od dziś za dwadzieścia lat w Polsce nie będzie.

Ostatecznem zaś przykuciem do Polski i żydów i wszelkich innoplemieńców będzie socyalizm, wychowujący całą młodzież do pracy dla dobra kraju i w służbie kraju, a w zamian zabezpieczający wszystkim synom kraju dobrobyt i wolność. Taka ojczyzna będzie dla synów swoich istotną matką; takiej ojczyzny się nie opuszcza, jak ojczyzny kapitalistycznej, dającej ubogiemu tylko prawo do niepewnej walki o chleb, a w razie przegrania tej walki wolność umierania z głodu. Starajmy się u nas urzeczywistnić socyalizm wcześniej od innych narodów, a Niemiec, Żyd czy Tatar, urodzony w Polsce, będzie granic Polski bronił ze świętym zapałem, jak każdy człowiek broni wyższej formy bytu, do której przywykł, a bez której już mu nie warto żyć. A wtenczas niebawem polska mowa stanie się mową ojczystą wszystkich obywateli republiki polskiej. Tak więc socyalizm wytworzy wspólność kultury, ale i na odwrót wspólność kultury utrwali socyalizm.

VI.

Teorya organicznego wcielenia.

Pozostaje nam jeszcze rozprawić się z ową rzekomo naukową teoryą, która twierdzi, że niepodległość Polski jest niemożliwą z przyczyn ekonomicznych.

Gdyby tak było istotnie, znaleźlibyśmy się w bardzo smutnem położeniu. Ponieważ bowiem socyalizm nie może istnieć bez demokracyi, demokracya zaś nie może istnieć bez niepodległości, a niepodległość Polski rzekomo jest niemożliwą, więc wynikałoby z tego, że póki Polskę zamieszkują Polacy, to w Polsce niemożliwym jest socyalizm. Przedwstępną trudnością dla urzeczywistnienia socyalizmu na ziemiach dziś polskich byłoby w takim razie zaludnienie tych ziem przez naród polski, niezdolny do zdobycia niepodległości, a zatem niezdolny do socyalizmu. Powinniby tedy socyaliści w Polsce odłożyć na później socyalizm, jako utopię przedwczesną, a zatem na razie niedorzeczną, a natomiast zabrać się do pracy nad usunięciem owej przedwstępnej przeszkody. Na zachód od Aleksandrowa powinniby się socyaliści przedzierzgnąć w hakatystów, na wschód od Aleksandrowa w rusyfikatorów; a jedni i drudzy, pracując wytrwale i ofiarnie pod hasłem „Precz z Polską!“ powinniby wy-

naradawiać Polaków aż do skutku. Dopiero, skoroby Polacy znikli całkiem, albo przynajmniej stali się rozproszoną po kraju mniejszością nieznaczną, której dalszą asymilacyę jużby spokojnie można pozostawić czasowi — dopiero wtedy Poznańskie, przyjąwszy napowrót piękną nazwę z przed powstania 1806 roku: Südpreussen (Prusy południowe), mogłoby bez uszczerbku dla demokracyi wejść w skład niepodległej republiki demokratycznej niemieckiej, a Przywiślański Kraj, również bez uszczerbku dla demokracyi, w skład niepodległej republiki demokratycznej rosyjskiej, do wywalczenia której z tak żywiołową siłą prze wrodzony republikanizm narodu rosyjskiego. Słowem, dla socyalistów w Polsce „programem na dziś“ musiałoby się stać doszczętne wytępienie polskości. Zanim się jednak zgodzimy na tak bolesną konkluzyę, przekonajmy się raz jeszcze, czy przesłanki są w porządku.

Otóż ową „teoryę organicznego wcielenia“ w krótkości tak mniej więcej streścić można:

Podczas gdy w Rosyi, Niemczech i innych kulturalnych krajach Europy przemysł fabryczny powstał jako naturalny wykwit rozwoju swojskiego kapitalizmu, Polska aż do chwili zdobycia Księstwa Warszawskiego przez cesarza Aleksandra I w r. 1812 była zacofanym krajem szlachecko-agrarnym, gdzie przez wieki całe szlachcice nawet długów robić nie umieli, tak, że na tych durniach nawet kapitał lichwiarski nic zarobić nie mógł, a cóż dopiero kapitał przemysłowy*) — a więc krajem całkiem niezdolnym do rozwoju swojskiego przemysłu. To też przemysł w Polsce powstał dopiero po r. 1815, to znaczy po zagospodarowaniu się w Polsce oświeconego absolutyzmu rosyjskiego; był sztucznym tworem, a twórcą tego sztucznego tworu był mądry monarcha Aleksander I**), który, zrozumiawszy swe posłannictwo, jako pełnomocnik kapitalizmu rosyjskiego, utrwalił wojskowy podbój Polski ekonomicznym podbojem, świadomie przekształcając państwo polsko-rosyjskie na jednolity organizm wytwórczy o planowym podziale pracy pomiędzy szczepami rosyjskimi: Rosyi właściwej przypadło w udziale wysyłanie produktów rolniczych oraz surowców do Polski, Polsce zaś zaopatrywanie Rosyi w wyroby fabryczne. Kilkoma ukazami***), które wyskoczyły z genialnej jego głowy,

*) To też nad edukacyą tych durniów szlacheckich i nad utorowaniem drogi do ich trzosów kapitałowi lichwiarskiemu dzielnie się krzątali niemieccy administratorowie Prus południowych. Obacz: Rosa Luxemburg. Die industrielle Entwicklung Polens (Leipzig 1898), str. 2.

**) Obacz seryę artykułów Róży Luksemburg pod tytułem „Von Stufe zu Stufe“ (Krok za krokiem). Neue Zeit, rocznik XVI, tom 1.

***) Rosa Luxemburg. Die industrielle Entwicklung Polens, str. 3. Porównaj także „Von Stufe zu Stufe“.

jak Minerwa z głowy Jowisza. Aleksander I stworzył przemysł kapitalistyczny w puszczach polskich; odtąd po tej samej drodze dalej kroczyli i kroczą jego niemniej genialni następcy, poparci przez wykształconą, pracowitą i sprężystą biurokracyę rosyjską. Ale ten przemysł polski był darem Rosyi; jeśli się Rosya pogniewała na Polskę, to mogła każdej chwili odebrać swój dar od niewdzięcznych dzikusów z puszczy. To też, kiedy car Mikołaj I dowiedział się o powstaniu 1831 roku, światły ten marksista na tronie*) odrazu odgadł, że z tego będą nici, bo fabrykanci łódzcy stracą zbyt dla swoich nici na rynkach rosyjskich. I nie pomylił się marksista na tronie: powstanie w łeb wzięło, a marksista na tronie, jako pełnomocnik kapitalizmu rosyjskiego, ukarał Polskę za jej nienaukowe odrywanie się od organizmu wytwórczego, do którego przecież już była wcielona: zamknął Polsce przed nosem dostęp do rynków wschodnich. Jakiż to giest wspaniały: jednolity organizm wytwórczy rosyjski prawą ręką odciął sobie lewą rękę, za karę, że była nieposłuszną głowie! To też odtąd przemysł polski, jak odcięta ręka leżąca w błocie, skazany na bezsilność, krwawił się i gnił; cudem tylko jakimś w ciągu dwudziestu lat nie obumarł całkiem. Natomiast rosyjskiemu organizmowi wytwórczemu jakoś wcale dobrze się działo bez tej ręki odciętej. Aż tu w r. 1850 stał się drugi, większy cud: ten sam rosyjski organizm wytwórczy, który się ongi sam okaleczył, teraz sam sobie przyszył ową gnijącą rękę odciętą, która też odrazu przyrosła i wyzdrowiała! Co więcej: dzięki temu cudowi, który poprostu polegał na zniesieniu linii celnej koło Brześcia Litewskiego, przemysł polski zaczął się odtąd rozwijać w sposób niebywały. A im bardziej polityka celna polsko-rosyjskiego rządu stawała się protekcyonistyczną, tem bardziej dobroczynnie oddziaływała ta opieka carska i na przemysł rosyjski, i na przemysł polski. Wprawdzie ten protekcyonizm carski, któremu między innemi chodziło potrochę także o zwiększenie dochodów skarbowych z ceł, z czasem coraz bardziej podwyższał cła nietylko na fabrykaty zagraniczne, ale i na półfabrykaty, na maszyny, na najniezbędniejsze surowce, nawet na bawełnę, na rudę żelazną, na węgiel; ale to nic — podrożenie surowca, to dobrodziejstwo dla przemysłu! Wprawdzie np. w latach dziewięćdziesiątych węgiel był w Rosyi trzy razy droższy, niż w Niemczech**) — ale to nic: na tem korzystają akcyonaryusze kopalń sosno-

*) Obacz wyż wspomnianą rozprawę Róży Luksemburg: „Von Stufe zu Stufe". Łaskawy czytelnik znajdzie tam cały ustęp, dający się streścić w haśle: Zurück auf Nikolaus I!

**) Rosa Luxemburg. Die industrielle Entwicklung Polens, str. 18.

wieckich!*) Wprawdzie ten fiskalny protekcyonizm, czy protekcyjny fiskalizm podrożył także w szalony sposób wszelkie najpowszedniejsze artykuły spożywcze mas robotniczych, wygórował cenę herbaty i tytoniu, podrożył cukier, kawę, mąkę, kaszę, kakao, śledzie nawet — ale to nic! Głód i wycieńczenie robotników, to bardzo korzystny warunek produkcyi! Wprawdzie moskiewscy fabrykanci niejednokrotnie domagali się od rządu obrony przeciwko „obcemu" przemysłowi polskiemu — ale tylko całkiem głupi socyalpatryota jakiś, albo oszukańczy szlachcic-nacyonalista może takim plotkom jakiekolwiek przypisywać znaczenie; wszak rząd carski jest „matką, pełną dobroci", która wszystkich kapitalistów, rosyjskich czy polskich, „bez różnicy tuli do szerokich piersi" **). Słowem, kapitalizm polski ma raj na ziemi, ale ma go - z łaski caratu. Gdyby więc Polska oderwała się od Rosyi, to Rosya ponownieby wzniosła chiński mur celny koło Brześcia — i jużby było po przemyśle polskim, zdechłby, jak głodny pies bezdomny. A zatem niepodległość Polski byłaby zgubną i dla burżuazyi polskiej i dla proletaryatu polskiego; między temi dwiema klasami, skądinąd wrogiemi, na tym punkcie panuje najczulsza harmonia interesów. A ponieważ przeciwko solidarnym wysiłkom burżuazyi i proletaryatu nikt nic wskórać nie może, więc niepodległość Polski jest niemożliwą i tyle. Coprawda, w ustroju socyalistycznym zmienią się warunki produkcyi — ale wtenczas wogóle żadnych państw ani narodów nie będzie; zniesie się wszelkie granice i komory celne, wszędzie będzie wolno jechać bez paszportu, wszędzie wszystko przemycać będzie wolno, a wszystkie języki świata zleją się w jeden żargon rosyjsko-niemiecko-czukocko-hotentocki. Pocóż więc wtedy jeszcze głowę zawracać jakimiś tam narodami? Przecież to tylko burżuazyjne wynalazki, aby zamącać

---

*) Nawiasem mówiąc, Luksemburżanka nazywa okręg przemysłowy częstochowsko-zagłębiowski „der Sosnovizer Rayon", a jako główne miejscowości tego okręgu wylicza: „Czenstochow, Bendin, Zawierz, Sielz und Sosnoviz". (Tamże, str. 22). A więc Dąbrowa górnicza pominięta, Częstochowa i Będzin zruszczone; a „Zawierz", „Sielz", „Sosnoviz", to już ani po polsku, ani niemiecku, ani po rosyjsku — chyba po luksembursku. Oprócz języka p. Luxemburg mimochodem zrewolucyonizowała i botanikę, twierdząc, że Zagłębie w latach sześćdziesiątych pokryte było „gęstą puszczą jodłową" (dichter Tannenwald). To samo za nią powtarza Mehring w inspirowanym przez „meine junge Freundin Rosa Luxemburg" komentarzu do artykułów Marksa o kwestyi polskiej (Aus dem Nachlass von Marx und Engels, III, 42). Kto zna Zagłębie, ten wie, że tam jodeł bardzo niewiele; są lasy, ale sosnowe. Stąd też nazwa Sosnowiec. Ale dla „naukowej socyalistki" to wszystko jedno, czy sosna czy jodła, czy róża czy pokrzywa.

**) Rosa Luxemburg, Die industrielle Entwicklung Polens, str. 62.

klasową świadomość proletaryatu! A zatem w socyalistycznym ustroju także nie będzie niepodległości. Nie będzie jej wogóle nigdy. Nie należy wogóle o niej gadać. To znaczy, o niepodległości Polski; bo oczywista niepodległość Rosyi, to całkiem co innego. Bo też Rosyanie są narodem republikańsko-proletaryackim, a Polacy są narodem monarchiczno-burżuazyjnym. Innemi słowy: Rosya to proletaryat, a Polska to burżuazya! To też niepodległość Rosyi leży w żywotnym interesie proletaryatu; ktoby się targnął na niepodległość i całość Rosyi, ten oczywista byłby reakcyonistą i burżujem, albo poprostu szlachcicem dążącym do przywrócenia pańszczyzny.

A teraz starajmy się stwierdzić, ile w poglądach socyalcentralistów jest prawdy.

Przedewszystkiem więc: kto stworzył przemysł w Polsce i kiedy?

Róża Luksemburg twierdzi*): „Dziesięciolecie 1820—1830 jest okresem utworzenia się przemysłu polskiego, czyli raczej rękodzielnictwa polskiego".

Tymczasem w rzeczywistości już około 1750 r., za króla Augusta III, zaczęło się w Polsce stopniowe przeobrażanie się drobnego przemysłu rzemieślniczego na przemysł rękodzielniczy, typową w ówczesnej Europie formę wielkiego przemysłu. W skrzętnej swej monografii, opartej na poważnych studyach źródłowych, dr. Henryk Radziszewski**) tak określa początki tego rozwoju:

„Już za czasów saskich widzimy przebłyski tego ruchu, który ujawnił się w całej pełni, z całą siłą dopiero za Stanisława Augusta. Już w r. 1758 widzimy, jak powstaje w Słucku słynna fabryka pasów słuckich, staraniem księcia Michała Kazimierza Radziwiłła. Zabiegi ks. Anny z Sanguszków Radziwiłłowej stworzyły fabryki szkła i luster w Urzeczu i Nalibokach, gobelinów w Koreliczach. Wcześniej jeszcze, bo w r. 1748, widzimy biskupa Załuskiego, zakładającego w dobrach swoich w Krakowskiem i Sandomierskiem fabryki żelaza".

To samo stwierdza i prof. Stanisław Grabski***):

„Rozleglejszą o wiele jeszcze (niż w rolnictwie) była działalność inicyatywy prywatnej na polu rozwoju przemysłu. Zresztą ruch w tym kierunku zaczął się był już za Augusta III. Widzimy już wtedy fabryki

---

*) Rosa Luxemburg, Die industrielle Entwicklung Polens, str. 8.

**) Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem (w wydawnictwie zbiorowem „W naszych sprawach", tom II, Warszawa 1900), str. 814.

***) Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831, tom I (Kraków 1903), str. 7.

żelaza, zakładane przez Stanisława Załuskiego, biskupa krakowskiego i Jana Nałęcza Małachowskiego, kanclerza w. kor., fabryki wyrobów szklannych w Nawlibokach, wyrobów kamiennych w Janowiczach, wyrobów glinianych w Smolkowie, luster i szkieł w Urzeczu, założone przez księżnę Annę Radziwiłłową, fabrykę dywanów w Nieświeżu, pasów w Słucku itd. Z wstąpieniem na tron Stanisława Augusta ruch ten zwiększa się jeszcze. W r. 1766 wykończona została ludwisarnia w Warszawie. W tym też roku założoną została pod protektoratem królewskim Kompania Manufaktów Wełnianych, która jednak rozwiązała się już w 1770 r. wobec grożącego bankructwa" *).

Były to naturalnie początki dopiero. Natomiast po pierwszym rozbiorze Polski w 1772 r. ruch ten staje się coraz powszechniejszym. Można się o nim informować z pierwszego lepszego podręcznika historyi polskiej. Ot, co o tem pisze naprzykład Wł. Grabieński**):

„Drożyzna towarów zagranicznych stała się pobudką do uprawy przemysłu krajowego. Pierwsze próby w tym kierunku podjęli posiadacze wielkiej własności ziemskiej i kapitaliści, głównie magnaci. Sam król (Stanisław August) założył w Belwederze pod Warszawą fabrykę fajansu, w Kozienicach hamernię i ludwisarnię: po odpadnięciu do Austryi Bochni i Wieliczki popierał poszukiwanie soli kuchennej. Z magnatów najczynniejszym był Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski. W różnych miastach litewskich zakładał fabryki: płótna, sukna, papieru: na przedmieściu grodzieńskiem, w Horodnicy, stworzył wielką osadę przemysłową, produkującą wszystko, począwszy od szpilek, igieł i kart, skończywszy na karetach i koronkach. Kierownikami fabryk byli cudzoziemcy: Francuzi, Niemcy, Belgowie i Włosi; robotnikami — chłopi z dóbr królewskich. Nie było prawie domu arystokratycznego, któryby nie podejmował jakiejś gałęzi przemysłu. Książę Józef Czartoryski, stolnik litewski, utrzymywał w Korcu, na Wołyniu, fabryki sukna, kapeluszy i fajansu; to samo produkowali: Prot Potocki w Machnówce, na Ukrainie, Szczęsny Potocki w Tulczynie, Sapieha w Rożannie: czynni byli w różnych gałęziach przemysłu: Małachowscy, książę Stanisław Poniatowski, Joachim Chreptowicz, Jacek Jezierski i wielu innych. Za przykładem magnatów szła szlachta zamożniejsza. Odpowiedniejszy pod wielu względami grunt do

---

*) Szczegółowo opowiada historyę Kompanii Manufaktów Wełnianych dr. Radziszewski, tamże, str. 299—312.

**) Dzieje narodu polskiego (Kraków 1898), tom II, str. 31.

uprawy przemysłu przygotowywał się w miastach, których wzrost stał się najważniejszą potrzebą ekonomiczną"*).

Oczywista, to wszystko nie rozgrzesza ówczesnych magnatów polskich z ciężkiej winy wobec ludu polskiego, któremu tak uparcie, mimo nawoływań Staszica i Kołłątaja, odmawiali wolności; nie zdejmuje to ze Szczęsnego Potockiego i innych magnatów-Targowiczan hańbiącego piętna zdrady narodowej. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem: jeśli magnaci polscy uprawiali przemysł między 1772 a 1795 rokiem, to nie mógł przemysłu polskiego stworzyć car Aleksander I w 1820 roku — bo stworzyć można tylko to, czego jeszcze niema, tak samo jak pozbawić dziewictwa można tylko dziewicę. A ponieważ w owym okresie celem wytwarzania karet w Grodnie albo fajansów w Warszawie nie mogło być wywożenie tych przedmiotów aż het za Dniepr, więc magnaci polscy, czy skądinąd byli Targowiczanami czy też patryotami polskimi, bądź co bądź fabryk nie zakładali w zamiarze organicznego wcielania Polski do Rosyi. Owszem, są poszlaki po temu, że jedną z pobudek krzewienia przemysłu był w wielu wypadkach właśnie patryotyzm polski; niewątpliwie tak było u podskarbiego Tyzenhauza**). Zresztą, magnaci oraz szlachta zamożna nie byli jedynymi ludźmi, którzy się w dawnej Polsce krzątali koło rozwoju przemysłu. Słusznie Ludwik Janowicz***) zwraca uwagę na to, że podczas gdy magnaci zakładali fabryki przeważnie na Litwie, to „w Koronie, która w rozwoju gospodarczym znacznie wyprzedziła Litwę, fabryki zakładali przeważnie m i e s z c z a n i e (fabryki sukna i płótna, kapeluszy, chustek, pasów, powozów, fajansów, garbarnie, browary itp.). A Koszutski****) pisze, że w przeciwieństwie do fabryk „pańskich" w s z y s t k i e f a b r y k i, z a ł o ż o n e p r z e z m i e s z c z a n, o d z n a c z a ł y s i ę t r w a ł o ś c i ą; większość wytrzymała szczęśliwie dwa kryzysy 1793 i 1795" *****).

---

*) Ten sam okres rozwoju przemysłu polskiego szczegółowo opisuje Radziszewski, tamże, str. 315—325.

**) Porównaj charakterystykę Tyzenhauza u Koszutskiego, który go zestawia ze Szczepanowskim (Stan. Koszutski. Rozwój ekonomiczny Królestwa w ostatniem trzydziestoleciu, Warszawa 1905).

***) Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem (Warszawa 1907), str. 8 i 9.

****) „Głos" 1898, nr. 26. S. Koszutski: „Rzut oka na stan przemysłu w dawnej Polsce". str. 604—605 (cytuję według Janowicza).

*****) Nawiasem mówiąc: widzimy więc, że w dawnej Polsce istniało mieszczaństwo, a nawet poniekąd mieszczaństwo kapitalistyczne — wbrew temu, co tak kategorycznie twierdzi Mehring: „Wszystkiego tego dokonać miała szlachta, ona sama jedna. „Sojusz", według Nowej Gazety Nadreńskiej rzekomo

Ogółem według mocno niekompletnego spisu, ułożonego przez Tadeusza Korzona, istniało w Polsce pod koniec XVIII wieku: 48 fabryk sukna, 5 wyrobów bawełnianych, 9 płóciennych, 10 jedwabnych, 4 tytoniu, 17 papieru i obić, 11 krochmalu, 4 fabryki stolarskie, 11 fabryk powozów, 13 garbarni, 2 fabryki mydła i świec, 9 chemicznych, 1 kopalnia miedzi, 42 piece hutnicze, 12 zakładów mechanicznych i wyrobu maszyn, 8 kopalni i warzelni soli, 2 fabryki wyrobów marmurowych i gipsowych, 1 wyrobów miedzianych, 12 hut szklannych, 32 drukarnie. Jak na wiek XVIII oraz na kraj, liczący podówczas niespełna $6^{1}/_{2}$ miliona mieszkańców, są to cyfry dosyć poważne.

Istniał więc przemysł w Polsce niepodległej jeszcze, a nie przestał istnieć po 1795 r., po trzecim rozbiorze. Jedenaście lat później, w r. 1806, rozpoczynają się na nowo planowe, energiczne zabiegi koło dalszego rozwoju przemysłu polskiego. Inicyatorami nie są rządy zaborcze, tylko ci, których władcami kraju zrobiło właśnie orężne zwycięstwo nad zaborcami: rząd Księstwa Warszawskiego*), pod którą to nazwą część Polski odzyskała w 1806 r. samodzielny byt polityczny. Posłuchajmy, co o tem pisze autor, zgoła nie podejrzany o nacyonalizm polski, a mianowicie kilkakroć już wspomniany p. Stanisław Koszutski**):

---

zawarty między nią a częścią mieszczaństwa, nigdy nie istniał, już z tej prostej przyczyny, że mieszczaństwo w historycznym sensie tego słowa wcale nie istniało: ludność miast składała się ze szlachciców-klientów albo żydów albo kupców z zagranicy". (Tamże, str. 33). Wynikałoby z tego, że Staszica, Dekerta, Kilińskiego wcale nie było, oraz, że ani w Krakowie ani w Warszawie nie było rzemieślników. Oto więc jedno z licznych a bezczelnych kłamstw, w które Róża Luksemburg ubrała łatwowiernego Mehringa.

Dla nieznających sprawy przypominam, że sam Mehring oświadcza dosłownie co następuje: „Muszę przytem podkreślić, że przeważną treść rozdziału o Polsce zawdzięczam pracom pani Róży Luksemburg: jej dysertacyi doktorskiej o rozwoju przemysłowym Polski, która to dysertacya pojawiła się także w księgarniach, artykułom jej w „Neue Zeit" XIV, 2. 459 i następne (Socyalpatryotyzm w Polsce) i XVI, 1, 164 i następne (Krok za krokiem. Przyczynek do historyi klas burżuazyjnych w Polsce), wreszcie pozostającej w rękopisie pracy o historyi polskiej, z której mi moja młoda przyjaciółka pozwoliła skorzystać, za co jej jeszcze całkiem specyalnie najgorętsze składam dzięki". (Tamże, str. 270). A zatem główna odpowiedzialność za skandaliczne fałsze, od których ów komentarz się roi, spada nie na Mehringa, tylko na Luksemburżankę.

*) Niezmiernie charakterystycznem jest, że Mehring o Księstwie Warszawskiem, utworzonem przez zwycięskie powstanie Polaków przeciwko Prusom, nie wspomina ani słówkiem. Czyżby się bał prokuratora pruskiego?

**) Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego, str. 43 i następne.

„Za Księstwa Warszawskiego w celu przyciągnięcia fabrykantów i rzemieślników z zagranicy zapewniono im w postanowieniach z lat 1809 i 1812 liczne przywileje, które mogłyby ich skłonić do osiedlenia się w kraju: uwolniono od obowiązkowej służby w wojsku, od opłaty w ciągu lat sześciu czynszu z ziemi, nadawanej im przez rząd, od opłacania cła za przywożone przez nich z zagranicy ruchomości i inwentarz żywy“ *).

A również zgoła niepodejrzany o polski szowinizm rosyjski profesor Janżuł**) wbrew tendencyi swojej, jednak przemilczeć nie może o rozumnej polityce celnej, którą rząd Księstwa Warszawskiego starał się przyspieszyć rozwój przemysłu w kraju:

„W r. 1809 zniesiono szczątki dawnych ceł wywozowych i ułożono nową taryfę, umiarkowanie protekcyjną, przyczem nałożono stosunkowo nieznaczne cła na wyroby, których wówczas w kraju nie wytwarzano, natomiast bardzo wysokie na te wyroby, których już dostarczał przemysł miejscowy“ ***).

A chyba nikt nie powie, że rząd Księstwa Warszawskiego robił to celem organicznego wcielania Polski do Rosyi; wszak między Rosyą a Księstwem Warszawskiem istniała granica celna, a nadto właśnie wojska Księstwa Warszawskiego szły wraz z Napoleonem na wojnę przeciwko Rosyi.

Że zaś polityka, którą po 1815 r. rząd Królestwa Polskiego starał się przyspieszać rozwój przemysłu, była tylko dalszym ciągiem polityki owych zdeklarowanych wrogów Rosyi, to niech nam znowu poświadczy całkiem niepodejrzany p. Stanisław Koszutski****):

„Królestwo Kongresowe, idąc za przykładem Księstwa Warszawskiego, również przyobiecało znaczne ulgi i przywileje cudzoziemcom fabrykantom i rzemieślnikom, osiedlającym się w niem w zamiarze zajęcia się przemysłem. Według rozporządzenia z d. 2 Marca 1816 wszyscy osiedlający się w Królestwie Polskiem rzemieślnicy zagraniczni zostali zwolnieni na przeciąg lat

*) O tych samych przywilejach pisze i Radziszewski, tamże, str. 327—328.

**) Zarys historyczny rozwoju przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiem. Moskwa 1887 (cytuję według Janowicza).

***) Nieco obszerniej, ale tylko w szczegółach odmiennie przedstawia politykę celną Księstwa Warszawskiego Radziszewski, tamże, str. 326—327. Według niego zniesiono zupełnie cło na wywóz wyrobów żelaznych oraz na przywóz surowca i rudy żelaznej; natomiast na wywóz polskiej rudy oraz surowca żelaznego zagranicę nałożono dość wysokie cło wywozowe. Dla ochrony polskiego przemysłu tkackiego przywóz tkanin bawełnianych z Prus zakazano; z politycznych przyczyn nie rozciągnięto tego zakazu na wyroby saskie.

****) Tamże, str. 43 i 44.

szeńciu od wszelkich podatków lub opłat*): przybywający do kraju cudzoziemcy i ich synowie byli wolni od służby wojskowej; wszyscy cudzoziemcy, pragnący się osiedlić w kraju, zwolnieni zostali od wnoszenia na granicach cła od ich ruchomego majątku; wreszcie, wszyscy przybywający do Królestwa w celu osiedlenia się cudzoziemcy pozostawać mieli pod szczególną opieką komisyi rządowej spraw wewnętrznych i policyi, która była obowiązana ułatwiać im osiedlenie się w Królestwie i zabezpieczać wolne korzystanie z przysługujących im praw i przywilejów. Na pierwsze potrzeby przybywających z zagranicy obcych przemysłowców wyznaczono sumę 4500 rb."

A zatem w owym roku 1820, w którym według Róży Luksemburg przemysł polski przyszedł na świat, spłodzony ukazem carskim, faktycznie przemysł ten miał już za sobą przeszło siedemdziesięcioletnią historyę, którą Luksemburżanka przeoczyła, albo przeoczyć chciała. Ktoby po tylu przytoczonych dowodach jeszcze o tem wątpił, ten niech czyta Limanowskiego, Korzona i innych historyków polskich.

A teraz zastanówmy się: kto właściwie rządził w Królestwie Kongresowem od 1815 do 1831 roku? Kto w niem kuł ustawy, kto w niem gospodarzył?

Celem objaśnienia przeszłości teraźniejszością, odpowiem na to pytanie drugiem pytaniem: kto dzisiaj rządzi w Finlandyi?

Zwierzchnikiem Finlandyi jest niezaprzeczenie car. Zwierzchnikiem Królestwa Kongresowego był również car. Niemniej jednak władzę prawodawczą w Finlandyi posiada sejm finlandzki; a władzę wykonawczą wewnątrz kraju wykonuje się wprawdzie „imieniem wielkiego księcia", który w Rosyi jest carem, ale wykonują ją Finlandczycy. Podobnie i w Królestwie Kongresowem władzę prawodawczą posiadał sejm polski, obie izby którego składały się z Polaków, a izba poselska którego była wybraną przez szlachtę polską i mieszczaństwo polskie; władzę wykonawczą zaś wewnątrz kraju imieniem Aleksandra Romanowa, nie jako cara, tylko jako konstytucyjnego króla polskiego, sprawowali urzędnicy-Polacy z polskiem ministerstwem na czele. Coprawda, jak dzisiejszy prawno-państwowy stan Finlandyi, tak i ówczesny prawno-państwowy stan Polski był połowicznym i w przyszłe zatargi brzemiennym. Najazd był złagodzonym, ale nie zniesionym: wytargowano na bestyi schowanie pazurów, ale nie obcięto ich. Należy tu zaznaczyć, że Polska ówczesna nie tyle była podobną do dzisiejszej Finlandyi demokratycznej, ile raczej

*) „Jak za czasów Księstwa" stoi wyraźnie w motywach tego rozporządzenia (Radziszewski, tamże, str. 829).

do plutokratycznej Finlandyi przedrewolucyjnej, z jej sejmem stanowym, z wykluczeniem robotników od prawa wyborczego, z niezałatwionym sporem między Finami a Szwedami, z niedopuszczaniem żydów do kraju. Nadto naczelny wódz wojsk polskich, wielki książę Konstanty, prędzej był podobny do Bobrikowa aniżeli do Gerarda; to też nie bez przyczyny godzili na jego życie Schaumanowie polscy. Z tem wszystkiem jednak już i w dawnej Finlandyi, przed zawieszeniem konstytucyi, uchwały sejmu były uchwałami finlandzkiego sejmu, a nie wykwitem rosyjskiej mądrości stanu; a wszelka działalność kulturalno-administracyjna, którą, wykonując wolę sejmu, na swój sposób przecież już i dawny, plutokratyczny rząd finlandzki prowadził, była dziełem i zasługą finlandzkiego rządu krajowego, nie zaś owej bestyi, która ze schowanymi pazurami leżała na uboczu i tylko czasem groźnie mruczała. Tak samo było w Królestwie Kongresowem. Car podpisywał ustawy i rozporządzenia*), ale podpisywał ustawy, uchwalone przez sejm polski, oraz rozporządzenia przygotowane przez ministrów-Polaków. Nie ulega zaś wątpliwości, że ministrowie ci celowo prowadzili polską politykę. Tyczy się to przedewszystkiem owego niezwykle zdolnego i czynnego polityka, który w 1821 r. objął tekę polskiego ministerstwa skarbu, księcia Ksawerego Lubeckiego**); w tym samym duchu jednak, chociaż z mniejszą sprawnością, działali i poprzednicy jego***). To też tyczące się przemysłu polskiego rozporządzenia, które onemi czasy podpisywał namiestnik Józef Zajączek w zastępstwie Aleksandra I jako konstytucyjnego króla polskiego, zgoła charakteru rosyjskiego nie mają, a natomiast mają wszelkie cechy polskiej polityki, czerpiącej swe inspiracye bądź to z własnej przeszłości, bądź to z Zachodu. Posłuchajmy, co o rozporządzeniu z r. 1820 pisze p. Stanisław Koszutski****):

---

*) I to bynajmniej nie zawsze. Właśnie rozporządzenia z 1816, z 1820 i 1823 roku, mające przyspieszyć rozwój przemysłu przez ulgi i przywileje dla osiedlających się w Polsce obcych przemysłowców, podpisane są nie przez króla, tylko przez rezydującego w Warszawie namiestnika Królestwa Polskiego, Józefa Zajączka, polaka (Janowicz, tamże, str. 18; Radziszewski, str. 329).

**) Działalność Lubeckiego obszernie charakteryzuje Radziszewski, str. 330—355. O źródłach, z których tryskała niestrudzona energia Lubeckiego, wymownie świadczą słowa jego, wypowiedziane w poufnej rozmowie z senatorem Platerem: „Polsce trzech rzeczy potrzeba: primo (po pierwsze) szkół, to jest oświaty i rozumu, secundo (po drugie) przemysłu i handlu, to jest zamożności i bogactwa i tertio (po trzecie) fabryk broni... Mam nadzieję, że z czasem przeprowadzić to zdołam“ (Radziszewski, str. 330).

***) Radziszewski, str. 328—330.

****) Koszutski, str. 44.

„Rozporządzenie z d. 18 września 1820 roku nadaje wiele nowych ulg i przywilejów przybyszom. Wiele miast w Królestwie, należących do skarbu, a wskazanych przez komisyę rządową, jako najodpowiedniejsze dla celów przemysłowych, zamieniono na osady fabryczne i obdarowano specyalnymi przywilejami i prawami, mającymi na celu dobro cudzoziemskich fabrykantów, a zwłaszcza sukienników. W miastach, które upatrzono na przyszłe siedliska przemysłu, zgóry układano plany zabudowań i ulic tak, aby w miarę napływu z zagranicy fabrykantów i rzemieślników, można im było wyznaczać miejsca pod budowę zakładów przemysłowych jedynie za opłatą drobnego czynszu, i to dopiero po latach sześciu od objęcia gruntu w posiadanie. Ziemie zaś rządowe pod temi miastami w miarę potrzeby oddawano dla celów powyższych nawet w posiadanie wieczyste. Dla budowli w tych miastach fabrykantom i rzemieślnikom powinien był być wydawany budulec w przeciągu lat dziesięciu z najbliżej położonych lasów, należących do rządu lub gminy, zaś w pobliżu tych miast postanowiono zakładać cegielnie, które cegłę dla wznoszonych w tych miastach budowli obowiązane były oddawać po cenach możliwie jak najniższych. Prócz tego wydzielano ziemię pod budowę kościołów ewangielickich, pod domy mieszkalne dla pastorów i na wznoszenie ich udzielano zapomogi“.

Jeśli cała administracya była polską, czyliż mogły rosyjskie władze układać plany ulic dla miast polskich, wydzielać grunta pod fabryki, cegielnie, kościoły? A więc wszystko to robiły autonomiczne władze polskie. A zresztą, czyliż ta cała działalność twórcza, pozytywnie-konstrukcyjna przypomina despotyczną Rosyę czynowniczą, która tylko zakazywać, gnębić i grabić umiała? A to popieranie budowy kościołów i plebanii dla heretyków, tysiącami sprowadzanych z zagranicy bez żądania od nich zmiany religii, czyż to przypomina świętą Rosyę teokratyczną, ogniem i mieczem krzewiącą prawosławie, wiecznie wojującą przeciw innowiercom i sekciarzom, tę Rosyę prawosławną, która nawet stawszy się „konstytucyjną“, Żydom daje zamiast równouprawnienia — pogromy? A natomiast bardzo to wygląda na wznowienie tradycyi Polski XVI wieku, która była przytułkiem najradykalniejszych, w całej Europie prześladowanych sekt protestanckich: Braci czeskich i Aryan, a osiedlonych na Litwie jeńców-Tatarów za „braci szlachtę“ uznała: a bądź co bądź mocno to przypomina owo liberalne społeczeństwo polskie, które w r. 1818, mimo nalegań Aleksandra I, uchwałą sejmową odrzuciło utrudnienia ślubów cywilnych i rozwodów*).

*) Grabieński, tamże, str. 225.

To też, wiedząc już na pewne, że to wszystko robił nie kto inny, jak autonomiczny rząd polski z samych Polaków złożony, możemy z całą przyjemnością dalej słuchać opowiadania p. Koszutskiego:

„21 listopada 1823 r. wydano dopełniające „Rozporządzenie o usuwaniu przeszkód przy osiedlaniu się w miastach zagranicznych fabrykantów i rzemieślników, a także o urządzaniu tych miast“. Potwierdzono tu i rozwinięto nadane dawniej cudzoziemcom przywileje i ulgi Tak np. nowo przybywający fabrykanci, gdyby się okazała potrzeba zamiany wydzielonego gruntu na inny, położony bliżej miasta, mają prawo jej żądać, choćby nawet grunt żądany stanowił własność prywatną, lub należał do instytutów, szpitali, instytucyi dobroczynnych i do duchowieństwa. Miasta w takich razach obowiązane były grunty te nabywać na własność, zamieniać je na inne, albo zabezpieczać je odpowiednim czynszem lub opłatami. W 1824 roku zapewniono fabrykantów wyrobów wełnianych, że w przeciągu lat dziesięciu nie zostanie odwołany ani zmieniony w czemkolwiek z a k a z p r z y w o z u z z a g r a n i c y w y r o b ó w s u k i e n n y c h, jednocześnie zaś nadano im prawo s p r o w a d z a n i a z z a g r a n i c y p o t r z e b n y c h i m m a t e r y a ł ó w, j a k n p. f a r b i t. p. z a z n i ż o n ą o p ł a t ą c e l n ą. Przedtem jeszcze (w r. 1822) zwolniono ich od jedynego obowiązku, jaki jeszcze na nich ciążył, t. j. od kwaterunku wojskowego w naturze, na czas od trzech lat do sześciu“.

Pozwoliłem sobie podkreślić zwroty, tyczące się polityki celnej Królestwa Polskiego. Jeśli bowiem polityka ta miała na celu organiczne wcielenie Polski do Rosyi, to w takim razie z dwóch jednoczesnych zarządzeń jedno (utrwalenie zakazu przywozu z zagranicy wyrobów sukiennych) było logicznem, drugie natomiast (ułatwienie przywozu surowców zagranicznych) było nonsensem. Należało na odwrót podwyższyć cła na surowce zagraniczne, a natomiast zmusić Polskę do wpuszczania bez żadnego cła surowców rosyjskich, przedewszystkiem wełny rosyjskiej. Zamiast tego działano wprost na szkodę Rosyi; nietylko wpuszczano surowce zagraniczne, ale co gorsza, w samem Królestwie, jak nas poucza Janowicz, „zakładano wzorowe owczarnie i składy wełny“. Jeśli więc w tych zarządzeniach była ręka Rosyi, dążącej rzekomo do organicznego wcielenia Polski, to kroki w tym celu podjęte były sprzeczne między sobą, a przeważnie rażąco głupie. Natomiast te same zarządzenia stają się całością logiczną i przejrzystą, skoro tylko zechcemy widzieć w nich to, czem istotnie były: działalnością Polaków celem dźwignięcia ekonomicznego Polski.

Mógłby jednak w końcu ktoś przypuszczać, że mądre i celowe za-

miary rządy rosyjskiego były w tej dziedzinie krzyżowane i paczone przez separatystyczne intrygi Polaków, niedostatecznie jeszcze przez carat poskromionych. Ale w takim razie, celowa polityka organicznego wcielenia powinna się była przejawić w postaci zupełnie czystej w polityce celnej Rosyi wobec Polski. Jeśli istotnie ta polityka miała na celu organiczne wcielenie, to należało linię celną między Rosyą a Polską znieść, jeżeli istniała, a jeśli nie istniała, to pod żadnym warunkiem nie należało dopuścić do ustanowienia jej. Tymczasem działo się wprost odwrotnie. Od 1815 aż do 1822 r. nie było między Rosyą a Polską granicy celnej*); w tym ostatnim roku zaś, a więc właśnie w czasie, kiedy „tworzenie" przemysłu polskiego drogą rzekomych „ukazów carskich" było w pełnym toku, zaprowadzono granicę celną! Toć przecież, jak gdyby żandarm chciał strzedz więźnia w ten sposób, że go wypycha na ulicę i zamyka mu bramę przed nosem! A mianowicie ustanowiono w owym roku, że przy wywozie towarów bądź to z Rosyi do Polski, bądź to z Polski do Rosyi 1) wszystkie surowce obu krajów miały być wolne od cła; 2) wyroby rosyjskie i polskie, z materyału krajowego, obłożono cłem wysokości 1%, od wartości; 3) wyroby rosyjskie i polskie, z materyałów zagranicznych, płacić miały 3% od wartości; 4) wyroby bawełniane płaciły 15%, i cukier 25% od wartości; w ciągu pierwszych trzech lat jednak przywóz polskich wyrobów bawełnianych i polskiego cukru do Rosyi miał być całkiem wzbroniony. Jest to więc na ogół umowa zawarta na zasadzie równości, przyczem jednak protekcyonistyczni obrońcy przemysłu rosyjskiego zdołali wytargować specyalne postanowienia przeciw konkurencyi polskiej w tych gałęziach przemysłu, w których im się ta konkurencya wydawała najdokuczliwszą. Oczywista, że w porównaniu ze skrajnie protekcyonistyczną polityką handlową, którą Rosya ówczesna na ogół uprawiała, cła, nałożone na polskie wyroby, nie były wysokie. Ale bądź co bądź coś jest więcej, niż nic; a zatem zaprowadzenie niskich ceł na miejsce zupełnej wolności od cła nie było krokiem ku organicznemu wcieleniu, a raczej krokiem ku wyodrębnieniu Polski. Że zaś istotnie taka właśnie tendencya: wyodrębnienia ekonomicznego Polski, aby uwolnić młody przemysł rosyjski od polskiej konkurencyi na rynkach krajowych, była dość silną w rosyjskich sferach rządzących, o tem świadczy ów zatarg między Lubeckim a Kankrinem, o którym opowiada Janowicz za Askenazym**). Hrabia Kankrin, wspomniany już rosyjski

*) Janowicz, tamże, str. 21.
**) Tamże, str. 24.

minister skarbu, wyjechał z twierdzeniem, że tak mały kraj jak Polska nie może sam wytwarzać tyle sukna, ile wedle wykazów celnych wywozi do Rosyi, że są to więc poprostu przemycane towary niemieckie. Domagał się więc szeregu utrudnień celnych, opierając się na petycyach kupców i fabrykantów rosyjskich. Rada państwa i Komitet skarbowy przychyliły się do jego wniosków. „Wtedy Lubecki postarał się o posłuchanie u Mikołaja I. wyjaśnił mu rzeczywisty stan rzeczy, przedstawił dowody, że sukiennictwo w Polsce rzeczywiście przybrało znaczne rozmiary". Car Mikołaj I dał się przekonać i odrzucił projekty Kankrina*).

Istnienie po stronie Rosyi dążenia do „organicznego wcielenia" Polski drogą uzależnienia jej od wschodnich rynków jest więc arcywątpliwem. Natomiast pewnem jest, że systematycznie nad rozwojem przemysłu polskiego pracował polski rząd krajowy. O tej to pracy systematycznej warto przytoczyć jeszcze kilka słów z rozprawy Janowicza**):

„Młyny skarbowe oddawano w posiadanie bezterminowe dla urządzenia fabryk sukna... Z innych zarządzeń rządu autonomicznego, zmierzających do rozwinięcia przemysłu miejscowego, zaznaczmy utworzenie funduszu fabrycznego dla wydawania pożyczek długoterminowych zakładom przemysłowym. Z budżetu Królestwa wyasygnowano na ten cel w r. 1822 45 tys. rb., w roku następnym 90 tys., poczynając zaś od r. 1824, corocznie po 127 tys. rb. Przystąpiono również do budowania sieci dróg szosowych i regulowania rzek... W r. 1817 założono w głównych miastach Królestwa (w Warszawie, Płocku, Lublinie i Kaliszu) izby handlowe i przemysłowe dla popierania przemysłu i handlu. Wreszcie w r. 1828 założono niezmiernie ważną instytucyę kredytową — Bank polski, z kapitałem zakładowym 3 mil. rb. zł. (w dzisiejszych pieniądzach: 4½ mil.)".

Na szczęście historya nie poskąpiła nam też wiadomości o tem, jakie to pobudki jeszcze specyalnie zagrzewały Lubeckiego i jego pomocników do takiej wprost gorączkowej działalności. Wiadomo bowiem, że właśnie w owym krytycznym roku 1820 car Aleksander I, rozgniewany burzliwą opozycyą w sejmie polskim, zagroził Polakom zawieszeniem konstytucyi pod pretekstem, że skarb polski cierpi na ciągłe deficyty***). W obronie autonomii Polski trzeba więc było złożyć dowód, że Polska sama finanse swoje uporządkować potrafi. I dowód

*) Nawiasem mówiąc: nie dała się przekonać Luksemburżanka, która całkiem na seryo podtrzymuje twierdzenie Kankrina. Od czegóż ją Pan Bóg stworzył, jeśli nie od powtarzania „kazionnych" kłamstw polakożerczych!

**) Tamże, str. 18–19.

***) Grabieński, tamże, str. 228.

ten złożono; oczywista udało się to nie wyłącznie dzięki zdolnościom i energii Lubeckiego, ale przedewszystkiem dlatego, że grunt w społeczeństwie był oddawna przygotowany.

A teraz przypomnijmy sobie, jakiemi słowy określa całą tę epokę informowany przez Luksemburżankę Franciszek Mehring*):

„Rząd rosyjski używał celem forytowania przemysłu polskiego tych samych środków, co niegdyś rządy krajów zachodnio-europejskich: budował przybyszom domy albo darzył ich gruntami budowlanymi i budulcem, utworzył roczny fundusz przemysłowy wysokości 127,500 rubli, założył Bank Polski na wzór pruskiej „Seehandlung“ i tak dalej“.

Biedny Mehring! A to wpadł! Z takiem samem prawem mógłby uchwalenie przez sejm finlandzki powszechnego i równego prawa wyborczego dla mężczyzn i kobiet przypisać Mikołajowi II.

Wróćmy z dziedziny bajek carochwalczych do rzeczywistości. Od 1816 do 1831 r. około dziesięciu tysięcy obcych rzemieślników i przemysłowców, Niemców, Francuzów i innych**), wraz z rodzinami osiadło w Królestwie Polskiem. Ilość produktów rosła z roku na rok. Główną gałęzią przemysłu stało się sukiennictwo; sukno też było głównym przedmiotem wywozu. W r. 1829 wytworzono sukna za około sześciu milionów rubli srebrnych***), z czego wywieziono do Rosyi (faktycznie prawie wyłącznie do Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy) za 2,315,000 rubli srebrnych, do Chin za 271,000 rubli srebrnych****). O ile więc nie chcemy przypuścić, że Królestwo wówczas i na Zachód znaczną część swojego sukna wywoziło (co się wydaje mocno nieprawdopodobnem), to wynika z tych cyfr, że bądź co bądź prawie trzy piąte całej produkcyi sukna nabywała sama ludność Królestwa. A zatem nawet już wtenczas, kiedy jeszcze przeważną większość ludności Królestwa stanowili chłopi pańszczyźniani o nader ograniczonej sile kupnej, wewnętrzny rynek był dla

*) Tamże, str. 42.

**) Karol Marks (Gesammelte Schriften von Marx und Engels, tom III, str. 137) bardzo wybitne miejsce pomiędzy tymi cudzoziemcami przypisuje Cockerill'owi, anglikowi, który przedtem był czynnym w Belgii. Szczegóły o poparciu Cockerilla przez Lubeckiego podaje Radziszewski, tamże, str. 388.

***) Janowicz, tamże str. 23. Rosyjski autor Ładyżenskij, a za nim Róża Luksemburg (tamże, str. 6—7) podają wartość wywozu sukna do Rosyi w 1829 r. na 8.148,000 rubli, a do Chin na 1,070,000 rubli. Są to jednak, jak Janowicz (tamże, str. 25—26) wykazał, ruble asygnatowe, tj. papierowe pieniądze przyjmowane zaledwie za 27 do 28 kopiejek. Ale też dla nacyonalistki rosyjskiej zbyt bolesnemby było wspominać o tem, że kredyt carskiej Rosyi już wtenczas stał pod psem!

****) Janowicz, tamże str. 22—23.

przemysłu Królestwa ważniejszym od rynku rosyjskiego — o ile wogóle bez anachronizmu rosyjskim nazwać można rynek tych dzielnic, które w owym czasie jeszcze nie odwykły były od czterowiekowej łączności z Polską i właśnie na podstawie tej tradycyjnej łączności u polskich kupców pokrywały swoje potrzeby. Nadto obok wywozu z Polski do Rosyi istniał także poważny przywóz towarów rosyjskich do Polski; a jeśli wywóz z Polski do Rosyi szybko się wzmagał, to przywóz z Rosyi do Polski rósł jeszcze daleko szybciej, tak, że był na najlepszej drodze do dorównania mu. Od 1823 do 1825 r. przywóz rosyjskich towarów do Polski dorównywał przeciętnie 63% wywozu z Polski do Rosyi, w 1830 r. zaś już 99%; innemi słowy, w 1830 r. różnica była już całkiem nieznaczna *), a Polska, pochłaniająca rocznie za więcej, niż dwa miliony rubli towarów rosyjskich, przedstawiała bardzo poważny zachodni rynek dla Rosyi. Bardzo być może, że na wywóz rosyjski do Polski składały się onemi czasy nietyle wyroby fabryczne, ile produkty rolnictwa rosyjskiego — ale to w niczem nie zmienia postaci rzeczy; i rolnicy należą do społeczeństwa i z interesem produkcyi rolnej rząd się liczyć musi, o ile się wogóle liczy z interesami wytwórców. A ówczesny rząd rosyjski, do którego o wiele wyłączniej, niż dzisiaj, dostęp mieli przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej, niezawodnie bardziej się liczył z interesami rolnictwa, niż przemysłu. Była więc zależność, ale wzajemna. Na owo sławne pytanie Mikołaja: „Szto eto, Polska się buntuje — a cóż zrobią rękodzielnie polskie, kiedy im przed nosem zamknę wschodnie rynki?“ można było całkiem rzeczowo odpowiedzieć: „To my wam przed nosem zamkniemy zachodnie rynki — wet za wet, zobaczymy kto dłużej wytrzyma!“

Istotnie, gdyby tylko pod wojskowym względem siły Królestwa dopisały były w 1831 r., kwestya polityki handlowej nie była trudną do rozwiązania. Będąc tak poważnym rynkiem dla wyrobów rosyjskich, mogłaby była Polska, raz orężem wywalczywszy niepodległość, wymusić na Rosyi wolny dostęp dla swoich towarów groźbą zamknięcia swojej granicy celnej dla rosyjskich towarów. Ale, niestety, nie wywalczono niepodległości — i w tem tylko był sęk.

Bo też snać marksista na tronie sam nie bardzo był pewnym, czy dobrze zrozumiał Marksa. Zamiast czekać z założonemi rękami, aż Polska, wygłodzona zamknięciem wschodnich rynków, u stóp mu legnie, Mikołaj, niestety, wysłał wojsko do Polski. A przemoc tego wojska okazała się

*) Janowicz, tamże str. 22.

argumentem bardziej przekonywującym od wszelkich partackich teoryjek pseudo-ekonomicznych.

Po dziesięciu miesiącach krwawej wojny, pustoszącej kraj cały, Królestwo Polskie uległo przemocy, nie handlowej, ale wojskowej. Teraz dopiero naprawdę Polska legła w gruzach. Kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych Polaków opuściło kraj. Nie było już ani polskiego rządu, ani polskiego sejmu. W samem sercu Polski rozsiadł się potwór absolutyzmu carskiego i słoniową nogą deptał kulturę europejską, deptał europejskie urządzenia prawne, deptał oświatę ludową, deptał resztki swobód osobistych, deptał wszelką inicyatywę prywatną. Podbój był dokonanym.

I oto nadeszła chwila, kiedy historya przedsięwzięła z teoryą organicznego wcielenia prawdziwe experimentum crucis — doświadczenie ściśle naukowe, w warunkach wykluczających wszelkie wpływy poboczne. Nie mogło już być mowy o pokrzyżowaniu „organicznie wcielającej" polityki rosyjskiej przez upór partykularystów polskich. Nie miał się już Mikołaj poco oglądać na rząd czy sejm polski. Sam był rządem i sejmem. Jeśli więc ta polityka istniała, to musiała się obecnie objawić w całej pełni. A więc niezawodnie Mikołaj I, owładnąwszy Polską kompletnie, do szczętu wytępił wszelkie ślady jej odrębności celnej?

Gdzie tam! Mikołaj pozbawił Polskę samodzielności w sprawach celnych, ale odrębność spotęgował w najstraszniejszy sposób. Wysokim murem odgrodził Rosyę, kraj panujący, od Polski, podbitej kolonii, mającej biernie podlegać wyzyskowi. „Niezwłocznie po ukończeniu wojny", pisze Janowicz*), „wprowadzono (z d. 24 listopada 1831 r.) nową taryfę celną, która silny cios zadała przemysłowi i handlowi polskiemu. Podczas gdy towary rosyjskie, idące do Królestwa, płaciły według liberalnej taryfy 1822 r. niskie cła, to towary polskie, idące do Rosyi, obłożono wysokiemi cłami, równającemi się 3, 10, 12 i 15% wartości. Nowa taryfa była jednostronna: ułatwiała wywóz towarów rosyjskich do Królestwa, stawiała przeszkody zbytowi towarów polskich w Cesarstwie. Skutki zastosowania taryfy z r. 1831 objawiły się bardzo prędko. Wywóz z Królestwa do Rosyi w ciągu najbliższych lat zmniejszył się w czwórnasób, mianowicie spadł z 2,768.000 rb. w r. 1829 do 691.000 rb. w r. 1836. Przywóz towarów rosyjskich do Królestwa w ciągu pewnego czasu wzrastał, w r. 1834 przewyższał wywóz towa-

*) Tamże, str. 27—28.

rów polskich 3·7 razy (wywóz do Rosyi 794 tys. rb., przywóz z Rosyi 2·983 tys.). W ciągu 17 lat (1834—50) ogólna suma przywozu z Rosyi do Polski wyniosła 38,517.000 rb., którą to sumę Królestwo spłacało towarami tylko w kwocie 45%, pozostałe 55%, to jest 21,053.000, musiało spłacać pieniędzmi albo wekslami".

Do czego więc dążył absolutyzm carski w Polsce, kiedy miał zupełnie wolną rękę? Nie do uzależnienia przemysłu polskiego od rosyjskich rynków zbytu, tylko do uwolnienia przemysłowców rosyjskich od konkurencyi polskiej; nie do rozwijania przemysłu polskiego, tylko do zdławienia go.

Że zaś jednocześnie ulgi i udogodnienia dla obcych przemysłowców, przybywających do Polski, tylko ograniczono, a nie zniesiono ich całkiem, a nawet Bank polski pozostawiono w rękach Polaków — to już poprostu ilustracya oddawna stwierdzonego faktu, że carat, mimo srożenia się i miotania, nigdy i nigdzie nie potrafi być konsekwentnym.

To też zamiar zdławienia przemysłu polskiego nie udał się. Udało się tylko czasowe zatamowanie dalszego jego rozrostu; udało się zaprzepaścić niektóre gałęzie przemysłu, w szczególności przemysł wełniany. Natomiast inne gałęzie przemysłu właśnie w owym czasie albo świeżo powstały, albo doszły do nieznanych przedtem rozmiarów. Zwężenie rynku przez nienawistną politykę celną caratu stało się bodźcem do ulepszeń technicznych, do wprowadzenia całkiem nowych metod do produkcyi.

Poświadcza to nawet zaciekły skądinąd wszechrosyanin, gorliwie cytowany przez Luksemburżankę prof. Janżuł *). Przedewszystkiem rozwinął się przemysł bawełniany. Pierwszą maszynę parową sprowadził do Królestwa w r. 1835 właściciel przędzalni bawełny, Ludwik Geyer w Łodzi **). Liczba wrzecion w przędzalniach bawełny w Królestwie wzmogła się z 7.300 w r. 1836 na 61.300 w 1850 r. ***) Rozwijała się jednak i fabrykacya płótna. Wynalazca maszyny do przędzenia lnu, Francuz Filip de Girard, który w 1826 r., a więc jeszcze za autonomicznych rządów, osiadł był w Warszawie, a w 1831 r. założył fabrykę w Marymoncie, w 1833 r. przeniósł tę fabrykę do nowej osady, którą na jego cześć nazwano Żyrardowem; w r. 1845 już i Żyrardów miał swoją maszynę parową; „wprowadzała ona w ruch 28 machin przędzalnianych i odpowiednią liczbę maszyn przygotowawczych i podrzędnych ****).

---

*) Cytowany u Janowicza, str. 28—29; u Koszutskiego str. 16—17.
**) Koszutski, str. 19 i 47.
***) Janowicz, str. 38 i 48.
****) Koszutski, str. 57.

Co zaś najciekawsze, że ludność Łodzi właśnie w tym okresie wzrastała ze zdumiewającą szybkością. A mianowicie Łódź miała

w r. 1827	2.843	mieszkańców
„ 1833	5.730	„
„ 1837	10.000	„
„ 1840	20.000	„ *)

Wzrost ten jest wiernem odbiciem wzrostu przemysłu łódzkiego; a znaczenie jego jest tem większe, że ogólny wzrost ludności w owym okresie nie odznaczał się nadzwyczajną szybkością. A mianowicie z 4,137.634 mieszkańców w 1829 r. ludność wzrosła na 4,857.000 mieszkańców w 1847 r. **), a zatem przeciętnie o 0·96% rocznie. Jeśli więc od 1827 do 1840 r. ludność Łodzi wzrosła z 2.843 na 20.000 mieszkańców, czyli przeciętnie rocznie o 46% pierwotnej liczby, to wynika z tego, że wzrost ludności fabrycznej nadzwyczaj silnie wyprzedzał wzrost ludności wiejskiej — i to mimo szkodliwych dla przemysłu utrudnień celnych. Czyli, jak słusznie wnioskuje Janowicz, „znaczy to, że ta silna dźwignia, która dawniej wprawiała w ruch przemysł polski, nie przestawała działać i teraz, po zamknięciu rynków rosyjskich, że przeto tych ostatnich nie można uważać za główną dźwignię“.

Dodajmy, że nawet Luksemburżanka przeczyć nie może, że w tym właśnie okresie „dobrze się rozwijały liczne gałęzie produkcyi, tak w latach trzydziestych garbarstwo i mydlarstwo, w latach czterdziestych cukrownictwo, tudzież w latach trzydziestych górnictwo oraz papiernictwo“ ***). Dodajmy, że w r. 1842 założono Hutę Bankową ****), a w 1848 r. ukończono budowę kolei Warszawsko-Wiedeńskiej *****); dodajmy, że właśnie na ten okres przypada przemysłotwórcza działalność Piotra Steinkellera, przybyłego w 1829 r. do Warszawy mieszczanina z Krakowa, który między wielu innemi zasługami puścił pierwszy parowiec na Wi-

---

*) Janowicz. str. 29; Koszutski, str. 21 i 50. — Jeszcze w czerwcu 1829 r. pisał komisarz do spraw fabrycznych, A. Dunin, w raporcie, złożonym Lubeckiemu: „W mieście Łodzi, od miasta Zgierza blisko położonem. zaprojektował także prezes komisyi wojewódzkiej osady sukiennicze, które, spodziewać się trzeba, iż się pomyślnie udadzą“. (Radziszewski. str. 843). A zatem w czerwcu 1829 r. łódzki przemysł był dopiero projektem; wzrost i rozwój Łodzi przypadają więc prawie wyłącznie na czas po 1830 r.

**) Janowicz, str. 19 i str. 39.

***) „Die industrielle Entwicklung Polens“, str. 8 (według Załęskiego, Statystyka porównawcza Król. Polskiego, str. 172). — Co do górnictwa porównaj: Radziszewski, tamże, str. 862—869).

****) Koszutski, str. 60; porównaj Radziszewski. str. 866.

*****) Koszutski. str. 170—171; Radziszewski, str. 872—875.

się *). A dodajmy także, że tego wszystkiego dokonano, mimo, że Królestwo Polskie w 1831 r., wyczerpane wojną, zapłacić musiało Rosyi kontrybucyę w kwocie 22$^{1}/_{2}$ miliona rubli, a za utrzymanie stutysięcznej armii na terenie Polski musiał skarb polski zapłacić Rosyi w samych tylko dwóch latach 1832 i 1833 nie mniej, jak 19 milionów rubli; nadto rozdarowano dygnitarzom rosyjskim 174.000 dziesięcin polskiej ziemi skarbowej w postaci 138 majoratów, które przynosiły conajmniej pół miliona rubli rocznego dochodu, a zatem warte były przynajmniej 10 milionów. Dodajmy, że w r. 1834 zamknięto towarom polskim przejazd przez Syberyę do Chin **), co już nie było żadną polityką celną, tylko rozbojem na otwartej drodze. Ten cały system grabieży i gwałtu, możliwy tylko wobec prowincyi podbitej i politycznie bezbronnej, o wiele gorzej podcinał rozwój przemysłu, aniżeli 15-procentowe cło na przywóz sukna polskiego do Rosyi. A jednak to wszystko razem nie zabiło przemysłu polskiego.

Ale — może mi w tem miejscu zarzucić zwolennik teoryi organicznego wcielenia — przecież w 1850 r. carat zniósł granicę celną między Rosyą a Polską; a od tego czasu właśnie rozwinął się przemysł polski do niesłychanych przedtem rozmiarów. A więc przecież carat forytuje przemysł polski, aby zespolić Polskę z Rosyą!

Istotnie. W 1850 r. carat zniósł granicę celną koło Brześcia. Częściowo przynajmniej naprawił dawną krzywdę. Nie przywrócił Polsce swobody prowadzenia własnej polityki handlowej, ale przynajmniej zrównał ją z innemi prowincyami państwa. W braku czegoś lepszego i to było ulgą bardzo cenną. Ale zastanówmy się: w jakim to się czasie stało?

Stało się to w dwa lata po wybuchu owej powszechnej burzy rewolucyjnej, która jak orkan szalała po Europie całej. Trzęsły się trony od Sycylii aż po Bałtyk. Monarchowie czmychali jak zające. Francya po drugi raz stała się republiką. Na królu pruskim, na cesarzu austryackim lud zbuntowany wymusił konstytucyę. W Berlinie niemiecki lud uwolnił z więzienia spiskowców polskich z Mierosławskim i Libeltem na czele i w tryumfie obwoził ich po mieście, wołając: „Niech żyje Polska!“ Niedługo potem Mierosławski w Poznańskiem gromadził i ćwiczył wojsko polskie, mające uderzyć na carat. W Prusach i w Austryi padły kajdany pańszczyzny. We Wiedniu, w Dreźnie, w Medyolanie rządzili powstańcy. W Medyolanie lud z zapałem i uwielbieniem witał

*) Koszutski, str. 9; porównaj Radziszewski, str. 359—377 (szczegółowa sylwetka Steinkellera).

**) Koszutski, str. 16; Radziszewski str. 356—357.

Mickiewicza, który pospieszył czynną pomoc nieść powstańcom. W 1849 r. w rękach republikanów była Badenia, gdzie w partyzanckich oddziałach pod komendą Mierosławskiego walczyli Fryderyk Engels i Wilhelm Liebknecht; republiką była Wenecya. niepodległą republiką były Węgry. A na Węgrzech miecz rewolucyi dzierżyli Polacy: Bem i Dembiński. Z trudem tylko stłumiły ogień rewolucyi węgierskiej sprzymierzone wojska: austryackie i rosyjskie. Z trudem tylko po dwóch, trzech latach walki zwyciężyły w Europie rządy monarsze. Ale już w całości nigdy nie zdołały przywrócić dawnych porządków.

W takich to chwilach carowie robią ustępstwa.

Że tak było, a nie inaczej, temu przeczyć nie może nawet taki lojalny centralista wszechrosyjski, jakim jest p. Stanisław Koszutski. Oto jego słowa:

„Nic dziwnego, że z tych wszystkich niekorzyści zatarasowania rynków zbytu chińskim murem wygórowanej taryfy celnej zdawano sobie sprawę w sferach przemysłowych (oczywista polskich. Wł. G.) i dążyć poczęto do jej zniesienia. Dążenia te znalazły zadośćuczynienie w 1850 r., gdy pod wpływem układu warunków politycznych i wypadków w zachodniej Europie (podkreślone przezemnie. Wł. G.), oraz wybijających się dążności wolno-handlowych, a przynajmniej umiarkowanie protekcyjnych, rząd rosyjski postanowił z jednej strony dokonać aktu zbliżenia na tle handlowem między Cesarstwem a Królestwem, z drugiej strony na zasadach wspólnych łagodnej protekcyi unormować stosunki ich z zagranicą. Jednocześnie więc zniesiono linię celną, dzielącą przedtem Królestwo i Cesarstwo, oraz zaprowadzono nową wspólną taryfę celną dla handlu z zagranicą“ *).

To znaczy, że carat zrobił ustępstwo, bo musiał. A musiał dlatego, że burza rewolucyjna, która całą Europą zatrzęsła, i caratem groziła zachwiać.

A zatem rewolucyonistom, którzy od krańca do krańca Europy niecili płomienie wolności: Mickiewiczom, Mierosławskim, Libeltom, Bemom, Dembińskim zawdzięcza przemysł polski zniesienie krzywdzącego muru celnego z 1831 r., a nie łasce carskiej.

Może mi jednak ktoś z przeciwników odpowie: Mniejsza o to, czyją zasługą było zniesienie przegrody celnej; faktem jest, że ono to spowodowało w historyi przemysłu polskiego stanowczy zwrot ku le-

*) Koszutski, tamże str. 18. Podobnie pisze i Radziszewski (tamże str. 379): „Wobec zbliżających się wypadków na Zachodzie, postanowił rząd Cesarstwa stworzyć pewne warunki zbliżenia, w tym względzie zdawało się być wskazanem skorzystanie z przykładu Niemiec“.

pszemu, co dowodzi, jak niezbędnym warunkiem bytu dla tego przemysłu jest jak najściślejsze zespolenie Polski z Rosyą.

Ostrożnie, bratku. Od cyfr statystycznych do trafnego ich wytłómaczenia droga jest długą, krętą i pełną zasadzek. Rozpatrzmy więc teren, aby nie wpaść jak lada Mehring jakiś.

Przedewszystkiem w cztery lata po zniesieniu przegrody celnej zdarzyło się coś, co niezależnie od woli caratu bardzo silnie pchnęło naprzód przemysł polski, a tem czemś była straszliwa klęska caratu, klęska zadana mu z zewnątrz, druzgocąca klęska nietylko pewnego systemu rządów w Rosyi, ale państwa rosyjskiego wogóle: wojna krymska. Posłuchajmy, jaki wpływ ta wojna wywarła na przemysł polski i jego rynki zbytu:

„Nastała wojna krymska. Brzegi Cesarstwa poddano blokadzie, handel morski był uniemożliwiony, wiele fabryk rosyjskich z powodu niemożliwości importu materyału i braku robotników musiało zmniejszać produkcyę, a popyt na towary, szczególniej pokup sukna dla wojska, podniósł ceny. Rząd rosyjski wówczas zniewolonym był bardziej jeszcze obniżyć cła od importu towarów i materyałów surowych z zagranicy na drodze lądowej, z której przedewszystkiem, wyłącznie prawie korzystało Królestwo Polskie. Na skutek więc tych okoliczności materyał surowy stał się tańszym, a zbyt towarów łatwiejszym. Była to okoliczność, która znakomicie przyczyniła się do ugruntowania coraz bardziej rozrastającego się przemysłu polskiego“ *).

A więc dzięki zamknięciu portów rosyjskich przez okręty wojenne angielskie i francuskie Polska stała się główną drogą handlową dla przejazdu towarów, wożonych z Zachodu do Rosyi oraz z Rosyi na Zachód, a zarazem i sama jednym z głównych dostawców Rosyi. Kto się choć trochę zna na polityce handlowej, ten wie, że takie jednorazowe zdobycze nieraz się utrwalają na długie lata; albowiem kupcy i przemysłowcy, raz przywykłszy do świeżo nawiązanych stosunków, tak łatwo już do dawnych dostawców nie wracają. Otóż wyobraźmy sobie na chwilę, że Polska w 1854 r. nie była prowincyą rosyjską, tylko neutralnem państwem sąsiedniem: czyżby nie była tak samo skorzystała z kłopotów sąsiada? Owszem, mając możność zawierania na własną rękę umów handlowych i z Austryą, i z Prusami, i z Rosyą, nadto mając możność utrzymywania we wszystkich ważniejszych miastach rosyjskich swoich konsulów, byłaby jeszcze dziesięćkroć lepiej wyzyskała położenie i bodaj na dziesiątki lat wprost zmonopolizowała rynki rosyjskie.

*) Radziszewski, tamże str. 381.

Wynika zaś z tego, że Polsce wogóle a przemysłowi polskiemu w szczególności wiodło się tem gorzej, im bardziej zwycięsko się panoszyła zaborcza państwowość rosyjska — a natomiast tem lepiej, im wyraźniej na obliczu caratu, upokorzonego i znękanego, chwilowo zdawały się występować rysy hipokratowskie *).

Ale na tem nie koniec. Przegroda celna między Rosyą a Królestwem Polskiem zniesioną została w 1850 r.; wojna krymska trwała od 1854 do 1856 r. Tymczasem autorowie, którzy pracowali nad historyą przemysłu polskiego, zgodnie określają okres od 1850 do 1860 r. jako przejściowy; a natomiast najbardziej stanowczy przełom datują dopiero od 1870 r., w dwadzieścia lat po zniesieniu przegrody celnej. Że to właśnie rok 1870, a nie 1868 lub 1872, to oczywiście przypisać należy konwencyonalnemu zwyczajowi statystyków urzędowych, którzy lubią powszechne liczenie przedsiębrać w jakąś mocno zaokrągloną datę kalendarzową, np. 1 stycznia 1900 r., broń Boże, nie 23 listopada 1899 r. Jest więc z góry możliwem, że dalsze nieuprzedzone badanie może dostarczyć powodów do przesunięcia daty przełomu o szereg lat naprzód czy wstecz, ku jakiejś dacie mniej zaokrąglonej. A to tem bardziej, że

*) Czyli, jak pisze Luksemburżanka („Die industrielle Entwicklung Polens“, str. 34): „Die Hypokratuszüge“. W tem jednem słowie tkwią aż trzy błędy językowe. Po pierwsze Hipokrat, ów starogrecki mistrz sztuki lekarskiej, który przekazał nauce opis znamiennego wyglądu twarzy umierających, nosił imię o takiem samem zakończeniu, jak Sokrates, Polykrates i t. d.; niemieckim zwyczajem, wiernie zachowując formę grecką, należałoby więc co najmniej pisać nie Hypokratus, tylko Hypokrates. Po drugie i to jeszcze byłoby błędne, bo Hipokrat nie nazywał się po grecku Hypokrates, tylko Hippokrates; nie „podwładca“, tylko „władca koni“. Prawda, że hipoteka nazywa się po niemiecku Hypothek, ale przecież terminologia kapitału lichwiarskiego nie we wszystkiem jest miarodajną. Po trzecie „Die Hippokrateszüge“ byłoby także błędnem, bo toby znaczyło takie rysy, jakimi się wyróżniało oblicze śp. Hipokrata, podobnie jak Hexengesicht znaczy „twarz wiedźmy“, a Gaunerfratze „morda szachrajska“; natomiast rysy opisane przez Hipokrata nazywają się hippokratische Züge, podobnie jak teorya, wygłoszona przez Darwina, nazywa się nie „Die Darwintheorie“, tylko „Die Darwinsche Theorie“. Dodać należy, że po czwarte odnośne zdanie z epokowego dzieła Luksemburżanki i pod względem treści wysoce nadaje się do krytyki; zdanie to zawiera bowiem ni mniej ni więcej jak twierdzenie, że w Polsce ruch robotniczy już tak się rozwielmożył, że kapitalizm jest umierającym. Otóż takie twierdzenie, niestety, i dzisiaj jeszcze, w 1908 r., byłoby co najmniej mocno ryzykownem; w 1898 roku były to poprostu kpiny z czytelników. Ale takie kpiny z czytelników są charakterystyczne dla tej dziwnej autorki, która właśnie dlatego czuje się powołaną do pośrednictwa między kulturą niemiecką a polską, że sama nie posiada ani polskiej, ani niemieckiej kultury.

właśnie w r. 1870 żadna ważniejsza zmiana w warunkach bytu przemysłu polskiego nie zaszła.

Jeśli więc w 1850 r., zaraz po zniesieniu granicy celnej, stanowczy przewrót jeszcze się nie dokonał, data 1870 zaś wydaje się być czysto konwencyonalną, to któryż był w rzeczywistości rok przełomowy?

Rokiem przełomowym był rok 1864.

Powstanie 1863 r., jakkolwiek było nową przegraną krwawą a ciężką, która dała początek nowej erze miażdżących prześladowań, jednak pozostawiło po sobie jeden trwały skutek dodatni: zniesienie resztek pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów. Jakkolwiek czynownictwo carskie zeszpeciło i wykoszlawiło reformę włościańską, robiąc z niej nędzną karykaturę tej reformy, którąby w razie zwycięstwa przeprowadził był Mierosławski — bądź co bądź reforma włościańska 1864 r., zamieniając pańszczyznę na raty indemnizacyjne, ukryte pod formą zwiększonego podatku gruntowego, ostatecznie wyrugowała ze wsi gospodarkę bezobrotową na korzyść gospodarki przeważnie pieniężnej; darząc ziemią setki tysięcy bezrolnych, a nadto darząc skrępowanych dotąd chłopów względną swobodą gospodarczą, dała im możność dźwignięcia się z ubóstwa, albo przynajmniej zmniejszenia nędzy; wreszcie, mając te dwa skutki, tem samem miała i trzeci: podczas gdy w ostatnich kilkunastu latach przed powstaniem 1863 r. ludność wiejska, przytłoczona podwójnem brzemieniem pańszczyzny lub czynszów z jednej strony, a wyzysku czynowniczego z drugiej, wprost już zaczynała wymierać, jak w Irlandyi *), to od chwili uwłaszczenia znów szybko rosła. Te trzy zmiany: rozpowszechnienie gospodarki pieniężnej, wzrost dobrobytu, wzrost ludności, z punktu widzenia polityki handlowej dają się streścić w jednej: potężny w z r o s t r y n k u w e w n ę t r z n e g o.

Że tak było istotnie, to w bardzo przekonywujący sposób wykazuje Janowicz **), dowodząc cyframi, że „w ciągu trzech ląt po reformie włościańskiej przywóz towarów zagranicznych wogóle podwoił się, przywóz zaś główniejszych kategoryi wyrobów przemysłowych więcej niż potroił się. Wartość przywozu wyrobów jedwabnych wzrosła w ciągu 3 lat o 101%, lnianych o 144%, bawełnianych o 180%, wełnianych o 226%, metalowych o 247%, wreszcie maszyn o 450%". Jest to więc wzrost rynku wewnętrznego tak nagły i tak silny, że wzrost przemysłu nawet nie był w stanie dotrzymać mu kroku.

A więc wojna krymska i uwłaszczenie chłopów — oto dwie pier-

---

*) Janowicz, str. 39.
**) Tamże, str. 45—46.

wszorzędne dźwignie dla rozwoju przemysłu polskiego; wobec nich zniesienie krzywdzącej taryfy jednostronnej z 1831 r., aczkolwiek ważne, schodzi na drugi plan.

Jeśli zaś od 1864 r. aż do chwili obecnej przemysł Królestwa Polskiego istotnie potężnie się rozwinął, to nie należy przeoczać, że w tym samym okresie w całej prawie Europie potężnie rozwinął się przemysł i to z przyczyn ogólnych. Wyzwolona z pęt klerykalizmu nauka nowoczesna, bez obawy zdzierająca zasłonę z wszelkich tajemnic przyrody, dostarczyła wynalazków, które w rękach przedsiębiorców kapitalistycznych przeobraziły oblicze ziemi. Dawna Europa zaściankowa, Europa świec łojowych i woskowych, Europa pieszych posłańców, skrzypiących wozów pocztowych i zdających się na łaskę i niełaskę wiatru żaglowych okrętów zamieniła się na Europę-mrowisko, na Europę oświetloną lampami elektrycznemi i gazowo-żarowemi, pokrytą gęstą siecią parowych kolei żelaznych, telegrafów i telefonów, rojącą się od rowerów i automobilów, na Europę tramwajów elektrycznych, kolei podziemnych i napowietrznych, tunelów podwodnych, parowców w pięciu dniach przebywających Atlantyk, balonów do sterowania, promieni Röntgena i radu. Postęp jest powszechny: niewielkie kraje, daleko uboższe w ludność, niż Królestwo Polskie, doskonale umiały podążyć za tym postępem, o ile im tylko nie brakło wolności i oświaty *),

*) Oprócz kilkakroć już wspomnianej Szwajcaryi za dobry przykład służyć może Belgia. Ludność Belgii wynosi siedm milionów dusz, czyli zaledwie więcej, niż ludność pięciu najludniejszych gubernii Królestwa: warszawskiej, piotrkowskiej, lubelskiej, kaliskiej i radomskiej. Przestrzeń Belgii zaś wynosi 29.455 kilometrów kwadratowych, czyli nieco mniej, niż łączna przestrzeń gubernii warszawskiej i piotrkowskiej. Z wywozu Belgii 23·8% idzie do Niemiec, 18·5% do Francyi, 3·3% do Ameryki, 2·3% do Rosyi, razem więc prawie połowa do państw o całkiem stanowczo protekcyonistycznej polityce celnej. Możnaby więc przypuszczać, że przemysł belgijski dusi się z powodu braku rynków. Tymczasem przemysł ten okazuje rozmiary wprost imponujące. Świadczy o tem już gęstość sieci kolejowej: na każde 10.000 kilometrów kwadratowych przestrzeni Belgia ma aż 2398 kilometrów kolei żelaznej, czyli najwięcej ze wszystkich państw na świecie (Anglia ma tylko 1167, Szwajcarya 1125, Niemcy 1041, Austrya 740, Węgry 548, Rumunia 243, Rosya europejska 110). Roczna produkcya węgla wynosiła w Belgii w 1904 roku 1390 milionów pudów (w Królestwie w 1897 r. tylko 230 milionów). Roczna produkcya surowca żelaznego wynosiła w Belgii w 1904 roku 78 milionów pudów (w Królestwie w 1897 roku wytopiono 14 milionów). Roczna produkcya cukru wynosi w Belgii 12 milionów pudów, czyli prawie tyle, co i w Królestwie. Wywóz towarów belgijskich zagranicę wynosił w 1904 roku 819 milionów rubli, z czego ogromna większość przypada na produkty przemysłu belgijskiego. A mianowicie wywieziono: węgla kamiennego, brykiet węglowych i koksu razem 396 milionów pudów, żelaza i stali 58 milio-

Z góry więc należałoby przypuścić, że i Królestwo Polskie, jako kraj o starodawnej kulturze europejskiej, musiało brać udział w tym powszechnym rozwoju, nie gorzej od jakiejś Szwecyi czy Danii, upośledzonych przez los, bo przez nikogo nie uszczęśliwionych organicznem wcieleniem. Nadto ze specyalnych przyczyn z góry należałoby się spodziewać, że właśnie Polska stanie się w takiej epoce jednym z głównych ośrodków przemysłu. Rzut oka na glob czy mapę wskazuje, że Polska leży dokładnie w geograficznym środku Europy: równiny polskie, od wschodu do zachodu z tą samą łatwością dostępne, stanowią naturalną drogę handlową od wysoce kulturalnych krajów Europy zachodniej do Rosyi i Azyi północnej *). Oprócz tego ludność polska ze swoją tysiącoletnią kulturą bądź co bądź na razie w wyższym stopniu posiada intelektualne przesłanki pomyślnego rozwoju przemysłu, aniżeli ludność rosyjska, białoruska czy ukraińska. A jak wielką jest doniosłość praktyczna tych intelektualnych przesłanek, to niech nam poświadczy Kautsky:

„Robotnik, oto ów czynnik produkcyi, który protekcyoniści współcześni przy ocenie zdolności przemysłu danego kraju do wytrzymania konkurencyi najmniej biorą w rachubę, a który przecież jest najważniejszym. Najbogatsze skarby węgla i żelaza, najpomyślniejsze położenie geograficzne, wszystko to bardzo mało pożytku przynosi, jeśli się nie ma do dyspozycyi rozgarniętych, sprawnych robotników, zdolnych do obrabiania surowca, do korzystania z istniejących sił wytwórczych“ **).

Kto więc nie przeczy, że robotnik polski stoi kulturalnie wyżej, aniżeli robotnik z gubernii rjazańskiej czy symbirskiej, ten też nie może przeczyć, że „najważniejszy czynnik“ produkcyi istnieje w Polsce w znacznie lepszej jakości, aniżeli w głębi Rosyi.

Poza tem prawie wszędzie w Europie starodawne stolice narodów i państw stały się ośrodkami przemysłu: Londyn, Paryż, Berlin, Wiedeń, Bruksella, Kopenhaga, Sztokholm, Budapeszt, Praga — wszystkie te odwieczne ośrodki politycznego i umysłowego życia narodów stały

nów pudów, innych metali 12 mil. pudów, cukru 11 mil. pudów, wyrobów szklanych za 8½ miliona rubli, nadto koronki, sukno, płótno, maszyny, broń i t. d. Dodajmy, że belgijska partya robotnicza ma 146.000 członków, a w Izbie posłów zdobyła już 18% mandatów (30 na ogólną liczbę 166), czyli po Finlandyi i Danii najwyższy odsetek w Europie. Cyfry te jasno wykazują, jak dalekim od prawdy naukowej jest komiwojażerski kult największej firmy.

*) Słusznie na korzystne pod względem handlowym położenie Polski zwraca uwagę Dr Zofia Daszyńska-Golińska („Utopia najbliższej przyszłości“, Kraków, 1907, str. 17).

**) Karl Kautsky: „Handelspolitik und Socialdemokratie“ (Berlin, 1901), str. 28—29.

się w naszej dobie twierdzami przemysłu kapitalistycznego. Tego samego należało się więc z góry spodziewać po Warszawie.

Nadto Królestwo obfituje w rzeki spławne i w lasy, odznacza się nader bogatymi pokładami węgla kamiennego, nie brak mu rudy żelaznej,

Wobec tego uprzemysłowienie Królestwa jest nawet mniejszem, niżby się na podstawie ogólnych warunków spodziewać należało, gdyby Królestwo nawet nie było doznało dobrodziejstwa organicznego wcielenia.

Oczywista, nie należy porównywać Królestwa z Anglią, która przez sto lat niemal była „fabryką świata“, a i dziś jeszcze pod względem stopnia uprzemysłowienia całemu światu przoduje. Ale Królestwo pozostało także znacznie w tyle poza Niemcami, Szwajcaryą, Belgią, Francyą. Dało się wyprzedzić nawet takiej maleńkiej Danii, gdzie ludność przemysłowa wynosi trzecią część ogólnej ludności; nie dorównuje co do odsetka ludności zatrudnionej w przemyśle nawet Austryi. Przemysł Królestwa imponuje na pierwszy rzut oka skupieniem w kilku punktach: skupienie to w takiej np. Łodzi doprowadzone jest aż do ekscesu zgubnego pod względem higienicznym i kulturalnym. Ale tylko całkiem zaślepionym widzom mogą te skupienia przesłonić owe ogromne przestrzenie, które zalega prawie wyłącznie ludność rolnicza, stanowiąca trzy czwarte ludności kraju *), podczas gdy ludność zatrudniona w przemyśle wielkim i drobnym, po odliczeniu ludności zatrudnionej w przedsiębiorstwach przewozowych oraz anormalnie licznej warstwy kupców i handlarzy, wynosi zaledwie jedną piątą, a ludność fabryczna nawet tylko jedenastą część ogółu ludności. Jest to więcej niż w Rosyi, ale jak na Europę to mało. Nadto i pod względem jakości bynajmniej nie wszystkie gałęzie przemysłu polskiego stoją na wyżynach rozwoju. Są przecież znawcy, którzy twierdzą, że nawet po zniesieniu dzisiejszych wysokich ceł, utrudniających wyrobom zaboru rosyjskiego dostęp do dwóch innych zaborów, łódzki przemysł bławatny miałby poważne trudności do zwalczenia, zanimby zdołał z Poznańskiego wyprzeć towar niemiecki, a z Galicyi towar wiedeński. Tylko przy porównaniu Królestwa Polskiego z Rosyą może więc imponować fakt, że tak niewielki stosunkowo kraj wytworzył u siebie tyle przemysłu; w porównaniu z Europą zaś przemysł Królestwa nie przedstawia się imponująco ani ilościowo, ani jakościowo. Królestwo pozostało w tyle poza Europą — i to pomimo wszystkich owych korzystnych warunków, które dopiero co wyliczyłem. Wobec

*) Do ludności rolniczej należy także zaliczyć bardzo znaczną część ludności miasteczek, nieraz tylko nominalnie od wsi się różniących, a z wielkim przemysłem nie mających przeważnie zgoła nic wspólnego.

tego nasuwa się zagadnienie: dlaczego właściwie Królestwo jest tak mało uprzemysłowione? Czy w tem właśnie niema winy caratu?

Możnaby wprawdzie zarzucić, że dwa inne zabory Polski, nie stojące pod panowaniem caratu, jeszcze o wiele słabiej się uprzemysłowiły. Tak. Ale w tych dwóch innych zaborach kiełkujący przemysł polski (o ile mu pozwolono kiełkować) odrazu spotkał się z konkurencyą przemysłu wyżej rozwiniętych dzielnic zachodnich. W Galicyi szczególnie kwitnący przemysł wiedeński, czeski, morawski, zalewając Galicyę tanimi wyrobami, opóźnia jej własny rozwój przemysłowy. Czy ktoś twierdzi, że tak samo i wyższość przemysłu rosyjskiego hamuje rozwój przemysłowy Królestwa? Na to trzebaby dowieść, po pierwsze, że wyroby rosyjskie są na ogół i tańsze i lepsze od polskich, a po drugie, że Rosya wywozi więcej do Królestwa, aniżeli Królestwo do Rosyi. Bardzo być może, że kiedyś w przyszłości tak będzie; jeśli Niemcy prawie już doścignęły Anglię co do jakości oraz co do bezwzględnej ilości towaru, jeśli konkurencya wyrobów niemieckich staje się groźną dla Anglii na jej własnym rynku krajowym, dlaczegóżby Rosya nie miała kiedyś doścignąć Polskę, a może ją w niektórych gałęziach przemysłu i prześcignąć? Bardzo więc być może, że przyjdzie kiedyś czas, kiedy się przemysłowcy łódzcy gwałtownie domagać będą ochrony celnej przeciwko konkurencyi moskiewskiej. Ale jak dotąd rzecz się ma raczej naodwrót. Królestwo znacznie więcej wyrobów fabrycznych wywozi do Rosyi, aniżeli stamtąd przywozi.

Natomiast rzeczywistym hamulcem dla dalszego rozwoju przemysłu w Królestwie jest carat — samowładny czy konstytucyjny carat, to w praktyce dość niewielka różnica. Szkodliwem dla rozwoju przemysłu jest panoszenie się złodziejskiej biurokracyi, obezwładniającej uczciwą przedsiębiorczość wieczną groźbą szantażu, a natomiast werbującej z pośród przemysłowców wspólników dla okradania skarbu państwowego, co lada osieł potrafi, nie siląc się wcale na spotęgowanie wytwórczości pracy ulepszeniami technicznemi. Szkodliwem dla przemysłu jest krępowanie swobody dyskusyi, swobody organizacyi nawet uprzywilejowanych skądinąd przemysłowców. Szkodliwym dla przemysłu jest brak samorządu nawet burżuazyi polskiej. A stokroć szkodliwszem jeszcze jest krępowanie sił rozwojowych ludu pracującego, zaprzepaszczanie szkolnictwa gwoli obłędowi rusyfikatorskiemu, rozmyślne krzewienie ciemnoty, jako wysoce pożądanej dla rządu przesłanki prawomyślności. Jakżeby ten urzędowy obskurantyzm rosyjski nie miał hamować rozwoju przemysłu w Polsce, kiedy go hamuje w samej Rosyi!

„Rosya“, pisał Kautsky w 1901 r.*), „posiada wszystkie warunki przyrodzone silnego przemysłu kapitalistycznego: węgiel, żelazo, drzewo, tanią żywność, liczne siły robocze; ostatniemi czasy i kapitałów jej nie brak, bo Anglia, Francya, Belgia, Niemcy użyczają jej swego nadmiaru. Rząd jak najhojniej szafuje cłami protekcyjnemi i innemi zachętami, to też przemysł rozwija się nader szybko, ale staje się tylko dużym, nie silnym, powoli tylko zbliża się do poziomu zdolności konkurowania z zagranicą na otwartym rynku, o ile się wogóle zbliża do tego celu. Zdaje mi się, że główną przyczyną zła jest ciemnota i niedostateczna sprawność robotnika rosyjskiego. Rząd nie ma pieniędzy dla oświaty ludowej, bo militaryzm pochłania wszystkie jego zasoby; a bardziej jeszcze, niż pieniędzy, brak mu dobrej woli do dźwignięcia oświaty ludowej na wyższy szczebel: bo system absolutystyczny utrzymać się może tylko na podstawie kompletnej ciemnoty masy ludowej. Mimo wszelkiej swej pieczołowitości dla przemysłu absolutyzm staje się przeto najgorszą przeszkodą dla utworzenia się w Rosyi silnego przemysłu, a to głównie dlatego, że absolutyzm gnębi klasę robotniczą“.

Złote słowa! Dodać tylko należy, po pierwsze: że jeśli absolutyzm carski Rosyę smagał rózgami, to Polskę skorpionami chłostał; a po drugie: że więcej niż dziewięć dziesiątych z tego, co Kautsky tak słusznie pisał o absolutystycznym rządzie rosyjskim, pozostaje słusznem także odnośnie do dzisiaj łaskawie nam panującego rządu rosyjskiego, od siedmiu boleści konstytucyjnego. A po trzecie należy dodać, że uprawiany przez rząd carski system ceł protekcyjnych nietylko nie przynosi tyle pożytku, aby przeciwważyć szkody skądinąd przez carat wyrządzane przemysłowi, ale na dłuższą metę staje się wprost szkodliwym, szczególnie jeśli to nie protekcyonizm europejski, tylko protekcyonizm carski.

Różne bowiem bywają protekcyonizmy.

Przedewszystkiem rozróżnić należy protekcyonizm we właściwem miejscu od protekcyonizmu nie na miejscu.

Na miejscu może być protekcyonizm wobec przemysłu młodego jeszcze, który bez czasowej ochrony sztucznej przed konkurencyą dojrzałego już przemysłu zagranicznego nie tak łatwo by przebrnął przez trudności początkowe: znalezienie kapitałów, wypróbowanie urządzeń technicznych, wyszkolenie stałych zastępów robotników i techników, odnalezienie odpowiednich dostawców surowca, zdobycie zaufania spoży-

*) Karol Kautsky: „Handelspolitik und Socialdemokratie“, str. 29.

wców. W tem stadyum umiarkowany protekcyonizm, zmniejszając trudności mimo tego zmniejszenia jeszcze dość wielkie, umożliwia przemysłowcom walkę, ale nie pozbawia ich bodźca do walki. Nie na miejscu zaś jest protekcyonizm wobec przemysłu już dojrzałego, któryby z niewielkim wysiłkiem mógł się dźwignąć na taki szczebel doskonałości, żeby wytrzymywał obcą konkurencyę bez żadnych ceł. Na dojrzały przemysł protekcyonizm tak działa, jak ciągłe obwożenie w wózku na zdrowe dwuletnie dziecko, któreby już dawno o własnych nóżkach biegać powinno: czyniąc zbytecznym użytek własnych sił, tamuje ich rozwój — rozleniwia, a przeto osłabia. Nie przesądzam, czy nawet niektóre gałęzie rosyjskiego przemysłu nie doszły już do tego stopnia dojrzałości, że zniesienie ceł i dla nich byłoby pożytecznym bodźcem do wprowadzania dalszych ulepszeń technicznych *): ale że dla polskiego przemysłu protekcyonizm już dawno stał się zaporą dalszego rozwoju, to pewna. Dla polskiego przemysłu pożądanem by było wprawdzie nie zniesienie wszelkich ceł protekcyjnych za jednym zamachem, ale z pewnością stopniowe obniżanie ich. Zżymaliby się na to przemysłowcy, ale to ich zżymanie się wyszłoby przemysłowi na dobre: zamiast się tuczyć sprzedażą wciąż tego samego towaru za wciąż te same wygórowane ceny monopolowe, musieliby się żwawo krzątać koło zaprowadzania nowych maszyn i nowych metod produkcyi: zamiast zmniejszać rozmiary produkcyi, aby na „wygłodzonych“ spożywcach wymuszać lichwiarskie ceny **), musieliby naodwrót starać się o pokonanie konkurencyi zagranicznej taniością, a zadawalniając się skromnym zyskiem od puda, natomiast dążyć do rozszerzenia zbytu i odpowiedniego zwiększenia rozmiarów produkcyi. Nadto, zmuszeni dbać o ciągłe potęgowanie wydajności pracy, we własnym interesie musieliby się zgadzać na skracanie czasu pracy, podwyższanie zarobków i wogóle na tworzenie dla robotników lepszych warunków bytu, umożliwiających formacyę zastępów robotników doborowych ***).

*) Janowicz zagadnienie to rozstrzyga twierdząco, powołując się na Rádciga oraz Tuhan-Baranowskiego (Janowicz, tamże str. 80).

**) Obacz bardzo przekonywujące wywody i przykłady u Janowicza, tamże, str. 47—58.

***) Słusznie pisze Kautsky (tamże str. 30): „...doświadczenie pokazało, że aż do pewnego poziomu, chyba dotąd jeszcze nigdzie nie osiągniętego, krótki czas pracy i wysokie płace dla samej klasy kapitalistycznej są zyskowne, ponieważ z czasem nieproporcyonalnie zwiększają wydajność pracy robotnika, że więc pozornie najtańsza praca jest w rzeczywistości najdroższą“. Dodać jednak należy, że ogromna większość fabrykantów ze ślepą zaciekłością opiera się tej prawdzie, trzymając się, póki może, długich godzin pracy i niskich płac — rzekomo w obronie swojego interesu klasowego, a w rzeczywistości z obopólną

Zysk fabrykanta od puda towaru mocnoby się zmniejszył; zysk od rubla kapitału nakładowego możeby się także nieco zmniejszył, ale dzięki zwiększonym nakładom i odpowiednio zwiększonym obrotom bezwzględny dochód fabrykanta pozostałby mniej więcej ten sam, a zato spożywcy mieli towar lepszy a tańszy, robotnicy zaś mieliby więcej zatrudnienia na lepszych warunkach. Zato zawód fabrykanta w Królestwie wymagałby więcej zabiegliwości, sprytu i wykształcenia, niż dzisiaj; burżuazya polska, która ku zmartwieniu E. Olten'a*) już tak szpetnie „obrzękła",

szkodą. Na drogę zwiększania wydajności pracy przez tworzenie lepszych warunków bytu dla robotnika wkraczają fabrykanci zazwyczaj wtedy dopiero, kiedy im zagrodzono wygodniejszą drogę tuczenia się lichwiarskiemi cenami.

*) „Od nauki do utopii", „Myśl socyalistyczna", nr. 8. Cały ten artykuł jest od początku do końca dziecinną fanfaronadą. Autor, widocznie niepełnoletni, całkiem na seryo twierdzi, że „mieszczaństwo posiadło już wszystkie zdobycze, potrzebne do jego rozwoju" — naprzykład w Królestwie Polskiem, gdzie niewątpliwie stan wojenny jest taką zdobyczą, albo w Rosyi, gdzie niezawodnie pogromy są taką zdobyczą dla żydowskiego mieszczaństwa. Tenże autor, aby się wykręcić od niedogodnych konsekwencyi, płynących z faktu, że niepodległość jest niezbędną przesłanką demokracyi, bez żenady przesuwa demokracyę polityczną do programu maksymalnego. Całkiem na seryo też twierdzi, że „stosunki prawne i polityczne są jedynie emanacyą — wierzchnią budową — opartą na podwalinach gospodarczo-społecznego przyrodzenia", z czegoby naprzykład wynikało, że Niemcy i Szwajcarya mają ten sam ustrój polityczny, bo stopień uprzemysłowienia jest w obu krajach mniej więcej ten sam. Z miną zupełnie poważną wmawia nam, że „z rozwojem kapitalizmu feudalizm znika z widowni" — naprzykład w Anglii, gdzie teraz dopiero rozpoczęła się walka o ukrócenie przywilejów Izby lordów, albo w Prusach, gdzie do dziś dnia Izba panów składa się z samych „urodzonych prawodawców". Aby się wyzwolić z pod jarzma zasad demokratycznych, młodociany nasz „teoretyk" oświadcza z patosem, że „socyalizm nie zna dogmatów", czem w danym wypadku tylko dowodzi, że jeszcze nie zdołał zrozumieć różnicy między dogmatem, to znaczy bezkrytycznem przekonaniem o istnieniu pewnego faktu, a zasadą, to znaczy stałym kierunkiem woli. Poucza nas, że państwo jest „dźwignią władzy mieszczaństwa, doskonale przystosowaną do jego potrzeb i wymagań rozwojowych", wobec czego trudno zrozumieć, 1) jakim sposobem państwo mogło istnieć wieki całe przed kapitalizmem przemysłowym i burżuazyą nowoczesną, 2) dlaczego w Rosyi, Prusach, Austryi do dziś dnia przetrwały polityczne i społeczne przywileje arystokracyi, które przecież mieszczaństwu potrzebne są jak dziura w moście, a 3) dlaczego państwo rosyjskie nie potrafi utrzymać porządku i bezpieczeństwa, kiedy przecież mieszczaństwu właśnie bezpieczeństwa i porządku potrzeba jak chleba codziennego? Ale to wszystko jeszcze fraszka; genialny chłopczyk robi odkrycie, że współczesne państwa kapitalistyczne prowadzą „zbiorową gospodarkę", przypisuje im „zorganizowaną wytwórczość!" I pocóż tedy ci głupcy socyaliści ryzykują więzienie i szubienice, kiedy cel ich walk już dawno spełniony? Pocóż ten stary doktryner Marks narzekał na bezład i chaos gospodarki

musiałaby się stać wysmukłą, zwinną i młodą, niemal tak młodą, jak burżuazya francuska czy angielska. Przemysłowcy polscy mocnoby schudli, ale zato szerokoby się rozrósł przemysł polski, podczas gdy dzisiaj dzieje się odwrotnie. Niestety, nie doczekamy się tak zbawiennego rozwoju, póki Królestwo pozostanie przykutem do Rosyi; bo burżuazya rosyjska tak prędko się nie zdobędzie na wyrzeknięcie się prymitywnej „obrzękłości".

Ale na tem nie koniec. Trzeba także odróżnić rozumny protekcyonizm od protekcyonizmu niedorzecznego; albowiem nawet tam, gdzie rozumny protekcyonizm byłby na miejscu, niedorzeczny protekcyonizm może się okazać wprost zgubnym. Otóż rozumny protekcyonizm, ułatwiając przemysłowi krajowemu zbyt na rynku krajowym, jednocześnie stara się jak najbardziej obniżyć koszta produkcyi. Utrudniając więc dostęp do rynku krajowego gotowym wyrobom zagranicznym, natomiast wpuszcza, a nawet wabi do kraju wszystkie te towary zagraniczne, które przemysłowi krajowemu służą jako środki produkcyi: surowce, paliwo, maszyny, a do pewnego stopnia i półfabrykaty. A dalej, licząc się z tem, że w skład kosztów produkcyi wchodzą także koszta utrzymania robotnika, rozumny protekcyonizm stara się odszkodować robotników za podrożenie towarów, chronionych cłem, obniżeniem wszelkich innych kosztów utrzymania, a więc przedewszystkiem cen żywności. Nadto, ponieważ koszta produkcyi są tem niższe, im wyższa jest wydajność pracy, więc rozumny protekcyonizm prowadzi do dbałości o istnienie w kraju dostatecznej ilości doborowych sił roboczych, a więc do dbałości o materyalny dobrobyt ludu pracującego, a bardziej jeszcze do gorliwego

---

kapitalistycznej, kiedy ta gospodarka jest „zbiorową" i „zorganizowaną"? A może E. Olten jest poprostu burżuazyjnym apologetą kapitalizmu, który tylko przez roztargnienie wrzucił swój skrypt do skrzynki redakcyjnej socyalistycznego pisma? Ale co najwspanialsze, że już na następnej stronicy cudowne dziecko zapomina o swojem odkryciu, napomykając najspokojniej o „anarchicznej gospodarce kapitalistycznej". Zato trzy wiersze niżej znów pisze o współczesnej, kapitalistycznej wytwórczości społecznej jako o „o r g a n i z m i e w y t w ó r c z y m". A więc — a n a r c h i c z n y o r g a n i z m! Doprawdy, nigdy jeszcze ani na lądzie ani na morzu nie spotkałem dziwotworu takiego; a wielkie to szczęście, bo gdybym go spotkał, to mimo całej biegłości w biologii nie umiałbym go klasyfikować. To chyba tylko sam E. Olten jest takim nieszczęsnym „anarchicznym organizmem", u którego głowa nie wie, co ręka pisze. Może to właśnie tłómaczy treść artykułu...

Mniejsza jednak o tę kwestyę embryologiczną. Ważniejszem, a trudniejszem zarazem jest zagadnienie: Gdzie było s u m i e n i e redaktorów „Myśli Socyalistycznej", kiedy podali do druku te brednie?

krzewienia oświaty wśród ludu. Do takiego typu protekcyonizmu zbliżał się, jak na swój czas i historyczne warunki bytu swojego, protekcyonizm Księstwa Warszawskiego oraz protekcyonizm rządu polskiego przed 1831 r. Natomiast niezmiernie dalekim od tego typu jest współczesny protekcyonizm caratu.

Carski ten „protekcyonizm“ pobiera przeciętnie: od gotowych wyrobów cło wysokości 27 procent ceny, od surowców i półfabrykatów 28 procent, od artykułów żywności 75 procent *). Proteguje więc w pierwszym rzędzie rosyjskich obszarników i handlarzy zboża przeciwko polskiej ludności przemysłowej, w drugim rzędzie rolnictwo wraz z górnictwem przeciwko przemysłowi fabrycznemu, tudzież wytwarzanie półfabrykatów przeciw fabrykacyi gotowych wyrobów, a w trzecim rzędzie dopiero przemysł rosyjski oraz przemysł zaboru rosyjskiego przeciw przemysłowi zakordonowemu i zagranicznemu. Do wybitnych dobrodziejstw tego protekcyonizmu należy podrożenie najniezbędniejszych surowców: węgla, żelaza, bawełny. Stopniowe wprowadzanie tych niedorzecznych ceł wywoływało w swoim czasie ciężkie zaburzenia w przemyśle polskim, jak to szczegółowo opisuje Janowicz **); nakłoniło nawet największą fabrykę maszyn w Królestwie do przeniesienia się do gubernii Ekaterynosławskiej, a inne polskie zakłady metalurgiczne, jak Hutę Bankową, Fitznera i Gampera itd. do urządzania oddziałów swoich albo nowych zakładów na południu Rosyi, a zmniejszenia wytwórczości w Polsce. Dalszem dobrodziejstwem jest podrożenie żywności. Kautsky słusznie zarzuca cłom agrarno-protekcyjnym, że „wprost tamują rozwój przemysłowy“ nietylko przez podrożenie surowców niektórych gałęzi przemysłu, jak drzewo, chmiel i t. d., ale także „przez zmniejszanie wydajności ludzkiej siły roboczej, tego najważniejszego środka produkcyi we wszystkich gałęziach przemysłu“. Całkiem słusznie też pisze: „Jeśli przemysł niemiecki, mimo niskości ceł protekcyjnych, w siódmym i ósmym lat dziesiątku tak szybko zdołał się dźwignąć na poziom równorzędności z tak potężnym przemysłem angielskim, to zawdzięczał to przedewszystkiem wyższemu wykształceniu swoich robotników i większej taniości ich pokarmu“, a dodaje, że panowanie agraryuszów w Niemczech „pracuje nad podkopaniem korzeni tego rozkwitu przemysłu niemieckiego“ ***). Oczywista nie chodzi

*) Koszutski, tamże, str. 111—112.

**) Janowicz, tamże, str. 51—52. — Niezawodnie Luksemburżanka, wierna tradycyi, że złodziej najgłośniej krzyczy: „łapać złodzieja!“ wkrótce ogłosi Janowicza za fałszerza. Róża Luksemburg, oskarżająca Ludwika Janowicza o kłamstwo — jakież to będzie boskie widowisko!

***) Kautsky, tamże, str. 67.

tu o żadne osobliwe cechy narodowe niemieckich robotników. I polski robotnik gorzej pracuje, kiedy jest przygnębiony nędzą i wycieńczony głodem. A zatem 75°/₀ cła na artykuły spożywcze — to wprost zamach na zdrowy rozwój przemysłu. Zamach ten może być względnie nieszkodliwy dla robotników w głębi Rosyi, bo tam potrzeba sprowadzania żywności z zagranicy naogół nie jest paląca; ale jest w najwyższym stopniu szkodliwym dla robotników polskich, mieszkających w pobliżu granicy, w Sosnowcu czy Ostrowcu, Kaliszu, czy Częstochowie, a stanowczo także szkodliwym dla Łodzi.

Ale szkodliwym jest nietylko protekcyonizm w niewłaściwem miejscu w przeciwieństwie do protekcyonizmu we właściwem miejscu; szkodliwym jest nietylko niedorzeczny protekcyonizm carski w przeciwieństwie do rozumnego protekcyonizmu dawnych rządów polskich w czasie między zwycięskiem powstaniem 1806 r. a przegranem powstaniem 1831 r. Szkodliwym jest po trzecie obcy protekcyonizm, narzucony przez rząd najezdniczy, w przeciwieństwie do protekcyonizmu swojskiego. Sądzę bowiem, iż przyznać należy, że jak to całkiem słusznie niegdyś sformułował gotajski kongres socyalistów niemieckich w 1876 r.*), „kwestya, czy mają być cła ochronne, czy nie, jest tylko praktyczną kwestyą, którą rozstrzygać należy w każdym wypadku z osobna"; a w szczególności przyznać należy, że przemysł Królestwa Polskiego jeszcze na tyle nie urósł w siły, żeby módz bez kryzysu przetrwać zniesienie wszystkich ceł za jednym zamachem. Nawet rewolucyjny rząd ludowy, gdyby nastał w kraju, zniósłby wprawdzie cła na żywność i surowce oraz większość ceł na fabrykaty, ale cła na niektóre fabrykaty na razieby tylko obniżył, z zamiarem dalszego stopniowego obniżania ich w przyszłości, a zniesienia ich wtedy, kiedy się staną całkiem zbyteczne. Ale tylko w takim razie mógłby taki system okazać się prawdziwie zbawiennym, gdyby o tem, od jakich wyrobów pobierać cła i w jakiej wysokości, jakie zaś towary wpuszczać do kraju bez cła (a bodaj nawet przewozić koleją za zniżoną cenę), rozstrzygał własny interes kraju, nie zaś samowola najezdnicza, albo interes obcego przemysłu, wyzyskującego Polskę jako kolonię. A dzisiaj, niestety, mimo zniesienia przegrody celnej, Polska w gruncie rzeczy wciąż jeszcze jest kolonią Rosyi. Przemysłowi Królestwa Polskiego utrudniono korzystanie z bogatych kopalń węgla, leżących tuż poza kordonem w dwóch innych zaborach Polski, aby Królestwo brakujący mu węgiel sprowadzać musiało, opłacając blisko dwieście mil drogiego przewozu lądowego, z rosyj-

*) Kautsky, tamże, str. 27.

skich kopalń nad Donem. Utrudniono dostęp do Królestwa rudzie żelaznej śląskiej, czeskiej, styryjskiej i węgierskiej — na korzyść rosyjskiej rudy z Krzywego Rogu. Cłami niemal prohibicyjnemi utrudniono przemysłowcom łódzkim sprowadzanie bawełny amerykańskiej, brazylijskiej, egipskiej — na korzyść bawełny turkiestańskiej, przywożonej lądem z odległości czterechset mil, a zatem z bardzo znacznym kosztem, podczas gdy morski przewóz jest bez porównania tańszy. Ten obcy, najezdniczy protekcyonizm wyrządził i wyrządza przemysłowi polskiemu nadzwyczaj ciężkie szkody. Z dwojga złego lepiejby było nawet wysokie cła opłacać za wywóz swoich towarów do Rosyi, ale zato we własnym kraju mieć wolną rękę do protegowania tego, co my sami protegować chcemy, do wpuszczania bez ceł tych surowców, które nam są potrzebne, a nadto mieć wolną rękę do samodzielnego poszukiwania rynków zbytu zagranicą i torowania sobie drogi do nich traktatami handlowymi.

Nie zapominajmy wreszcie o tem, co już przed laty słusznie podniósł najwybitniejszy dotąd w Polsce teoretyk socyalizmu Kazimierz Kelles-Krauz: że carska gospodarka w Polsce, pogrążając szerokie masy ludności w nędzy i utrudniając wszelkie wysiłki celem wybrnięcia z tej nędzy, hamuje rozwój rynku wewnętrznego w Królestwie. A tylko anormalnie słabą pojemnością rynku wewnętrznego wytłómaczyć można, że już na tak skromnym szczeblu uprzemysłowienia kwestya poszukiwania zewnętrznych rynków, wschodnich, zachodnich, czy też południowych *), stała się dla Królestwa palącą. Wartość produkcyi przemysłowej Królestwa wynosi zaledwie 50 rubli rocznie na głowę mieszkańca. W XX wieku i przy rozpowszechnionej od dawna gospodarce pieniężnej znaczy to, że gdyby tylko ubóstwo szerokich mas ludności nie przekraczało granic, w kapitalistycznym ustroju uchodzących za normalne, toby rynek krajowy doszczętnie pochłaniał tę produkcyę **). To też demokratyczna rewolucya, dokonana przez lud pracujący miejski i wiejski we własnej sprawie tego ludu; demokratyczna rewolucya, oddająca na wsi ziemię w ręce włościan, a w mieście dająca robotnikom pełną swobodę koalicyi i organizacyi, przyzwoite ubezpieczenia rządowe, ośmiogodzinny dzień

*) P. Stanisław Koszutski (Rozwój ekonomiczny Król. Pol. str. 188) do wschodnich rynków zalicza także Turcyę i kraje bałkańskie. Jestto nieścisłość geograficzna; kraje bałkańskie wraz z Turcyą europejską są dla Polski nie wschodnim, ale południowym rynkiem, a dla Rosyi są nawet rynkiem południowo-zachodnim.

**) Do tego samego wyniku dochodzi F. Zaorski: „Gdyby Królestwo mogło wzmocnić swój rynek wewnętrzny, wyroby polskie znalazłyby zbyt na miejscu i cała groźna kwestya „rynków wschodnich", a z nią i teorya „organicznego wcielenia" rozwiałaby się nakształt dymu" („Myśl Socyalistyczna" nr. 8, str. 20).

roboczy i ustawą utrwalone płace minimalne, z łatwością mogłaby podwoić siłę kupną ludu pracującego, który przecież stanowi olbrzymią większość spożywców, a tem samem otworzyć przemysłowi krajowemu zbyt dla całej jego produkcyi w kraju.

A jednak, gotów mi w tem miejscu odpowiedzieć jakiś uparty luksemburczyk, przemysł nasz już się przystosował do wywożenia swoich produktów do Rosyi; Rosya jest naszym rynkiem zbytu, a zatem nie możemy się od niej oderwać.

Postawmy kropkę nad i. Królestwo Polskie wywozi więcej, niż trzecią część swoich produktów do Rosyi; a zatem Królestwo powinno być prowincyą Rosyi. Tak wszakże?

Jeśli tak, to sprowadźmy ten poszczególny wypadek do przejawiającej się w nim ogólnej reguły. Brzmi ona zatem: Jeśli kraj A wywozi bardzo dużą ilość produktów do kraju B, to kraj A powinien być prowincyą kraju B.

Sprawdźmy tę regułę na innych wypadkach. Dalej żwawo, niech żyje naukowość!

Oto zaraz pierwszy przykład z brzegu: Stany Zjednoczone Ameryki północnej ogółem wywożą rocznie towarów za przeszło trzy miliardy rubli *); jestto cyfra, wobec której blednie nietylko cały wywóz, ale nawet cała produkcya Królestwa, rolnicza i przemysłowa razem wzięta. Z tej olbrzymiej masy towarów przeszło $51^0/_0$, a zatem towary wartości przeszło półtora miliardów rubli idą do Anglii i posiadłości angielskich **), podczas gdy wywóz Królestwa Polskiego do Rosyi wynosi, wszystko razem wziąwszy, najwyżej jedną trzecią miliarda. Stąd więc nieunikniona konkluzya: Ameryka powinna być prowincyą angielską, a jeśli nią nie jest, to burżuazya amerykańska i proletaryat amerykański powinny się we własnym swoim interesie klasowym czemprędzej o to postarać. Nieprawdaż?

Ślicznie. Szkoda tylko, że ci podli Amerykanie sto lat temu oderwali się od Anglii, wywalczając — o zgrozo! — niepodległość narodową drogą całkiem podłego nacyonalistycznego powstania (przyczem im nawet pomagał ów najbezecniejszy ze wszystkich nacyonalistów polskich, Tadeusz Kościuszko) i do dziś dnia ani nie myślą naprawić tę zbrodnię.

---

*) Hübner-Juraschek, „Geographisch-statistische Tabellen", Ausgabe 1906, str. 46 i 90. Porównaj: George G. Chisholm, „Handbook of Commercial Geography, sixth edition" (London, New York and Bombay 1906), str. 577—579 oraz 595.

**) Chisholm, tamże str. 595, podaje: Do Wielkiej Brytanii wraz z Irlandyą 40·7%, do Kanady itd. 7·4%, do Australii. Nowej Zelandyi itd. 2%, do posiadłości angielskich w Ameryce środkowej i południowej 1%. Razem więc 51·1% (cyfry z 1899 r.).

W toku sprawdzania owej reguły natrafiliśmy więc przypadkiem zaraz na początku na maleńki wyjąteczek. Przypuszczalnie przyczyną tego wyjątku jest okoliczność, że Amerykanie są dotąd jeszcze narodem drobnomieszczańskim, pozbawionym wielkiego przemysłu kapitalistycznego, wskutek czego w Ameryce i zorganizowany proletaryat nie istnieje. Takbym sobie przynajmniej ten wyjątek tłómaczył, gdybym był „naukowym" esdekiem.

Ale, niestety, jest tych wyjątków więcej.

Oto Anglia wywozi do Niemiec corocznie ilość towarów, przedstawiającą wartość 228 milionów rubli *). Bardzo poważna to kwota; wszak to przeszło trzykroć więcej, niż cały łódzki przemysł bawełniany **). A zatem niepodległość Anglii jest dla przemysłu angielskiego niebezpieczeństwem groźnem i złowrogiem; bo na skutek tej niepodległości może Wilhelm II lada chwila zamknąć porty niemieckie dla towarów znienawidzonej Anglii. Gdyby zaś Anglia była jego prowincyą, toby nie mógł jej tak niegrzecznie traktować. Uświadomiony proletaryat angielski powinien się więc jak najenergiczniej domagać wcielenia Anglii do Niemiec. Dziwne tylko, że zamiast tego wódz marksistów angielskich naodwrót domaga się wzmacniania angielskiej floty wojennej, celem obrony niepodległości Anglii przeciwko grożącemu najazdowi niemieckiemu!

Oto więc drugi wyjątek. No, ale wiadomo przecież oddawna, że angielskiemu proletaryatowi brak ducha rewolucyjnego.

Ale oto i trzeci wyjątek. Wartość rocznego wywozu Niemiec do Rosyi wynosi 230½ miliona rubli ***), a więc znowu przeszło trzy razy więcej, niż roczna produkcya łódzkiego przemysłu bawełnianego. Więc i dla Niemiec wschodnie rynki mają poważne znaczenie. Niepodległość narodowa Niemiec jest więc dla proletaryatu niemieckiego szkodliwą. Niech się tylko Rosya pogniewa na Niemcy, a źle będzie z przemysłem. Gdyby zaś Niemcy stały się częścią państwa rosyjskiego, a tem samem i rosyjskiego obszaru celnego, toby niebezpieczeństwo to było zażegnane, a nawet wywóz niemieckich towarów do Rosyi mógłby się jeszcze wielekroć powiększyć. Proletaryat niemiecki powinien się więc oświadczyć za wcieleniem Niemiec do Rosyi, a drobnomieszczańskich ideologów, pragnących mu narzucić utopię obrony ojczyzny niemieckiej, pogardliwie

*) Chisholm, tamże str. 582 (cyfra przeciętna za okres 1896—1900; Chisholm podaje ją naturalnie w funtach szterlingach).

**) Roczna produkcya łódzkiego przemysłu bawełnianego wynosi 69,705.000 rubli (Stan. Koszutski, „Nasz przemysł wielki na początku XX stulecia", str. 7; cyfra za rok 1901/1902).

***) Chisholm, tamże str. 590 (cyfra za rok 1899).

kopnąć. Tymczasem, o dziwo! socyaliści niemieccy niejednokrotnie oświadczyli publicznie i wciąż na nowo oświadczają, że w razie zbrojnego ataku na ojczyznę niemiecką broniliby tej ojczyzny z karabinem w ręku aż do ostatniego tchu. Tegoż samego zdania jest nawet skazany na półtora roku twierdzy antymilitarysta Karol Liebknecht. Jakiż to wstrętny socyalpatryotyzm!

Co prawda i ten wyjątek nie trudno wytłómaczyć. Dawniej wprawdzie właśnie socyaliści niemieccy byli przykładnymi marksistami. Ale ostatniemi czasy rdza rewizyonizmu tak u nich przeżarła wszelką rewolucyjność, że nawet Róża Luksemburg zwątpiła o nich i ostatecznie zaniechała dalszej ich edukacyi, pozostawiając ich własnemu losowi.

Ale oto czwarty wyjątek. Wiadomo, jakiej doniosłości nabrał ostatniemi laty dla Rosyi rynek chiński. Według Koszutskiego*) „przeszło 50% wywozu wyrobów rosyjskich idzie do Chin, Persyi i Turcyi"; oczywista, że lwia część tego wywozu przypada na Chiny, które przecież są dziesięć razy ludniejsze od Turcyi i Persyi razem wziętych. Wynika z tego, że niepodległość Rosyi stała się niezgodną z rozwojem ekonomicznym. Niechno cesarzowa Cu-Hsi na dobre zacznie się dąsać na Rosyan, odrazu zamknie przemysłowi rosyjskiemu przed nosem rynki chińskie, i połowa wywozu wyrobów rosyjskich nie będzie miała się gdzie podziać. Taki stan rzeczy nie może trwać. Przyszłość proletaryatu rosyjskiego nie może pozostać na łasce kaprysów jednej kobiety. Trzeba tej starej pani raz na zawsze uniemożliwić traktowanie Rosyan jako cudzoziemców. A na to jest tylko jedna rada: trzeba czemprędzej wcielić Rosyę do Chin.

Sprawa jest całkiem jasna. Wobec ekonomicznego faktu wspólnego kapitalizmu rosyjsko-chińskiego klasowo uświadomiony proletaryat rosyjski ma tylko jedną drogę przed sobą: dostosować nadbudowę polityczną do ekonomicznych podwalin, a zatem skasować niepodległość Rosyi, do której już tylko Don Kiszoci ideologii drobnomieszczańskiej jakąkolwiek wagę przywiązywać mogą i przekształcić Rosyę na Prowincyę Północno-Zachodnią Państwa Niebieskiego — broń Boże bez autonomii zbyt szerokiej, bo tę autonomię wyzyskałaby burżuazya rosyjska na szkodę proletaryatu rosyjskiego. A tymczasem, co za hańba! ani mieńszewicy, ani bolszewicy do dziś dnia nie wyrzekli się nacyonalistycznego postulatu niepodległości Rosyi! Widocznie i ich już zaraził rewizyonizm. Ten nieszczęsny Bernstein spaskudził całą socyaldemokracyę od Londynu aż po Czelabińsk.

*) Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego, str. 112.

Dość żartów w smutnej sprawie.

Luksemburżanka, kując swoją osławioną „teoryę“, poprostu przeoczyła lub przeoczyć chciała fakt elementarny, że **handel przekracza granice**. Oczywista, każde niepodległe państwo ma prawo zamknąć swoje granice dla obcych towarów, ale wtenczas obce państwa, o ile się czują poszkodowane, mogą mu się każdej chwili odwdzięczyć pięknem za nadobne. Można więc cłami prohibicyjnemi zagarnąć rynek krajowy wyłącznie dla siebie, ale czyniąc to, ryzykuje się wykluczenie swoich towarów z obcych rynków. Dlatego też protekcyonizm ma swoje granice, o ile się go stosuje do wywozu niepodległych państw, mogących się bronić; kto sam nie jest przygotowanym do wyrzeknięcia się wywozu jakichkolwiek produktów, bądź to przemysłowych, bądź to rolniczych, na tym niepodlegli sąsiedzi zawsze, jeśli im na tem zależy, wymusić potrafią mniej lub więcej dogodne warunki dostępu dla swojego wywozu. To też, jak dotąd, niema na świecie państwa choć trochę cywilizowanego, któreby dla przywozu obcych towarów całkiem było zamknięte. Niemcy, mimo chwilowego rozpanoszenia się protekcyonizmu, corocznie wpuszczają do siebie zagraniczne towary o łącznej wartości przeszło trzech miliardów rubli, Francya za $1^2/_3$ miliarda, Ameryka za przeszło dwa miliardy rubli, Austrya z Węgrami za $^4/_5$ miliarda*), a nawet Rosya, mimo, że doprowadziła protekcyonizm aż do szaleństwa, zawsze jeszcze sprowadza z zagranicy towary wartości 582 milionów rubli rocznie**), to znaczy, że mimo niesłychanie wygórowanych ceł zawsze jeszcze przedostaje się do Rosyi o wiele więcej towarów zagranicznych, aniżeli Królestwo wywozi do Rosyi. Wiemy już, że pośród tych 582 milionów rubli są $230^1/_2$ miliona rubli, sprowadzone z niepodległych Niemiec; jest tam nadto 129 milionów, które niepodległa Anglia do Rosyi przywozi. Nie gorzej więc od Niemiec i Anglii mogłaby i niepodległa Polska nadal wywozić do Rosyi wyroby za setki milionów rubli, wymógłszy poprzednio na Rosyi przyzwoity traktat handlowy groźbą zamknięcia polskich rynków dla produktów rosyjskiego rolnictwa i górnictwa. A niechaj nikt nie myśli, że taka groźba nie przestraszyłaby Rosyi, bo Rosya jest wielekroć większą od Polski. Mały kraj, jeśli tylko dorównuje przeciwnikowi kulturalnością i zamożnością mieszkańców, może taką „wojnę celną“ wspaniale wygrać. Jako przykład niech nam służy wojna celna francusko-szwajcarska od 1888 do

---

*) Hübner-Juraschek, rocznik 1906, str. 97—98 (cyfry za rok 1904).

**) Tamże str. 40. Cyfra ta odnosi się do roku 1905, roku wojny i rewolucyi, jest więc anormalnie niska. W 1904 roku wartość towarów, do państwa rosyjskiego z zagranicy przywiezionych, wynosiła 655 milionów rubli.

1895 roku, sprowokowana przez butny protekcyonizm Francyi. W 1888 r. upłynął termin traktatu handlowego między Francyą a Szwajcaryą; nowy nie został zawarty, bo Francya pozostawiła Szwajcarom tylko wybór między samowolnie przez nią ułożoną, mocno protekcyjną „taryfą minimalną“ a całkiem już niemożliwą „taryfą maksymalną“. Ponieważ Szwajcarzy na podstawie rzekomo „minimalnej“ taryfy umowy zawrzeć nie chcieli, więc Francya zastosowała do ich towarów „taryfę maksymalną“ o cłach niemal prohibicyjnych. Ale też odrazu Szwajcarya podobnie wysokiemi cłami obłożyła towary francuskie. Posłuchajmy, jaki był przebieg tej walki Goliata z Dawidem. „Wywóz francuski do Szwajcaryi wynosił w 1891 roku 250 milionów franków, w 1892 r. 173 mil., w 1893 r. 105, w 1894 r. nawet tylko 97½ milionów. W końcu Francya zmuszoną była zawrzeć ze Szwajcaryą traktat handlowy o niższych cłach, niźli przewidziane było w taryfie minimalnej; ale rany, które odniósł wywóz francuski do Szwajcaryi podczas wojny celnej, pozostały trwałemi ranami, bo tymczasem przemysł niemiecki i angielski zajął miejsce francuskiego na szwajcarskich rynkach“ *). Jeśli tego dokonała Szwajcarya wobec Francyi, mimo, że ludność Szwajcaryi wynosi zaledwie jedną dwudziestą szóstą ludności państwa francuskiego z koloniami, to z pewnością dokonałaby tego i niepodległa Polska wobec Rosyi.

O ile jednak trudnem jest zabronić dostępu do swego rynku niepodległemu sąsiadowi, a nie być w zamian wypartym z jego rynku o tyle łatwem jest wyrządzić taką krzywdę kolonii bezbronnej i spętanej. Tak właśnie Rosya traktowała Polskę od 1831 do 1850 roku; takim właśnie jednostronnym, krzywdzącym protekcyonizmem Anglia niegdyś sprowokowała powstanie niepodległościowe swoich kolonii amerykańskich w 1775 r., taki system stosowała do Irlandyi **), takiego systemu trzymały się wobec kolonii swoich przez stulecia całe wszystkie państwa zachodniej Europy ***). A i w traktowaniu przemysłu polskiego przez rząd rosyjski po 1850 r. nie całkiem brak śladów tej samej metody. Znane są usiłowania przemysłowców miasta Moskwy i okolic przyległych, aby wyprosić od rządu ustawy wyjątkowe, mające ich chronić

*) Kautsky, Handelspolitik und Socialdemokratie, str. 79.

**) „Anglia zakazywała koloniom swoim wszelki znaczniejszy przemysł. Nawet w Irlandyi przemocą wytępiła rękodzielnie wyrobów wełnianych“. Kautsky, tamże str. 44.

***) „Przemysł kolonii przemocą gnębiono i niszczono, aby zmuszać kolonie do zaspakajania wszystkich swych potrzeb przemysłem kraju-matki, a raczej kraju-macochy. Przytem kupcom kraju-matki nadawano monopol handlu z kolonią, podczas gdy obce kraje wykluczano od tego handlu“. Kautsky. tamże, str. 14.

od groźnej dla nich konkurencyi polskiego przemysłu; a rząd niezawsze był głuchym na te prośby. Pozwolę sobie przytoczyć urywek ze szczegółowego opisu tej sławetnej „walki Moskwy z Łodzią“: „...Jednak kampania przeciw „zagranicznej“ produkcyi Królestwa ze strony przemysłowców moskiewskich nie ustała. W 1887 r. na wystawie w Niższym Nowogrodzie podali oni petycyę ministrowi skarbu, proszącą o podniesienie cła na bawełnę i zaprowadzenie ceł różniczkowych, wyższych na bawełnę, idącą przez komory Królestwa. Wtedy wystąpili i przemysłowcy łódzcy i wystosowali do ministra skarbu memoryał, w którym starali się wykazać, iż przemysł łódzki znajduje się w znacznie gorszych warunkach od moskiewskiego i że projektowane cła różniczkowe mogą poderwać byt pierwszego. W 1888 r. rząd wydelegował znów komisyę do zbadania stanu rzeczy. Komisya ta przyszła do bardziej niekorzystnych dla Królestwa wniosków, niż poprzednia i zażądała całego szeregu środków na obronę przemysłu okręgu moskiewskiego przed konkurencyą przemysłu łódzkiego, mającego wiele lepszych warunków. Fabrykanci wnioski te poparli nową petycyą w tym samym kierunku. Istotnie w 1889 r. cło na bawełnę, przywożoną przez granicę zachodnią, zostało podniesione o 15 kop. w złocie na pudzie, a równocześnie podniesiono taryfę na przewóz wyrobów tkackich i przędzy z Łodzi do wszystkich stacyi kolei rosyjskich“. Tak pisze p. Stanisław Koszutski *). Dodajmy, że wprawdzie owo cło różniczkowe na bawełnę zniesione zostało w 1894 r. wskutek zawarcia traktatu handlowego z Niemcami, ale za to taryfa różniczkowa na kolejach rosyjskich jeszcze kilka lat temu kwitła w całej pełni, a lada chwila może być zaprowadzoną na nowo: obawia się tego widocznie i p. Koszutski, bo pisze, że chociaż walka między Moskwą a Łodzią złagodniała, to jednak „odgłosy jej co jakiś czas rozlegają się z różnych stron, a kto wie, czy przesilenie przemysłowe nie zbudzi jej w całej mocy“.

---

*) „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego“, str. 156—157. — Nawiasem mówiąc, kiedy autor artykułu: „Die industrielle Politik Russlands in dessen polnischen Provinzen“ („Neue Zeit“, rocznik 1893/94, tom II) ośmielił się stwierdzić istnienie tej właśnie taryfy różniczkowej, to Róża Luksemburg („Die industrielle Entwicklung Polens“, str. 75) odpowiedziała mu na to: „I ta historya jest znowu tylko wykwitem wyobraźni autora“. Już to jedno zdumiewająco bezczelne fałszerstwo, z tryumfującą pewnością siebie rozwałkowane na przeszło sześćdziesięciu wierszach, powinnoby wystarczyć, aby raz na zawsze rozwiać śmieszną bajkę o „naukowości“ Luksemburżanki — osoby tak dalece pozbawionej zmysłu prawdy, że byłaby stokroć bardziej na swojem miejscu, gdyby jako poczciwa drobnomieszczanka sprzedawała czernidło do butów.

A tym samym obawom daje wyraz drugi autor, skądinąd również dość centralistycznie usposobiony, F. Zaorski („Myśl Socyalistyczna", nr. 3, str. 23): „Jakoż przewidywać należy, że kapitalizm rosyjski, postawiony w nieprzyjazne warunki na skutek zmniejszenia podaży rąk roboczych, chwycić się będzie musiał specyalnych sposobów ochrony swych interesów. W momencie, gdy miejsce kliki biurokratycznej zajmie u steru państwa burżuazyjne przedstawicielstwo rosyjskie, sama myśl o zarządzeniach „bezmyślnych" z punktu widzenia interesu rosyjskiego stanie się niepodobieństwem. Odmłodzone mieszczaństwo rosyjskie, żądne władzy i zdobyczy ekonomicznych, pomyśleć nie omieszka o otoczeniu „prawdziwie rosyjskiego" przemysłu odpowiednią dla tej relikwii pieczołowitością. W takiej chwili — gdyby pragnieniom „organicznego wcielenia" stało się zadość — polski przemysł „narodowy" rychło na własnej skórze uczułby smutną rzeczywistość tego „niczem nie krępowanego rozwoju". Gdyby nie kultura kilkudziesięcioletniego serwilizmu, burżuazya polska już w zaraniu rewolucyi obecnej uzmysłowiłaby sobie w należytej mierze przedsmak sytuacyi, gdy w państwie o tak odmiennych warunkach produkcyi, reprezentując najbardziej przemysłową jego dzielnicę, pozbawiona byłaby ona możności ustawodawczego wpływania na losy swego przemysłu".

Wszystko to zresztą nie jest nowe. Już siedm lat temu wypowiedział te same myśli nieodżałowany Kazimierz Kelles-Krauz:

„...Najważniejszem zaś jest to, że stosunek przemysłu polskiego do rynków wschodnich bynajmniej nie zależy od wcielenia lub wyodrębnienia Polski od Rosyi. Jeżeli eksport polski nie może rzeczywiście na tych rynkach pogodzić się z rosyjskim, jeżeli rzeczywiście istnieje lub istnieć będzie wogóle jakiś głębszy antagonizm między interesami przemysłu polskiego a rosyjskiego, to można być najzupełniej pewnym, że rząd rosyjski, czy to carski, który już złożył tego pierwsze dowody, czy konstytucyjny, zechce i potrafi przechylić środkami protekcyjnymi szalę zwycięstwa na stronę przemysłu rosyjskiego, a na niekorzyść polskiego, choć należącego do tego samego państwa. Nawet w tak wewnętrznie zjednoczonej Francyi rząd potrafi za pomocą premiów, taryf, ulg lokalnych itp. sekretów polityki finansowej faworyzować pewne prowincye (oddane głównie pewnym gałęziom przemysłu, lecz zarazem podtrzymujące pewną rządzącą partyę) na niekorzyść innych,.."

Słowem, nawet najohydniejsze płaszczenie się przed najazdem, nawet najgorętsze modły polskich mazochistów politycznych w rodzaju K. Zalewskiego i jemu podobnych do knuta wszechrosyjskiego, aby broń Boże nie przestał smagać Polski, bo to właśnie przewrotną rozkosz

sprawia Zalewskim, Radkom i innym wyrodkom — wszystkie te urągające godności ludzkiej dobrowolne upokorzenia niczem się przyczynić nie potrafią do zabezpieczenia przemysłowi polskiemu rosyjskich rynków zbytu: nie przyczyniają się nawet do zabezpieczenia mu wolnego przewozu do Chin i Persyi. Dodajmy, o czem już wspomnieliśmy, że właśnie przykucie do skrajnie protekcyonistycznej Rosyi. która wprost prowokuje wszystkie obce państwa do zamykania swoich rynków dla rosyjskich towarów, wysoce utrudnia przemysłowi polskiemu rozszerzenie swojego zbytu na rynkach nierosyjskich. do których polski przemysł toruje sobie drogę na własną rękę. jak naprzykład do Turcyi. Rumunii, Bułgaryi. Serbii *). a między innemi także utrudnia mu zbyt na ziemiach polskich pod zaborem austryackim i pruskim. Natomiast niepodległość dzisiejszego zaboru rosyjskiego odrazuby dała 1) możność potężnego rozszerzenia rynku wewnętrznego: 2) możność trwałego zabezpieczenia dostępu do rynków rosyjskich, oraz wolnego od ceł przewozu polskich towarów poprzez Rosyę drogą opartego na wzajemności traktatu handlowego; 3) możność zawarcia na własną rękę korzystnych traktatów handlowych z krajami bałkańskimi i wogóle z zagranicą, a między innemi utorowania przemysłowi Królestwa drogi do Galicyi i zaboru pruskiego: 4) możność wpuszczania do kraju taniej żywności dla robotników, tanich narzędzi. maszyn, nawozów dla rolnictwa, tanich surowców dla przemysłu (węgiel. żelazo, bawełna. jedwab, wełna itd.) bez żadnego cła.

Jestem jednak z góry przygotowanym na to, że naszych esdeków wszystko to jeszcze nie przekona. Mili ci obywatele bowiem. którym o polskiej historyi lada Luksemburżanka bezkarnie smalone duby pleść może. zato ku nieszczęściu swemu aż zanadto dobrze wykuli na pamięć niemiecką historyę. względnie ortodoksalnie-„materyalistyczną“ jej przeróbkę. Właśnie ta źle pojęta i koszlawie zastosowana historya niemiecka niezmiernie im utrudnia oryentacyę w polskiem środowisku. Wiedzą

*) „W Persyi wyroby tkackie Królestwa stanowią prawie połowę całego przywozu. przechodzącego przez główny punkt tranzytowy: Baku. Królestwu poniekąd przypadła nawet w udziale inicyatywa handlu z Persyą. Jeszcze w 1887 r., zanim rząd zaczął myśleć nad środkami zwiększenia wywozu do Persyi. fabrykanci Królestwa próbowali otworzyć własną agenturę i skład towarów w Teheranie. Łódź do dzisiaj stanowi jedyny okręg przemysłowy w państwie. wysyłający swe wyroby tkackie do Konstantynopola i krajów Bałkańskich. Jeszcze w 1887 r. Polska weszła w stosunki handlowe z Rumunią i Bułgaryą. Niedawno Łódź poczęła wysyłać swe towary bawełniane wprost do Sofii“. Koszutski, „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego“, str. 141. Co do Serbii porównaj tamże str. 143.

tedy, że na zaraniu dziejów (to znaczy około 1830 r.; dalej wstecz w historyę wzrok ich nie sięga) istniało w Niemczech trzydzieści sześć udzielnych państw i państewek, leżących między sobą w szachownicy jak nieskomasowane grunta chłopskie, a otoczonych każde z osobna kordonem celnym i bijących własne monety. Ale oto wystąpił na scenę kapitalizm, któremu potrzebna była centralizacya: stworzona tedy została unia celna, stopniowo całe Niemcy obejmująca, a unia celna pociągnęła za sobą unię polityczną. „i tak zakwitło szczęście i Rzeczpospolita" — przepraszam, monarchia hohenzollernowska. A ponieważ kapitalizm wszędzie jest ten sam, więc stąd konkluzya: kapitalizm wszędzie prowadzi do centralizacyi politycznej: znosi naprzód granice celne między państwami, a potem znosi i granice polityczne, wcielając mniejsze państwa do większych. Naodwrót zaś na tworzenie nowych granic celnych, a tembardziej na tworzenie nowych państw przez rozczłonkowanie istniejących kapitalizm zasadniczo nie pozwala.

Cały ten pogląd jest podwójnie błędnym.

Przedewszystkiem bajką jest, jakoby Niemcy zjednoczyła wyłącznie lub chociażby w pierwszym rzędzie unia celna, a już całkiem fantastycznem jest twierdzenie, że dążność do zjednoczenia Niemiec powstała dopiero jako emanacya rozwoju nowoczesnego kapitalizmu przemysłowego. Dążność ta obudziła się z żywiołową siłą jako reakcya narodu na najazd napoleoński, a zatem w czasie, kiedy uprzemysłowienie Niemiec było, naogół biorąc, zaledwie w początkach, a w wielu dzielnicach nawet jeszcze rozpoczętem nie było; unia celna zaś założoną została w 1833 r., a zatem w ośmnaście lat po ostatecznej klęsce Napoleona. Z drugiej strony unii celnej tak daleko było do wszechmocy politycznej, że nawet jeszcze w 1866 r. nie zdołała wstrzymać współzałożycielek swoich, Bawaryi i Wirtembergii, od wojny przeciwko Prusom: że Prusy tę wojnę wygrały, to chyba nie zasługa unii celnej, z której przecież obie strony korzystały. Aby zaś ostatecznie złamać opór państw południowo-niemieckich przeciwko politycznemu zjednoczeniu Niemiec, na to trzeba było drugiej wojny — zwycięskiej pod pruskiem przywództwem wojny sprzymierzonych państw niemieckich przeciw Napoleonowi III w 1870 r. Zdobycie Paryża w styczniu 1871 roku — oto prawdziwe narodziny zjednoczonych Niemiec. Ale największe miasto portowe w Niemczech, miasto Hamburg, mimo, że już w 1866 r. weszło w ściślejszy związek polityczny z Prusami, wstępując do Związku północno-niemieckiego, mimo, że w 1871 r. stało się częścią składową nowego cesarstwa, jednak do unii celnej wciąż jeszcze nie należało i opierało się wcieleniu do unii celnej aż do 1888 r., w którym to roku Bis-

marck nareszcie wymusił to wcielenie groźbą przemocy. W wypadku Hamburga więc odrębność celna przetrwała polityczne zjednoczenie o 22 lat. Natomiast Wielkie Księstwo Luksemburskie już od 1842 roku należy do niemieckiej unii celnej, a mimo to w 1867 r. pruska załoga musiała się wynieść z twierdzy luksemburskiej; Luksemburgia nie przystąpiła ani do Związku północno-niemieckiego, ani do cesarstwa niemieckiego, tylko pozostała do dziś dnia niezależnem państewkiem. A jestto kraik wysoce przemysłowy, mimo szczupłej liczby mieszkańców (niespełna ćwierć miliona) mający odrębną partyę socyalno-demokratyczną i odrębną delegacyę w Biurze Międzynarodowem i na międzynarodowych kongresach socyalistycznych. Jeśli więc w wypadku Hamburga zjednoczenie polityczne nastąpiło wbrew odrębności celnej, to naodwrót w wypadku Luksemburgii istniejąca od 65 lat unia celna zgoła nie zdołała zniweczyć odrębności politycznej, ba, nawet nie zdołała przeszkodzić pogłębieniu tej odrębności.

Ale mniejsza o to wszystko. Przypuśćmy nawet, wbrew prawdzie historycznej, że polityczne zjednoczenie Niemiec było wynikiem unii celnej. Nawet w takim razie oparte na tym rzekomym fakcie konkluzye naszych esdeków pozostają typowym przykładem błędu myślowego, znanego w logice pod nazwą fałszywego uogólnienia. W Niemczech unia celna mogła się utrwalić, a nadto przyczynić się do przyspieszenia unii politycznej, bo unia polityczna skądinąd potrzebną była rozdartym cząstkom narodu niemieckiego. W Niemczech centralizm mógł się stać potęgą i to twórczą potęgą, bo w Niemczech tylko bezwzględny centralizm mógł naprawić, co zgrzeszyły stulecia całe rozszalałego partykularyzmu. Wszak w Niemczech już owe 36 państewek były wynikiem względnej centralizacyi; przed najazdem napoleońskim było ich nie trzydzieści sześć, ale blisko tysiąc pięćset. To też brutalny centralizm pruski był w swoim czasie dla narodu niemieckiego zbawieniem, podobnie jak niemniej brutalny centralizm Władysława Łokietka był zbawieniem dla rozczłonkowanej Polski piastowskiej. Ale taksamo jak nonsensem byłoby twierdzić, że ponieważ już tak dawno temu Łokietek zjednoczył Polskę, to już wielki czas pojść o krok dalej i wcielić Polskę do Rosyi, do Chin, czy do Turcyi, taksamo nonsensem jest twierdzić, że ziemie polskie na wieczne czasy pozostać muszą pod jarzmem mocarstw zaborczych, ponieważ księstwa Schwarzburg-Sondershausen, Sachsen Meiningen Hildburghausen i Reuss-Schleiz-Lobenstein-Eberswalde weszły w skład państwa niemieckiego.

Są zresztą i niemieccy autorowie, którzy doskonale zrozumieli ten wyjątkowy charakter centralizmu niemieckiego. Do nich należy Kautsky.

Przynajmniej autor ten z całą stanowczością odrzuca pomysł „środkowo-europejskiej unii celnej“, zwolennicy której powołują się właśnie na przykład unii celnej niemieckiej. „Powoływanie się na założoną w 1833 r. niemiecką unię celną“, odpowiada im Kautsky, „zgoła nie jest na miejscu; ta unia miała całkiem inne zadania i wynikła z całkiem innych przesłanek, aniżeli dzisiejsze projekty unii celnych. Była ona wytworem osobliwego rozkawałkowania politycznego Niemiec, które podzielone były na niezliczone szmaty ziemi pstrokato porozrzucane, a które przecież wszystkie razem stanowiły jednolite terytoryum gospodarcze, a w odosobnieniu nie potrafiły prowadzić ani samodzielnego życia politycznego, ani ekonomicznego“ *).

Jeśli więc, jak istotnie sądzi Radziszewski, na zniesienie przegrody celnej między Rosyą a Królestwem w 1850 r. wpłynął przykład Zollvereinu niemieckiego, to dowodzi to tylko, że carat nawet w ustępstwach swoich bywa reakcyjnym — nic więcej. Niema ani cienia dowodu na to, żeby kapitalizm miał przeszkodzić oderwaniu Polski od Rosyi, skoro nie przeszkodził w 1831 roku oderwaniu się mocno już wówczas kapitalistycznej Belgii od Holandyi, ani nie przeszkodził w 1859 i 1866 r. oderwaniu się od monarchii austryackiej Lombardyi i Wenecyi, tych prastarych siedzib wysoce rozwiniętej gospodarki pieniężnej, ani też nie przeszkodził w r. 1898 oderwaniu Kuby od Hiszpanii, a w 1903 r. oderwaniu Panamy od Kolumbii i utworzeniu z tych dwóch oderwanych dzielnic osobnych państw (pod zwierzchnictwem Ameryki północnej wprawdzie, ale z osobnym parlamentem i rządem i oczywista także z osobnemi cłami), mimo, że obu tym krajom kapitalizm zgoła nie jest obcym; skoro wreszcie nie przeszkodził w 1905 roku ani oderwaniu Mandżuryi od Rosyi, mimo, że kapitalizm rosyjski odrazu na dobre w tym kraju się zagospodarował, ani też oderwaniu się Norwegii od Szwecyi i ukonstytuowaniu się jako niepodległe państwo, mimo, że w Norwegii czwarta część ludności pracuje w przemyśle, nie inaczej jak w Królestwie Polskiem. Wbrew szumnemu a pustemu frazesowi, że „kapitalizm wlał swoją treść w granice państwowe, a przeto je utrwalił i unieruchomił“, kapitalizm doskonale umie wlewać swoją treść i do zmienionych granic. Niech tylko będzie potęga państwowa, a kapitalizm rychło się przed nią ukorzy i przystosuje się do niej. To samo zresztą innemi słowy przyznaje i Kautsky:

„Przy dzisiejszych wysoce naprężonych antagonizmach handlowo-politycznych samodzielność polityczna prowadzi zawsze

*) Kautsky, „Handelspolitik und Socialdemokratie“, str. 89.

także do samodzielnej polityki handlowej, polityczne zjednoczenie i podporządkowanie wspólnej władzy państwowej jest przesłanką wspólnoty celnej, a nie naodwrót, jak to było w dawnej unii niemieckiej. Podczas gdy nasi ideologowie celni marzą o zniesieniu kordonów celnych pomiędzy państwami Europy środkowej, **jedyną zmianą w kordonach celnych, coraz bliższą urzeczywistnienia, jest utworzenie nowego kordonu.** Polityczna niezależność Węgier od Austryi wywołuje dążność Węgrów do odrębnego terytoryum z odrębną polityką handlową".

Najnowsze dzieje dobitnie potwierdzają tę przepowiednię Kautsky'ego. W chwili, kiedy to piszę (listopad 1907 r.) cały świat wie, że ugoda dziesięcioletnia między Austryą a Węgrami, mająca być ponownie zawartą w roku bieżącym, będzie ostatnią, że od 1917 roku Węgry będą miały swój własny kordon celny i będą nakładać cła na austryackie wyroby, mimo, że Węgry są dla przemysłu austryackiego arcyważnym „wschodnim rynkiem", pochłaniającym 44°/₀ wywozu fabrykatów z Austryi. A więc można w kapitalistycznym ustroju dzielić terytorya celne. Potrafią to nawet Węgrzy, mimo, że Węgrów jest na świecie zaledwie $9^1/_2$ miliona. Jeśli zatem Polacy dotąd nie dokazali tej samej sztuki, to bądź co bądź nie jest to wina kapitalizmu.

VII.

Widoki dążności niepodległościowych.

Wiemy już, że zdobycie niepodległości narodowej jest dla socyalizmu polskiego koniecznością. Wiemy także, że rozwój przemysłu kapitalistycznego w Polsce bynajmniej nie stanowi przeszkody dla zdobycia niepodległości. Nie załatwia to jednak kwestyi, czy i jakie są widoki wywalczenia niepodległej Polski w bliższej przyszłości.

Należy tu odróżnić niepodległość trójzaborową od niepodległości jednozaborowej.

Powiedzmy sobie otwarcie: na osiągnięcie trójzaborowej niepodległości w bliższej przyszłości niema na razie żadnych określonych widoków. W dwóch zaborach: austryackim i pruskim, sprawa niepodległości stanowczo dzisiaj nie jest aktualną.

Austrya wstąpiła na drogę nietylko energicznej demokratyzacyi, ale i federalizacyi. Jaskrawsze objawy ucisku narodowego po części już dawno znikły, po części dość szybko znikają. Dzisiejsza Austrya pod względem równouprawnienia narodów nieskończenie mniej pozostawia do

życzenia, niż Prusy i Rosya. Dodajmy, że i pod względem ogólno-politycznym Austrya jest dzisiaj najmniej zacofana z trzech państw zaborczych. Póki ten stan rzeczy trwa, osłabienie Austryi nie leży ani w narodowym, ani w społecznym interesie ludności polskiej.

Polakożerczy rząd pruski zaś ma na razie jeszcze zbyt wielką przewagę liczebną, pieniężną, organizacyjną i zbrojną, żeby o jakiejś czynnej walce niepodległościowej w zaborze pruskim mowa być mogła. To też w obecnej fazie w zaborze pruskim wprawdzie obronna walka przeciwko germanizacyi dojrzewa i mężnieje, ale hasło walki o niepodległość jak dotąd w żadnym obozie nie rozbrzmiewa. Coprawda, niezawsze tak zostanie. Okazują się już bardzo wyraźne rysy na gmachu potęgi Hohenzollernów; niezawodnie gmach ten pierwej czy później runie. Ale kiedy, jak i przez kogo to się stanie, to w obecnej chwili trudno przewidzieć. Najprawdopodobniej dzisiejszy system rządowy w Niemczech, samowolny wobec kraju a donkiszocko-awanturniczy wobec zagranicy, doprowadzi do jakiejś zewnętrznej klęski, straszliwszej może od Mukdenu i Cuszimy; ale też u tak kulturalnego narodu, jak Niemcy, reakcya na tę klęskę w postaci demokratyczno-republikańskiego ruchu masowego będzie zapewne o wiele szybszą, energiczniejszą, a przedewszystkiem lepiej zorganizowaną, niż w Rosyi. Kto wie, czy w takiem położeniu polski ruch niepodległościowy nie znajdzie ponownie sprzymierzeńców pośród narodu niemieckiego, wierniejszych może, niż w 1848 r. Ale to wszystko są dopiero możliwości. Tymczasem w zaborze pruskim warunków sprzyjających walce niepodległościowej niema, więc też i walki tej niema.

Inaczej się rzecz ma w zaborze rosyjskim.

Nie mamy tu do czynienia z demokratyzującem się państwem, tylko z państwem, które z wyzywającą, desperacką butą trwa w absolutyzmie; nie z państwem, uznającem równouprawnienie narodów, tylko z państwem, dla którego gnębienie innoplemieńców należy do najistotniejszych funkcyi życiowych. Ale też na szczęście nie mamy tu do czynienia z państwem silnem, zdrowem, sprężystem, jakiem do niedawna były, a dotąd jeszcze zdają się być Prusy, tylko z państwem bezradnem wobec nieustających wybuchów anarchii, przeżartem do szpiku kości tradycyjną korupcyą, haniebnie pobitem, ośmieszonem i upokorzonem w oczach własnych poddanych, z państwem o bankrutującym skarbie, które wzorem Turcyi zaczyna wierzycielom oddawać w zastaw koleje, a niezadługo może zacznie oddawać w zastaw prowincye.

Chwilowo wprawdzie carat raz jeszcze tryumfuje i broczy w krwi bojowników. Tryumfuje raz jeszcze dzięki systematycznie wyhodowanej

ciemnocie dziewięciu dziesiątych swoich poddanych, dzięki wyczerpaniu sił organizacyi rewolucyjnych, dzięki świeżemu napływowi pieniędzy, pożyczonych na wysokie procenta. Ale to wszystko nie może trwać. Prawda rewolucyjna zwolna tylko przesiąka do mas chłopskich, ale przesiąka; sam rząd nieustającem bezprawiem przyspiesza polityczne uświadomienie ludu, nietylko na kresach, ale i w rdzennej Rosyi. Na miejsce rewolucyonistów zabitych, uwięzionych. zesłanych rychło wzrośnie nowe pokolenie szermierzy wolności. System pożyczek za wszelką cenę niedługo chyba powstrzyma nieuniknione bankructwo finansowe caratu. Przytem klęska mandżurska nie była ostatnią. Był to dopiero pierwszy akt stopniowego rozpadania się zaborczego imperyum wszechrosyjskiego, podobnie jak dwieście lat temu oderwanie się Węgier od Turcyi było tylko pierwszym aktem rozpadania się tureckiego imperyum. Tylko, że w XX wieku likwidacye takie szybciej się odbywają. niż ongi w XVIII. Rosyę czekają nowe. głębsze wstrząśnienia, carat czekają nowe, gorsze chwile niemocy, kto przeczeka, ten się doczeka!

W zaborze rosyjskim niema więc przyczyny nawet do czasowego zwinięcia sztandaru niepodległości. Jeśli dzisiaj dość liczne odłamy socyalizmu polskiego odnoszą się do tego hasła bądź to wrogo, bądź to obojętnie, to w gruncie rzeczy dlatego, że odłamy te, w błąd wprowadzone zbyt prostokątną doktryną, dotąd nie uświadomiły sobie istnienia chłopów polskich. jako większości narodu polskiego, a zarazem większości polskiego ludu pracującego. Stąd u tych ślepców dziwaczne złudzenie, jakoby wśród Polaków burżuazya stanowiła większość; i jakżeż to walczyć o niepodległość narodu. który w większości swojej składa się z burżuazyi! Ale chyba i to zaślepienie jest tylko przejściową chorobą. Szalejąca obecnie burza reakcyi będzie miała ten dodatni skutek, że jednostki w rodzaju Róży Luksemburg, których rzekomy socyalizm jest tylko przejrzystą powłoką nacyonalizmu wszechrosyjsko-antypolskiego, uświadomią sobie nareszcie swój burżuazyjny nacyonalizm i usuną się z ruchu socyalistycznego, do którego się nigdy nie powinny były przyłączać. Na polu boju pozostaną socyaliści-Polacy, cierpliwi i nie tracący otuchy, bo znający lud polski. Ci przetrwają i tak długo kuć będą w kuźniach ukrytych. aż przekują cały polski lud pracujący miejski i wiejski na jednolitą siłę rewolucyjną, sprężystą i mężną, bo nie ulegającą w histerycznej bierności lada podmuchowi z nad Newy czy Sprewy, a niezwyciężoną, bo zalegającą całą przestrzeń kraju. Wtedy Polska ponownie stanie się inicyatorką rewolucyi.

A stanie się nią nietylko ku własnemu zbawieniu, ale także ku zbawieniu Rosyi. Dla samego bowiem ludu rosyjskiego bodaj najbardziej

zgubnym jest zaborczy imperyalizm carski, który paczy i zaćmiewa demokratyczną świadomość rosyjskich mas ludowych, a jednocześnie umożliwia systematyczne zaniedbywanie najniezbędniejszych zadań kulturalnych w Rosyi rdzennej, boć przecież niedobór Wielkorosyi pokrywa haracz, płacony przez kresy; zaborczy imperyalizm carski, który, wydając kresy na pastwę karyerowiczom i łupiezcom, jedna caratowi wciąż nowe zastępy popleczników i wielbicieli, a nawet wyobraźnię lepszych jednostek olśniewa kradzioną poświatą sławy i posłannictwa wszechdziejowego. Imperyalizm, oto najpotężniejsza podpora absolutyzmu carskiego. „Dopiero gdy imperyalizm rosyjski będzie powalonym o ziemię, zwyciężonym zostanie absolutyzm rosyjski", pisałem w 1902 roku. W r. 1905 historya potwierdziła tę przepowiednię. Niestety, klęska imperyalizmu nie dosyć jeszcze była druzgocącą; więc też i absolutyzm raz jeszcze przyszedł do siebie. Zmartwychwstająca Polska da hasło do śmiertelnej obławy na oba potwory. Zrywając własne kajdany, wyzwoli i lud rosyjski. Dopiero z niepodległości każdego narodu słowiańskiego z osobna wykwitnie braterstwo Słowiańszczyzny.

Kiedy zaś raz wywalczoną będzie niepodległość dzisiejszego zaboru rosyjskiego, wtenczas rozpocznie się dla dążności do wyzwolenia i zjednoczenia całego narodu polskiego nowa era, o której dzisiaj pisać nie będę, aby marzenia o tak jasnej przyszłości zbyt jaskrawo nie odbijały od zbyt czarnego tła chwili obecnej.



Limanowski Bolesław dr. Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim. Cena 60 hal.
Mańkowski Mieczysław. U stóp szubienicy. Urywek ze wspomnień więziennych „proletaryatczyka". Cena 60 hal.
Marks, Engels, Liebknecht. Odbudowanie Polski. (Zbiór artykułów o kwestyi polskiej). Cena 2 kor.
Narkiewicz-Jodko i Szymon Dyksztajn. Polski socyalizm utopijny na emigracyi. (Dwie rozprawy). Cena 1 kor. 20 hal.
Orkan Władysław. Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy. (Zbiór nowel). Cena 2 kor.
Orkan Władysław. Ofiara. Fragment w 3 aktach z 1846 roku. Cena 1 kor. 50 hal.
Orkan Władysław. Wina i Kara. Tragedya w 3 aktach. Cena 2 kor.
Płochocki Leon. Rosyjskie partye polityczne i ich stosunek do sprawy polskiej. (Treść: Przedmowa. — 1881—1903. — Rosyjskie stronnictwa polityczne w przededniu wojny. — Stronnictwa podczas wojny. — Stronnictwa rosyjskie wobec sprawy polskiej. — Dodatki). Cena 3 kor.
Stepniak S. Losy nihilisty. Romans. Z przedmową Jerzego Brandesa. Cena 6 kor.
Verhaeren. E. Jutrznie. Dramat społeczny. Przekład Maryi Markowskiej. Cena 2 kor.
Wasilewski Leon. Współczesne państwo konstytucyjne. (Treść: Przedmowa. — I. Istota konstytucyi. — II. Reprezentacya narodowa. — III. Rząd. — IV. Samorząd prowincyi. — Tablice porównawcze ustroju głównych państw konstytucyjnych). Cena 2 kor. 40 hal.
Wyrostek M. dr. Urządzenia polityczne Szwajcaryi — w druku.

Gotowe do druku lub w przygotowaniu.

Milhaud Edgar. Społeczna demokracya w Niemczech — uzupełnione do 1907 roku włącznie.
Hankiewicz M. Przewroty społeczno-polityczne XIX wieku.
Louis P. Socyalizm we Francyi — uzupełnione.
Métin A. Socyalizm w Anglii.
Bertrand L. Socyalizm w Belgii — uzupełnione.
Angiolini Alfred. Socyalizm we Włoszech.

Kwestya Polska a socyalizm.
Warszawa, 19[illegible].
At head of title: Nakładem Wydawnictwa Spółki społeczno-politycznej "Życie".



